



Agnieszka Janiszewska

**OWOCE  
ZATRUTEGO  
DRZEWA** Tom III

zacztyani

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

AGNIESZKA JANISZEWSKA

OWOCE  
ZATRUTEGO  
DRZEWA

TOM III

**zaczytani**



# ROZDZIAŁ 1

Paryż od razu ją zachwycił; do tej pory niewiele w życiu widziała, nic więc dziwnego, że długa podróż, obcy kraj i wielka metropolia przyciągająca ludzi z różnych zakątków świata oszołomiły ją i onieśmieliły. I to do tego stopnia, że przez pierwsze kilka tygodni pobytu nie odważyła się na samotną przechadzkę – była pewna, że z pewnością by zabłądziła i nie odnalazła pensjonatu, w którym na razie oboje ze Zbyszkiem się zatrzymali.

Z tego też powodu czuła się tak nieporadna jak nigdy dotąd, prowincjonalna, co do reszty odbierało jej pewność siebie. Zresztą, co w tym dziwnego, sarkała w myślach. Przecież ostatnie dziesięć lat życia mieszkała w urokliwym, ale niewielkim mieście. A z tego większość czasu spędziła na zapleczu niedużego sklepu galanteryjnego. I choć po zawiązaniu przez właściciela spółki z panem Sagurskim spokojną, a nawet senną atmosferę tego miejsca ożywił nowy, zdecydowanie prężniejszy duch, co skutkowało napływem większej liczby bardziej eleganckich niż do tej pory klientów, to jednak w dalszym ciągu zmianom tym było daleko do realiów wielkiego świata. Na pewno nie takiego, który otaczał ją teraz. I przytłaczał ogromem, hałasem, siłą.

Patrząc na te wszystkie imponujące gmachy, pałace i muzea, tętniące życiem szerokie bulwary, pełne ludzi kawiarnie, teatry i sale koncertowe, czuła się tak mała i nic niewarta jak owad, który w każdej chwili może zostać

rozdeptany na drodze. W tym ostatnim spostrzeżeniu nie było żadnej przesady, bowiem tak wielu pojazdów i konnych tramwajów nie widziała dotąd nie tylko w Krakowie, ale także w Warszawie. Potrzebowała czasu, by pokonać strach przed przechodzeniem na drugą stronę ulicy, co niesłychanie bawiło Zbyszka, lecz jego francuski przyjaciel, Adrien Biret, odnosił się do jej obaw z pełnym zrozumieniem, zarówno w kwestii jej niepewności i zagubienia w wielkiej metropolii, jak i błędów językowych, które początkowo notorycznie popełniała. Błędów tych zresztą Adrien zdawał się w ogóle nie dostrzegać, traktował ją z galanterią i zawsze gotów był do pomocy, tak że z biegiem czasu zaczęła wreszcie oswajać się z nową rzeczywistością i nabierać pewności siebie.

Wszystko to sprawiało, że coraz chętniej spędzała czas w towarzystwie tego miłego i przystojnego Francuza. Zbyszek zinterpretował to po swojemu.

– Ten facet cię adoruje – zauważył pewnego razu, gdy spacerowali wzdłuż Sekwany. Powiedział to lekkim, niezobowiązującym tonem, czyli takim, jakiego zazwyczaj używał, i tak też przyjęła jego słowa – jak zwykłą żartobliwą uwagę. Aczkolwiek bez wątpienia dość zaskakującą, zważywszy na fakt, że dopiero co rozmawiali na temat wyłaniającego się przed ich oczami mostu Aleksandra.

– Jest bardzo miły. Ubawiłby się, gdyby usłyszał, o co go podejrzewasz – odparła pogodnie.

– Nie przypuszczam. Zupełnie zawróciłaś mu w głowie. – Tym razem w głosie Zbyszka pojawiło się coś nowego, w każdym razie nie zabrzmiało to już jak nic nieznaczący żart.

Skrzywiła się; nie miała pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa, z pewnością jednak nie chciała kontynuować jej w tym duchu. Spostrzegłszy to, Zbyszek uśmiechnął się z pozorną skruchą.

– Nie chciałem cię zdenerwować, ale ostatnio chodzisz taka zachmurzona

i tak nieobecna duchem, że postanowiłem trochę cię rozweselić.

– Niepotrzebnie – odburknęła. – I nie byłam, jak raczyłeś zauważyć, zachmurzona, dopóki nie zacząłeś wygadywać tych nonsensów.

– Co nazywasz nonsensem? Paryż jest miastem zakochanych, tu wszystko może się zdarzyć.

– Wszędzie wszystko może się zdarzyć – ucięła, po czym zaraz uznała, że nadszedł odpowiedni moment, by zagadnąć go w kwestii, która przynajmniej od kilku dni nie dawała jej spokoju. – Chciałabym zacząć wreszcie robić coś konkretnego. Potrzebuję zajęcia.

– Zajęcia? – Wyglądało na to, że naprawdę się zdziwił. – Przecież cały czas coś robisz. Zwiedzasz i chłonisz atmosferę jednego z najpiękniejszych miast świata. Chcesz powiedzieć, że to cię w ogóle nie zajmuje?

– Ależ bardzo mnie zajmuje – odparła zapalczywie. – Wszystko jest wspaniałe i cudownie spędzam czas, ale przecież nie o to chodzi. W każdym razie nie tylko o to.

– Wiem – skinął głową, wyraźnie zmarkotniał. – Tęsknisz za krajem... – przerwał i ponownie zapatrzył się na rzekę. Wyglądało na to, że w porę powstrzymał się, by nie wypomnieć jej, za kim jeszcze przypuszczalnie tęskniła. – Ja także się na tym łapię. Sądzę, że to przypadłość wszystkich emigrantów. Ale to w końcu minie i w pewnym momencie przestanie o sobie tak intensywnie przypominać – dodał.

Odgadywała, co lub kogo konkretnie miał na myśli, dlatego postanowiła szybko zareagować.

– Nie w tym rzecz – odparła. – Brakuje mi pracy. Chciałabym wreszcie zacząć zarabiać na swoje utrzymanie.

– Nie ma takiej potrzeby – zauważył spokojnie, wciąż nie odwzajemniając jej spojrzenia. – Dość się napracowałam. Najpiękniejsze lata młodości zmarnowałam w jakimś składziku, pochylona nad papierzyskami.

Przynajmniej teraz korzystaj z życia i baw się dobrze.

W składziku? – obruszyła się. Jednak to, co przed chwilą usłyszała, bardziej ją zaniepokoiło, niż dotknęło.

– Nie mogę dłużej korzystać z życia i bawić się za twoje pieniądze – zaprotestowała. – W ogóle nie mogę pozwolić, abyś mnie dłużej utrzymywał.

Spostrzegła, że spochmurniał jeszcze bardziej, choć przecież nie było jej intencją sprawić mu przykrość.

– Nie gniewaj się – rzekła. – Ale naprawdę nie wypada...

– Co nie wypada? – zachnął się. – Jesteś mi bardzo bliska i wobec tego nie rozumiem twoich skrupułów.

Uderzyło ją sformułowanie: „jesteś mi bardzo bliska”. Do niedawna nazywał ją po prostu swoją kuzynką czy nawet wręcz – choć rzadziej – cioteczną siostrą. Zarazem jednak nie miała cienia wątpliwości, że bezbłędnie rozumiał, z czego wynikały jej skrupuły.

– Przed wyjazdem obiecałeś, że razem z Adrienem znajdziecie mi tu jakieś zajęcie – przypomniała niepewnie. – Zajęcie, czyli pracę, dzięki której będę mogła samodzielnie się utrzymać. Tak przynajmniej to zrozumiałam.

– Pamiętam. – Zbyszek zmarszczył brwi. – Ale po co ten pośpiech? Najpierw powinnaś trochę odpocząć, a poza tym...

– ...bawić się i cieszyć życiem – dokończyła. – Już to wcześniej powiedziałaś. I bardzo ci jestem wdzięczna za twoją troskę, naprawdę ją doceniam. Jednak już wypoczęłam i dawno odzwyczaiłam się od życia na cudzy koszt.

– Cudzy? – Nie ulegało wątpliwości, że tym razem to on poczuł się dotknięty.

Kinga jednak nie ustąpiła.

– Nie chwytaj mnie za słówka. Wiesz, co mam na myśli.



– Wiem, że potraktowałaś mnie jak obcego.

– Nie udawaj, proszę, że nie rozumiesz. Nie mam tu nikogo, kto byłby mi bliższy niż ty. Ale nie mogę i nie chcę pasożytować nawet na moim ciotecznym bracie. – Z naciskiem podkreśliła ostatnie słowa, a spostrzegłszy, że chciał ripostować, dodała: – Wystarczająco długo byłam utrzymywana przez twoich rodziców i nie chciałabym... – Przerwała, bo w tym momencie zdała sobie sprawę, że powiedziała o jedno zdanie za dużo.

Nie wątpiła, że jej słowa zrobiły na Zbyszku bardzo przykre wrażenie. Zatrzymał się, oparł łokcie o balustradę i zapatrzył na rzekę. Nieopodal uliczni kramarze zachęcali przechodniów do zatrzymania się przy stoiskach, Kinga ich jednak zignorowała. Po chwili wahania podeszła do kuzyna.

– Paryż jest piękny – rzekła cicho. – Ale trochę inaczej wyobrażałam sobie moje życie tutaj.

Pokiwał głową i nie patrząc na nią, zapalił papierosa.

– Jeśli cię trapi, co pomyślą na nasz temat właściciele pensjonatu, to zapewniam, że zupełnie niepotrzebnie. Obchodzi ich tylko, czy nie zalegamy z opłatą. Inne kwestie nie mają dla nich znaczenia, to przecież Paryż, a nie jakaś zapyziała miejscina na prowincji. A poza tym zajmujemy przecież osobne pokoje. – Wargi mu drgnęły w ledwo dostrzegalnym uśmiechu, Kinga jednak zdążyła ten uśmiech uchwycić.

– Zapyziała prowincja? – skrzywiła się. – Wiesz, że nie lubię takich określeń, ale cóż, nic na to nie poradzę, że nigdy nie byłam, nie jestem i zapewne nie będę tak światowa jak ty.

– Znowu mnie źle zrozumiałaś...

– Mniejsza z tym. To prawda, że mamy osobne pokoje, ale nie mów, że to my je opłacamy. Bo jedynie ty za wszystko płacisz, a ja nie czuję się z tym dobrze. Jak długo mam ci to tłumaczyć?!

– Czasami, w przeszłości, podejrzewałem, że sprzyjasz sufrażystkom –

parsknął nieszczerym śmiechem. – Ale dopiero teraz odkryłem, że jesteś wręcz zagorzałą ich zwolenniczką, a niewykluczone, że jedną z najaktywniejszych działaczek.

– Naprawdę nie potrafisz choć przez chwilę być poważny?

– Nie, bo twoje skrupuły po prostu mnie śmieszają.

Z daleka dobiegł ich głos dzwonu z katedry. Gwar przechodzących nieopodal ludzi nie ucichł ani na chwilę, wręcz przeciwnie. Kinga nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tylko ona i Zbyszek zasłuchali się w dostojne, miarowe uderzenia; oboje też jak na komendę skierowali wzrok na wieże Notre Dame.

Wielu ludzi byłoby zachwyconych, gdyby mogło teraz znaleźć się na moim miejscu, westchnęła w duchu Kinga. Wróciła myślami do Amelii, do subiektów w sklepie Gajewskiego, do sąsiadów w kamienicy. Wiele kobiet na jej miejscu nie miałyby, jak powiedział przed chwilą Zbyszek, żadnych skrupułów, a jedynie cieszyłyby się beztroską, odpoczynkiem i pięknem tego miasta. Czemu ona tak nie potrafiła?

Ponownie westchnęła, znała przecież odpowiedź na to pytanie.

– Gdybym wcześniej wiedziała, że tak właśnie będzie wyglądał mój pobyt nad Sekwaną, nigdy nie zgodziłabym się na tę eskapadę – rzekła z wyraźną wymówką w głosie. – Wiem, dlaczego mi ją zaproponowałeś, ale tam, w Krakowie, przynajmniej mogłam sama stanowić o sobie. Byłam u siebie. Podczas gdy tutaj...

– Byłaś u siebie? Mogłaś stanowić o sobie? – Nawet nie starał się ukryć ironii w głosie. – Co konkretnie masz na myśli?

Zaczerwieniła się, aluzja była oczywista.

– Sama porozmawiam z Adrienem – odparła chłodno, odwracając się na pięcie. – To przecież moja sprawa, ty faktycznie nie musisz się zajmować szukaniem mi pracy.

– Dajże spokój! – Chwycił ją za rękę, ale mu ją wyrwała, zwracając przy okazji uwagę kilku przechodniów. Zbyszek najwyraźniej nie dbał o reakcje postronnych, bo podniósł głos. – Wiesz, co on ci proponuje? Najpewniej pomoc w prowadzeniu jego domu. Nie zapominaj, że jesteś we Francji. Tu pod pewnymi względami kobiety mają znacznie bardziej zawężone pole działania niż u nas, w kraju.

Przyśpieszyła kroku. W przeciwnym wypadku chyba mu krzyknęła w twarz, że jest gotowa przyjąć nawet posadę służącej w domu Bireta niż dalej mieszkać w pensjonacie w osobnym pokoju, za który płacił on. Szczęśliwie zapanowała nad sobą, ale wciąż szła szybko, niemal biegła, przekonana, że Zbyszek zaraz ją dogoni, nie dopuści, by odeszła i zrealizowała to, co zapowiedziała. Gdy jednak w końcu zwolniła i się obejrzała, nigdzie go nie dostrzegła.

Do końca dnia już się nie widzieli. Rano słyszała, że wychodził; w przeciwieństwie do niej miał pracę, bo Adrien postarał się, aby został zatrudniony w kancelarii obsługującej dużą firmę handlową, w której Biret miał udziały i spory pakiet akcji. Posada ta zapewniała Zbyszkowi całkiem przyzwoite dochody, tak że niedawno zaczął napomykać o wynajęciu niewielkiego mieszkania. Kinga nie podjęła wówczas tematu, teraz zaś była pewna, że na pewno tego nie zrobi. Nie zamieszka ze Zbyszkiem, nie są przecież rodzeństwem, a łączące ich więzy pokrewieństwa nie uchronią ich przed ewentualnymi plotkami i domysłami. Zbyszek mógł próbować jej wmawiać, że w takim mieście jak Paryż nikt nie będzie tego komentował, ale ona wiedziała swoje. Zwracali na siebie uwagę, także w pensjonacie, a osobne pokoje nie miały tu większego znaczenia. Tym bardziej że mieszkali tam także dwie inne pary, które wynajmowały osobne sypialnie, a nikt z personelu ani z pozostałych gości nie miał wątpliwości co do charakteru tych związków. Nie chciała, by także oni oboje byli tak

postrzegani, lecz Zbyszek najwyraźniej w ogóle się tym nie przejmował, jakby w ogóle nie dostrzegał problemu. A fakt, że z taką dezynwolturą i beztrąską podszedł do jej chęci usamodzielnienia się, zdumiewał ją i niepokoił. Zwłaszcza że w przeszłości z aprobatą potraktował jej wyjazd do Krakowa; zmartwił się wprawdzie, że tak daleko się wyprowadziła, ale wyglądało na to, że rozumiał jej ówczesną decyzję i potrzebę niezależności. Dlaczego wobec tego teraz zachowywał się zupełnie inaczej? A potem znowu przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z ciotką i poczuła się dokładnie tak jak wtedy. Jakby ktoś wylał na nią wrzątek. Nie, nie będzie zatrzuwała sobie tym głowy. Nie zmieni przeszłości, ale ma przecież wpływ na teraźniejszość. I musi wreszcie pomyśleć o swojej przyszłości zamiast stale kręcić się w kółko. Musi znaleźć sobie pracę, a ponieważ – jak podejrzewała – samej prawdopodobnie nie uda się jej tego dokonać, poprosi o pomoc Adriena. Był przecież taki życzliwy, zaradny i rozumny.

Wiedziała, gdzie mieszkał, ale nigdy dotąd go nie odwiedziła. Tym razem postanowiła, że jednak to zrobi, pójdzie do niego po południu i nawet jeśli nie zastanie go w domu – co było możliwe, bo prowadził bardzo aktywny styl życia i po pracy często spotykał się z przyjaciółmi – to przynajmniej zostawi mu wiadomość, a on już potem znajdzie sposób, by się z nią spotkać.

Drzwi otworzył sympatyczny młody służący, który wpuścił ją do środka i poprosił, aby zaczekała w salonie.

– Kogo mam zaanonsować? – spytał uprzejmie, ale zrobił zakłopotaną minę, gdy usłyszał jej nazwisko.

– Wystarczy, jeśli powie pan moje imię – uśmiechnęła się, zgadując, że cała reszta jest zbyt trudna do wymówienia dla młodego Francuza. – Ale jeśli pan Biret jest zajęty, to przyjdę innym razem.

– Myślę, że panią przyjmie. Zapewne za jakieś dwie godziny, jak zwykle, wyjdzie do miasta, ale teraz powinien znaleźć czas. Pani w sprawie

ogłoszenia o posadę? – spytał nieoczekiwanie, co wprawiło Kingę w najwyższe zdumienie.

– Nie jestem pewna. Może – odparła, bo żadne inne wyjaśnienie nie przyszło jej do głowy.

Ten chłopak najwyraźniej umie czytać w myślach, stwierdziła zmieszana, ale służącego chyba zadowoliła jej odpowiedź, bo pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym udał się w głąb mieszkania. Za to potem patrzył zdumiony, jak jego pracodawca niemal wybiegł rozpromieniony z gabinetu i ścisnął dłonie przybyłej kobiety.

– Panna Kinga we własnej osobie! Co za niespodzianka!

– Nie chciałabym sprawiać panu kłopotów – odparła zmieszana, a przez to zarumieniona. – Przyszłam zupełnie niespodziewanie, bez żadnej zapowiedzi, ale...

– Ależ bardzo się cieszę, naprawdę. Zdążyłem już zwątpić, czy ta chwila jeszcze kiedykolwiek nastąpi. A ten tam myślał, że przyszła kolejna kobieta w sprawie pracy. – Wskazał na zakłopotanego chłopaka. – I już się zdążył ucieszyć, że młodsza i ładniejsza od swoich poprzedniczek.

Służący miał taką minę, jakby marzył, aby ziemia się pod nim rozstała, a coraz bardziej skonfundowana Kinga uznała, że czas wyjaśnić sprawę.

– Miał rację – rzekła. – Przyszłam w sprawie pracy, ale nie jestem pewna... – Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać.

Tym razem dostrzegła wyraz zaskoczenia na twarzy gospodarza. Zerknął przelotnie na służącego, potem na Kingę, a następnie znowu na chłopaka.

– Brała pani pod uwagę posadę gospodyni w moim domu? – Nawet nie próbował ukryć zdumienia.

„Zaproponuje, abyś prowadziła mu dom” – tak to ujął Zbyszek, a ona wtedy potraktowała jego słowa jak zgryźliwy żart. Okazuje się, że trafił w sedno.

– Ależ nie – zaproponowała niepewnym głosem. – Nie o to chodzi. Nawet nie miałam pojęcia, że szuka pan gospodyni – dodała, zresztą zgodnie z prawdą, bo przecież nie potraktowała uwagi kuzyna poważnie.

– Od razu pomyślałem, że byłoby to zbyt piękne, aby miało okazać się prawdą. – Adrien uśmiechnął się pod nosem, po czym wesoło zwrócił się do służącego: – A widzisz, obwiesiu, koniec marzeń. Ruszaj do kuchni i przygotuj nam kawę, ale postaraj się to zrobić lepiej niż podczas wizyty profesora Lefebre. I nie rób takiej miny; trudno, dopóki Klarysa nie wyzdrowieje, ty musisz wziąć na siebie przynajmniej część jej obowiązków. Za coś ci przecież płacę, więc nie kręć nosem i z łaski swojej nie stój tu jak namalowany! Powinieneś już być w kuchni! Śmigaj, żywo!

Nic jednak nie wskazywało na to, by chłopak przestraszył się tonu swojego pana – ton ten bowiem nie brzmiał groźnie, wręcz przeciwnie – niemniej spełnił polecenie. Choć bez pośpiechu, by nie rzec, że z wyraźnym ociąganiem się.

– Mogę mu pomóc przygotować tę kawę – zaproponowała Kinga, której udzieliła się pogodna atmosfera tego domu.

– Nie ma mowy – zaprotestował Adrien, zapraszając ją gestem, by usiadła na kanapie. – Wcale nie żartowałem. Niech się weźmie za robotę, huncwot jeden, bo więcej z nim utrapienia jak pożytku. Dawno bym go wylał na zbity pysk, ale szkoda mi jego biednej matki, która by tego nie przeżyła.

Ton jego głosu i tym razem nie wskazywał jednak, by naprawdę był aż tak niezadowolony z pracy młodego służącego.

– Czyli, o ile dobrze zrozumiałam, to na razie jedyny pana pracownik? – Mimo woli Kinga poczuła, że zaczyna się dobrze bawić.

– Zatrudniam jeszcze kucharkę, Klarysę, ale jak na złość zachorowała i od trzech dni leży z bronchitem. Nie jest bynajmniej mistrzynią kuchni, a do tego od czasu do czasu wynajduje najróżniejsze powody, dla których w ogóle

nie może tu przyjść. Szczerze mówiąc, jej także powinienem był dawno się pozbyć, ale nie mam do tego głowy.

– A może serca? – zasugerowała wesoło.

– Głowy – powtórzył z zabawnym naciskiem. – Proszę mnie nie podejrzewać o to, że lituję się nad niekompetentnymi pracownikami. Po prostu nie mam czasu na te wszystkie ceregiele, zwolnienia, pisanie referencji, dawanie ogłoszeń o pracę, rozmowy z nowymi kandydatami, czytanie referencji od ich poprzednich pracodawców i tak dalej. Mam wiele innych, zdecydowanie pilniejszych, a na pewno ciekawszych, spraw do załatwienia. Ale skutek jest taki, że w moim domu wciąż panuje rozgardiasz i mało co funkcjonuje jak należy. Dlatego przydałaby się osoba, która objęłaby nad tym jakiś nadzór, zagoniła tamtych dwoje do roboty i wzięła na siebie wszystkie te powszednie sprawy, nad którymi nie panuję. W wielkich domach mają takich majordomusów, jak ich nazywają Anglicy. Ja aż takich wymagań nie zgłaszam, nie mieszkam w olbrzymiej rezydencji, niemniej przydałby się tu większy porządek. Jakikolwiek porządek. Znajomi od dawna wspominali mi o zatrudnieniu kobiety, która wzięłaby te sprawy na siebie. A przede wszystkim zaczęła od znalezienia nowej kucharki. Prowadzenie domu pod pewnymi względami przypomina prowadzenie firmy, w obu miejscach potrzebny jest energiczny zarządca.

Kinga pokiwała głową. U Borgiewiczów prawą ręką ciotki w tych kwestiach była Tomaszowa. Być może gdyby istniał ktoś taki jak pani Biret, dom Adriena także funkcjonowałby inaczej. Choć niekoniecznie, bo przecież nie wszystkie damy radziły sobie ze służbą. Tak czy owak, Biret, choć dobiegał czterdziestki, nie miał żony, nie miał też rodziny, która by z nim mieszkała. Brat i siostra pozostali w rodzinnych stronach, w Prowansji, nigdy nie przyjeżdżali do Paryża, i tylko Adrien od czasu do czasu ich odwiedzał. Kinga niejednokrotnie zastanawiała się, jak to możliwe, by tak przystojny

i czarujący mężczyzna był sam, ale oczywiście nigdy nie ośmieliła się zadać mu takiego pytania. Kiedyś zadała je Zbyszkowi, ale on – jak to on – w odpowiedzi zrobił wielkie oczy i odparł, że wielu interesujących mężczyzn nie założyło rodziny, ba – nawet się o to nie starało. Dlatego między innymi wciąż są tacy czarujący, czego nie można powiedzieć o większości ich żonatych kolegów. I nie omieszkął przy tym dodać, że także on sam jest bardzo dobrym przykładem na poparcie tej tezy.

Wysłuchawszy zatem tyrady Bireta na temat korzyści wynikających z zatrudnienia gospodyni, Kinga jedynie się roześmiała i rozłożyła bezradnie ręce.

– Niestety, w tej sprawie panu nie pomogę. Wprawdzie w domu wujostwa zarówno ja, jak i moja kuzynka byłyśmy przyuczane do niektórych prac w kuchni i włączano nam do głów, jak zarządzać służbą i domem, ale przyznam, że okazałam się mało pojętną uczennicą.

Klementyna również, dodała już tylko w myślach. Czasami była ciekawa, czy kuzynka podczas tych lekcji też się tak straszliwie nudziła jak ona, ale nigdy o to nie zapytała, nigdy się przecież sobie nie zwierzały. Tak czy owak, efekt wysiłków Tomaszowej był taki sam w przypadku każdej z nich – daleki od doskonałości.

W odpowiedzi Biret machnął ręką i także się roześmiał.

– Nie śmiałybym oczekiwać od pani tego typu pomocy – odparł, ale zaraz jakby trochę się zmieszał.

Kinga nadaremnie szukała jakiejś zabawnej riposty, szczęśliwie wejście służącego uwolniło ją od tego wysiłku. Chłopak ostrożnie stawiał kroki, nie spuszczać jednocześnie wzroku z trzymanej w dłoniach tacy, wypełnionej różnymi naczyniami i wiktuałami.

– Postaw to wreszcie i zostaw nas samych – mruknął Adrien, przewracając przy tym komicznie oczami. – I módl się, aby ta kawa nadawała



się do wypicia. Nie chciałbym być w twojej skórze, gdyby i tym razem miało być inaczej.

– Poprzednio nie udało mi się zebrać śmietanki, ot i wszystko – odciął się chłopak.

– I jeszcze śmie pyskować! Już cię tu nie ma.

Kinga słuchała tego ze zdumieniem, ale i rozbawieniem. W domu ciotki Burgiewiczowej podobne przekomarzanie się ze służbą byłoby nie do pomyślenia.

– Chyba zdecyduję się na tę kostyczną jejmość, z którą rozmawiałem przedwczoraj – dorzucił jeszcze Adrien, kierując te słowa w stronę znikającego za drzwiami młodzieńca. – Wyglądała na energiczną kobietę, która z pewnością wymuszkuje tego niezdare, a Klarysę albo wyleczy z wszelkich dolegliwości, albo wyleje. Mówię oczywiście o kandydatce na gospodynię – wyjaśnił, zwróciwszy się do Kingi. – Mój Boże, żebym to ja musiał się zajmować podobnymi kwestiami...

– Niech pan nie będzie dla niego zbyt surowy...

– Ja surowy? – Adrien wznosił ręce w teatralnym geście. – Służba ma u mnie jak u Pana Boga za piecem. Socjaliści byliby ze mnie dumni.

– Raczej nie. Z punktu widzenia socjalistów zatrudnianie służby domowej jest formą wyzysku.

– Wyzysku – powtórzył z udanym przekąsem, po czym zmienił ton na zdecydowanie bardziej rzeczowy, choć wciąż pełen życzliwości i pogody. – A teraz proszę mówić. Wspomniała coś pani o pracy, choć jak rozumiem, nie chodzi o posadę gospodyni. Tym samym pogrzebała pani nadzieje Jacques'a. – Ruchem głowy wskazał na drzwi, za którymi zniknął służący. – Ale trudno, będzie się musiał z tym pogodzić. Obaj musimy – dodał niby od niechcienia, upijając łyk kawy i krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

Kinga stłumiła uśmiech, jednak zaraz spoważniała. Dopiero teraz

przyszło jej do głowy, że chyba nie powinna oczekiwać, by akurat ten człowiek pomógł jej w znalezieniu posady. To prawda, że był bardzo przyjazny i uczynny, ale na dobrą sprawę nie łączyły ich żadne szczególnie bliskie więzy. Zapewnił dobrą posadę Zbyszkowi, ale przecież Zbyszek miał odpowiednie wykształcenie, przygotowanie i kilkuletnie doświadczenie w zawodzie prawnika. Czym natomiast ona mogła się poszczycić?

Nawet na gospodynię się nie nadaję, pomyślała ponuro. Czy w tym pięknym, wielkim mieście miała szansę na posadę w sklepie? Zapewne nie brakowało tu znacznie bardziej obytych i sprytniejszych od niej subiektów. Mimo to postanowiła spróbować – taki był przecież cel jej wizyty.

– Handel, powiada pani – zastanowił się, gdy wyłuszczyła mu swoją sprawę. – Tak, wiem, że ma pani w tym pewną praktykę. Pani kuzyn coś mi o tym wspominał...

A więc jednak, stropiła się Kinga. Zbyszek napomknął to i owo w jej sprawie. Wobec tego niepotrzebnie się na niego gniewała. Ale czemu, na litość boską, nie przyznał się, że próbował coś zrobić?

– Nie będę ukrywał, że nie będzie z tym łatwo – przyznał z zakłopotaniem Adrien. – W takich miejscach najchętniej zatrudnia się Francuzów, w dodatku większe szanse mają mężczyźni niż kobiety.

Przypomniała sobie, że i Zbyszek dał jej to do zrozumienia. Nie uwierzyła mu, sądziła, że najzwyczajniej w świecie uciekał się do wykrętów, ale okazuje się, że jednak mówił prawdę. Nie starała się nawet ukryć rozczarowania. A przy okazji także zaskoczenia.

– Trudno mi to pogodzić z moim wyobrażeniem na temat Paryża. Rozumiem, że podobne zwyczaje mogą panować na prowincji, ale w Paryżu?

– No cóż, jak wielu innych przybyszów, tak i pani uległa pewnym fałszywym wyobrażeniom czy też stereotypom na temat miasta, w którym podobno wszystko jest możliwe, wszystko jest aprobowane i w którym

spełniają się wszystkie marzenia. To dlatego, że wy, cudzoziemcy, choć nie tylko cudzoziemcy, bo dotyczy to także mieszkańców francuskiej prowincji, myślicie o Paryżu przez pryzmat jego rewolucyjnej przeszłości. Uważacie, że mieszkańcami tego miasta są w większości liberałowie i wszelkiej maści wolnomyśliciele. A oprócz tego malarze, poeci, literaci. Bohema. A tymczasem nasze społeczeństwo w przeważającej mierze hołduje innym wartościom, zdecydowanie bardziej tradycyjnym. Takie właśnie są niepodważalne fakty. Można na nie narzekać, a nawet dyskutować na ich temat, ale walka z nimi jest z góry skazana na przegraną.

– Jak rozumiem, spora część tych zasad dotyczy kobiet? – odpowiedziała rezolutnie Kinga. Tak naprawdę nie było jej jednak do śmiechu.

Biret skosztował kolejny łyk kawy i ponownie się skrzywił.

– Co w tym dziwnego, skoro w wielu dziedzinach naszego życia nadal obowiązują zapisy Kodeksu Napoleona? – odparł. – A wielki cesarz, w wielu kwestiach niewątpliwie geniusz, wizjoner i reformator, akurat rolę kobiet sprowadzał do bardzo tradycyjnych funkcji.

– Przecież uwielbiał swoją pierwszą żonę – zaproponowała Kinga, świadoma faktu, że wielu jej rodaków zachowało wielki sentyment do cesarza. Sama także w takim duchu została wychowana.

– Tak, zgadza się, kochał ją jak wariat. Dlatego z takim trudem przyjął do wiadomości, że przez pewien czas przyprawiała mu rogi. Wybaczył, dał się jej przebłagać, ale nie zapomniał. A zapisy w kwestii prawa rodzinnego są dowodem na to, że uważał kobiety za istoty słabe i bez charakteru.

– Chyba jednak pan przesadza – zaprotestowała Kinga. – Francuzki mogą wstępować na wyższe uczelnie. W moim kraju nie ma o tym mowy.

– Mogą, owszem, ale to nie znaczy, że na każdym wydziale są witane z otwartymi ramionami. Czyżby zamierzała pani podjąć studia?

– Nie, skądże znowu – zarumieniła się. – Mam dwadzieścia osiem lat, pensję skończyłam jedenaście lat temu i nie ma mowy, abym w moim położeniu wracała do edukacji. Potrzebuję pracy, teraz tylko to się dla mnie liczy.

– Chciałbym pani pomóc, naprawdę. – Zabrzmiało to tak, jakby uznał za stosowne się przed nią wytłumaczyć. – Ale do znalezienia stosownej posady potrzebne są papiery, świadectwa, poświadczające pani umiejętności i kompetencje. W dodatku w przypadku kobiet możliwości są dość ograniczone, najczęściej poszukiwane są wykwalifikowane nauczycielki lub pielęgniarki. I raczej Francuzki.

– Rozumiem. – Kinga posmutniała. – Nie mam do tego żadnego przygotowania. Ale też nie mam warunków na zdobywanie takich kwalifikacji. Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

I naraz porwał ją gniew. Na Zbyszka. Z powodu obietnic, które jej składał w Krakowie. Że z pewnością uda się znaleźć dla niej jakieś zajęcie we Francji. Że w Paryżu czeka ją nowe życie i wiele możliwości, niedostępnych w Krakowie. Byle tylko odważyła się opuścić zaścianek i wypłynąć na szerokie wody. A ona była na tyle głupia, że mu uwierzyła. Najpewniej chodziło mu tylko o to, by wyjechała z kraju. By wyjechała z nim.

Nie zastanawiała się, że w tym momencie nie była sprawiedliwa, że jej przypuszczenia były cokolwiek na wyrost i nie miała dowodów na poparcie swoich podejrzeń. Czuła się zbyt rozgoryczona, by zdobyć się na bardziej rozważną ocenę, a przede wszystkim na obiektywizm.

Podniosła się, uznając, że chyba oboje powiedzieli już sobie wszystko, temat został wyczerpany. Na dalej idące zwierzenia nie miała ochoty – Adrien był miły i przyjazny, ale jednak obcy.

– Pójdę już – rzekła, wyciągając rękę na pożegnanie. – I jeszcze raz dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

– Obawiam się, że nie ma pani za co mi dziękować. – Uścisnął podaną dłoń. – Żeby chociaż kawa nadawała się do wypicia, ale nawet tego nie byłem w stanie zaoferować. – Ponownie próbował żartować.

– Proszę tak nie mówić. Biedny Jacques naprawdę się starał. – Pomimo strapienia nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Starał się? – Biret ponownie przewrócił oczami. – Ten chłopak ma dwie lewe ręce do roboty i albo nowa gospodyni wyprowadzi go na ludzi, albo ożenie go z jakąś jędzą i ta dopiero da mu szkołę. Ale mniejsza z nim... – Spoważniał. – Zastanowię się, co mógłbym dla pani zrobić. Nie mogę niczego obiecać – zastrzegł, spostrzegłszy nagły błysk ożywienia w jej oczach – ale nie chcę odbierać pani nadziei. Ta podobno umiera ostatnia – dodał już pogodniejszym tonem.

Kinga nie śpieszyła się z powrotem do pensjonatu. Rozmowa z Adrienem, a potem długi spacer po mieście sprawiły, że jej gniew na Zbyszka zdecydowanie osłabł. Uznała, że nie tylko przesadziła z oskarżeniami i pretensjami, ale także jej podejrzania były nie na miejscu. Zbyszek miał chyba prawo czuć się urażony i wszystkie znaki wskazywały, że tak właśnie było, a wobec tego nie mogła go dłużej unikać. Przepraszę go, postanowiła. Postaram się raz jeszcze wszystko wyjaśnić. Może teraz, gdy emocje opadły, będzie mi łatwiej. Nie możemy się od siebie odwrócić. Nie mam tu nikogo bliższego i nie sądzę, by miało się to kiedykolwiek zmienić.

Nie była wprawdzie pewna, czy nie wyszedł na wieczór do miasta, jak się jednak okazało, był na miejscu, a gdy nieśmiało zapukała do jego drzwi, uprzejmie zaprosił ją do środka. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że jej widok go zaskoczył, zapewne przypuszczał, że do pokoju wejdzie ktoś ze służby. Wyprostował się sztywno i wskazał jej krzesło, ale potrząsnęła głową.

– Bardzo mi przykro – podjęła niepewnie. – Naprawdę nie chciałam, aby

tak wyszło. Wierz mi, jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz, jednak...

Jednak nie tak to sobie wcześniej wyobrażałam, dokończyła już tylko w myślach. Chciała się przecież z nim pogodzić, a nie na nowo odgrzewać wczorajszą kłótnię.

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Byłaś u niego? – spytał i choć odniosła wrażenie, że starał się zapanować nad napięciem we własnym głosie, to jednak nie do końca mu się udało.

– Tak. Postaraj się mnie zrozumieć...

– I co powiedział? Obiecał coś konkretnego?

Ponownie potrząsnęła głową, po czym z gorzkim uśmiechem opadła na wskazane jej wcześniej krzesło.

– Właściwie powiedział to samo, co ty – przyznała.– Niczego nie obiecywał.

Rzuciła na niego spojrzenie z ukosa, pewna, że dostrzeże w jego oczach błysk satysfakcji, ale niczego takiego nie zauważyła. Zamiast tego Zbyszek usiadł na sąsiednim krześle i po chwili wahania dotknął jej dłoni. Niewiele brakowało, a instynktownie by ją cofnęła, jednak w porę się powstrzymała.

– Możesz być pewna, że cię rozumiem. – Wreszcie się uśmiechnął, choć spojrzenie miał poważne, niemal smutne. – Ale przyjmij moją radę: nie szarp się, nie działaj na oślep. A przede wszystkim bądź ostrożna. I pamiętaj: cokolwiek się wydarzy, zawsze możesz na mnie liczyć. – Nie spuszczał z niej wzroku, lecz zanim nieco zmieszana Kinga zdobyła się na to, by mu podziękować, dodał: – Naprawdę wierzę, że wszystko się jeszcze ułoży.

## ROZDZIAŁ 2

Powzięła pewien plan. Gdy następnego dnia Zbyszek zszedł do jadalni, zastał ją tam już zagłębioną w lekturze „Le Figaro”. Z trudem zapanował nad sobą, by nie okazać zdumienia, początkowo postanowił nawet, że nie będzie o nic pytał ani niczego komentował, w końcu jednak zmienił zamiar.

– Co tak zawzięcie studiujesz? – spytał niby od niechcienia. – *Les petites annonces* czy coś w tym rodzaju? – Dokładał wszelkich starań, by nie zdradzić niepokoju. Spróbował kawy i skrzywił się z niesmakiem, przez nieuwagę wsypał przynajmniej o dwie łyżeczki cukru za dużo.

– Raczej biedzę się, by zrozumieć którykolwiek z tych artykułów – odparła, odkładając gazetę. – Powinnam popracować nad moim francuskim. Kiedyś, na pensji, był to mój ulubiony przedmiot, nie przypuszczałam, że przez tyle lat zdążyłam tak dużo zapomnieć.

– Nic podobnego – zaoponował, choć wiedział, co miała na myśli. – Bez najmniejszego trudu komunikujesz się tu, z kim trzeba.

– Jak słusznie zauważyłaś, komunikuję się. Ale to za mało. Powinnam więcej czytać. Przez ostatnie lata w ogóle zaniedbałam lekturę, a do francuskich tekstów nawet nie zaglądałam. Jak mogłam kiedykolwiek przypuszczać, że mogłabym starać się tu o inną pracę niż posada pokojówki lub innej pomocy domowej?! Choć w gruncie rzeczy i do tego się nie nadaję.

Była przygotowana na to, że kuzyn ponownie zacznie jej coś

perswadować albo ją pocieszać, lecz tym razem stało się inaczej.

– A wiesz, że to wcale niezły pomysł – odparł po krótkim namyśle, nawet nie próbując jej wmawiać, że zbyt surowo się oceniła. – Mam na myśli twój zamiar, by więcej czytać i w ten sposób poszerzać horyzonty i wiedzę. Rzeczywiście do tej pory miałaś ku temu marne warunki. Już nie mówiąc o tym, że pensja, do której uczęszczaliście obie z Klementyną, nie wyposażyła was w żadne przydatne umiejętności. Ale zdaniem drogiej mamy wiedza tam zdobyta w pełni wystarczyła, by umieć poruszać się w salonie, oczywiście takim jak jej własny. A następnie znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. I nawet w tej ostatniej sprawie się pomyliła.

Kinga darowała sobie uwagę, że ciotka Maria nigdy nie zgodziłaby się z opinią syna, jakoby się pomyliła w kwestii zasad, które wyznawała i którym zamierzała pozostać wierna do końca. Były to przecież reguły przestrzegane w jej środowisku. Dobrze się w nim czuła, więc nawet jeśli czasami nie wszystko układało się po jej myśli, to winę za ten stan rzeczy ponosili ludzie, bo to oni zawodzili, a zasady jako takie zawsze były słuszne.

Zbyszek potraktował milczenie kuzynki jako niechęć do przypominania spraw, do których wolałaby już nie wracać. On zresztą także nie miał na to ochoty, dlatego dodał:

– A zatem, jeśli ci tak na tym zależy, wracaj do książek i pošlęz trochę nad nimi. Ja ślęczałem przez kilka lat studiów, garb mi prawie od tego wyrósł, teraz chętnie popatrzę, jak ty się męczysz.

– Ale ja nie zamierzam studiować – roześmiała się. – Za stara na to jestem i nie mam ochoty błąkać się po korytarzach uczelni. Zdaniem wielu w moim wieku powinnam być otoczona gromadką dzieci, a nie zasiadać w szkolnych ławach. Zamierzam zostać samoukiem, módl się, aby starczyło mi tego zapachu na dłużej.

– Wobec tego zacznę się modlić – obiecał Zbyszek. – Od lat już tego nie



robiłem, ale dla dobra sprawy gotów jestem i na to. – Sprawiał wrażenie szczerze zadowolonego z obrotu spraw.

W ciągu kolejnych czterech tygodni kilka razy miała okazję widzieć Adriena, jednak podczas krótkich rozmów nie wracali już do jej wizyty w jego domu ani do prośby, z jaką wtedy przyszła. Przeważnie zresztą obaj ze Zbyszkim zaraz gdzieś wychodzili i nie nalegali, aby im towarzyszyła. Zupełnie się tym jednak nie przejmowała. Miała co robić, a poza tym odkryła, że samodzielna nauka sprawiała jej przyjemność i chyba rzeczywiście przynosiła efekty. A te mogły okazać się w przyszłości bardzo przydatne – w każdym razie coraz bardziej w to wierzyła. Dlatego gdy na początku maja pokojówka przekazała jej bilecik od Bireta, Kinga popatrzyła na dziewczynę z takim zdumieniem, jakby zupełnie nie pojmowała, o kogo, a nawet o co w tym wszystkim chodzi.

– Ten pan czeka na dole i pyta, czy pani go przyjmie. – Pokojówka uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak wytłumaczyć tej najwidoczniej nieobytej cudzoziemce, jakie zasady obowiązują w wielkim świecie.

– Oczywiście, proszę go wprowadzić – wymamrotała Kinga, po czym zaczęła poprawiać uczesanie. Była jeszcze stosunkowo wczesna, przedpołudniowa godzina, poza tym wertowanie książek nie wymagało wizytowego stroju ani przesadnie eleganckiej fryzury. Na zmianę sukni nie miała już czasu – niezręcznie jej było prosić, aby Adrien poczekał kwadrans lub dłużej. Nie zdążyła też uporządkować książek, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

– Co za miła niespodzianka – uśmiechnęła się na przywitanie. Poczowała, że naprawdę cieszy ją ta wizyta.

– Nie byłem pewien, czy panią zastanę. W tak piękną pogodę to chyba grzech siedzieć w czterech ścianach – odparł wesoło.

– Czy dotyczy to także siedzenia w czterech ścianach biura? – odbiła

piłeczkę. – Nie pracuje pan dzisiaj?

– Ależ tak! Oczywiście, że pracuję! Interesy prowadzi się także na mieście, nie tylko we własnym biurze. Właśnie załatwiam jeden z nich. – Mrugnął do niej, a ponieważ nigdy przedtem tego nie robił, zmieszała się trochę, choć w żadnym razie nie było to nieprzyjemne uczucie. – A dokładniej rzecz ujmując, przyszedłem tu w sprawie pracy.

– W sprawie pracy? – Serce Kingi mocniej zabiło.

– A jeszcze dokładniej: w sprawie propozycji pracy. O ile pamiętam, jakiś czas temu bardzo pani na tym zależało. Czy nadal tak jest? – Powiódł wzrokiem po rozłożonych na stole i łóżku książkach, a Kinga bezwiednie podążyła za tym spojrzeniem.

– Oczywiście – odparła, choć od kilku tygodni jej czas i uwagę pochłaniała głównie nauka i lektury. Poszukiwanie pracy odłożyła na bliżej nieokreśloną przyszłość.

– A zatem... Chyba coś dla pani mam. Choć oczywiście ma pani prawo odmówić.

Przez chwilę miała mętlik w głowie, a gdy jako tako zapanowała nad galopadą własnych myśli, wskazała gościowi krzesło.

– A cóż to za posada? – spytała, zdając sobie sprawę, że czekał na jej reakcję.

– Podobno ma pani jakieś doświadczenie w pracy w handlu, czyż nie?

– Zajmowałam się rachunkami sklepowymi i korespondencją. Nie obsługiwałam klientów. – Nie była pewna, czy taka odpowiedź go zadowoliła. – Czy mam rozumieć, że znalazł mi pan jednak posadę w sklepie albo w jakimś magazynie? – spytała wobec tego niepewnie. – Z tego, co pamiętam, dał mi pan do zrozumienia, że raczej nie mam na to szans.

– Ale dałem też do zrozumienia, że mimo wszystko się rozejrzę – odparł. – Tak, chodzi o magazyn, bo chyba można to tak nazwać. Moja

znajoma jest modystką. Prowadzi dużą i elegancką pracownię krawiecką, którą lubi nazywać domem mody. To znaczy prowadzi owo przedsiębiorstwo razem z mężem, ale prawda jest taka, że to Solange jest jego duszą. Choć formalnie właścicielem jest Antoine. Naturalnie w Paryżu nie brakuje domów mody, większych, bardziej wytwornych i oczywiście dużo bardziej znanych, ale Lestigerowie całkiem nieźle sobie radzą i nie dali się zepchnąć do narożnika. Głównie dzięki Solange; jej energia, upór i talent są zaiste godne podziwu. Jest autorką większości projektów i zatrudnia kilka krawcowych i krawców, którzy zajmują się ich wykonaniem.

– Miałabym zostać jedną z nich? – spytała uprzejmie Kinga. Uznała, że przynajmniej na razie, już na wstępie nie będzie się przyznawać, że krawcowa z niej taka sama jak gospodyni domowa. Nie chciała, aby Adrien zaczął o niej myśleć jak o życiowej nieudacznicy, i dlatego zaczęła gorączkowo się zastanawiać, w jaki sposób, możliwie jak najdelikatniej, wyplątać się z tej dość kłopotliwej sytuacji.

Adrien jednak ze śmiechem potrząsnął głową.

– Nie, nie chodzi o nową krawcową. Te, które już są zatrudnione, mają wprawdzie pełne ręce roboty, ale nie chcą w swoim gronie nowej koleżanki, z którą musiałyby się dzielić zarobkami. Solange dobrze o tym wie i choć na każdym kroku podkreśla, że jej pracownicy nie mają nic do powiedzenia w sprawach prowadzenia firmy, to jednak ze swoimi krawcowymi się liczy. Są naprawdę dobre w swoim fachu, klientki je chwalą i raczej nie miałyby problemu z zatrudnieniem w innym miejscu. Przyuczanie na ich miejsce nowych pracownic mogłoby okazać się kłopotliwe i raczej trudno przewidzieć tego efekt.

– A zatem? – Kinga poczuła, że cała sprawa intryguje ją coraz bardziej. Adrien potrafił stopniować napięcie.

– Moja przyjaciółka szuka kogoś, kto pomógłby jej w najrozmaitszych

sprawach, na które ona nie ma czasu albo ochoty. Wiem, że brzmi to bardzo enigmatycznie – dodał, spostrzegłszy rozterkę na twarzy Kingi.

– Wierzę, że wyjaśni mi to pan dokładniej – odparła na tyle rezolutnie, na ile zdołała, i ponownie wskazała krzesło. – Czemu pan nie siada?

– Nie mam czasu się rozsiadać. – Energicznym krokiem ruszył ku drzwiom. – Ma pani najwyżej kwadrans na przygotowanie się do wyjścia, poczekam na dole. Zaprowadzę panią do Solange, a ona sama najlepiej wszystko pani objaśni. Ale musimy się pośpieszyć, bo wyraźnie dała mi do zrozumienia, że jeśli nie zjawimy się w ciągu najbliższej godziny, sama w końcu znajdzie kogoś na to miejsce.

– Nikt się jeszcze nie zgłosił?

– Nikt, kto by się jej dostatecznie spodobał. Jest bardzo wybredna w doborze pracowników.

– To raczej niezbyt dobrze mi wróży – odparła z lekkim przekąsem Kinga.

Uznała, że lepiej nie wpadać w entuzjazm i nie robić sobie wielkich nadziei.

– Nic pani nie traci, spróbować nie zawadzi. Ma pani pewne cechy, a także umiejętności i doświadczenie, które mogą jej się spodobać. I na pani korzyść przemawia fakt, że Solange, podobnie jak ja, nie cierpi sama szukać nowych pracowników. Jest szczęśliwa, gdy ktoś ją w tym wyręcza. Ale tracimy teraz czas na próżne dywagacje. Rozmawiać możemy po drodze.

\*\*\*

Podejrzewała, że Zbyszek nie przyjmie najlepiej informacji o znalezieniu przez nią zatrudnienia. Nie ukrywał przecież zadowolenia, że w ostatnim czasie przestała lamentować nad swoją bezczynnością i brakiem pracy. Najpewniej uznał, że skoro koniecznie chciała znaleźć sobie jakieś zajęcie,

ślęczenie nad zawłościami francuskiej składni i francuskich tekstów literackich było lepszym rozwiązaniem niż wielogodzinna harówka za byle jakie pieniądze, bo przecież na dobrą posadę i porządne wynagrodzenie raczej nie mogła liczyć. Z pewnością zatem nie będzie zadowolony, że jednak wróciła do poprzedniego pomysłu i w dodatku tym razem udało jej się go zrealizować. A fakt, że nie obeszło się bez pomocy Bireta, bynajmniej nie wpłynie na poprawę jego nastroju. I nie zmniejszy niepokojów.

Rzeczywiście, zgodnie z przewidywaniami Kingi Zbyszek spochmurniał i wydał wargi. Od razu po powrocie z kancelarii zapukał do jej pokoju i z dumą oznajmił, że ma dla niej niespodziankę w postaci biletów na *Madame Butterfly*, lecz okazało się, że to ona miała dla niego nowinę. Gdy usłyszał, w czym rzecz, od razu zmarkotniał.

– Masz pracować dla jakiejś modystki? – mruknął. – Naprawdę jesteś aż tak zdesperowana?

– Nie słuchasz mnie – nastroszyła się. – Przecież nie będę siedzieć nad maszyną.

– Nie. Czeka cię użeranie się z zarozumiałymi i opryskliwymi klientkami, które przeważnie na wszystko narzekają i szukają dziury w całym, byle tylko obniżyć cenę. Będziesz słuchać ich impertynenckich uwag i znosić fochy. Z tego, co mi wiadomo, do tego zakładu raczej nie przychodzą wielkie damy, takie prawdziwe, z krwi i kości. Wielkie damy wybierają inne, znacznie elegantsze domy mody, a swoje ewentualne zastrzeżenia wyrażają z klasą i taktem. Nie oczekuj tego po klientkach pani Lestiger, które wprawdzie udają, że są księżniczkami, ale brakuje im wychowania i obycia. To najgorszy rodzaj prostactwa: parwenuśki, którym się wydaje, że wystarczy się wystroić, by stać się arystokratką.

– Bez obaw. Mam doświadczenie w postępowaniu z takimi osobami – odparła impulsywnie i dopiero potem ugryzła się w język. Zagalopowała się,

mimo wszystko mogła sobie darować tę uwagę. – Poradzę sobie, nie musisz się o mnie martwić – dodała już spokojniej, a przede wszystkim łagodniej.

– Czuję się za ciebie odpowiedzialny – mruknął. – Wiem, że ci się to nie podoba, ale tak właśnie jest.

– Nie podoba mi się, że wciąż traktujesz mnie, jakbym była bezmyślnym dzieckiem.

– Nie...

– Ależ dokładnie tak! Jakbym była dzieckiem, które trzeba stale prowadzić za rękę.

Zbyszek w duchu przyznawał, że z jej punktu widzenia mogło to tak wyglądać, i dlatego trudno było mu ją przekonać do swoich racji. W dodatku nie mógł wykluczyć, że gdyby próbował to robić, zaczęłaby go unikać, a do tego po prostu nie mógł dopuścić. Wbrew temu, co sama o sobie sądziła, nie mógł oprzeć się wewnętrznemu przekonaniu, że nie zawsze potrafiła należycie o siebie zadbać. Ani tam, w Krakowie, ani tym bardziej tutaj, w tym pięknym, lecz zwodniczym mieście, w którym aż roiło się od pułapek zastawianych na takie kobiety jak ona.

– Ludzie, którzy pracują u pani Lestiger, wcale nie są prostacy i wulgarni – dorzuciła, przerywając głuchą ciszę, jaka między nimi zapadła. – Są bardzo uprzejmi, a w ogóle cały ten zakład przypomina bardziej pracownię artystyczną niż zwykłą szwalnię, jak sobie wyobrażasz.

– Nie mówiłem o pracownikach, lecz o klienteli – zauważył.

– Moja uwaga dotyczy również klienteli, zresztą dużo bardziej różnorodnej, niż raczyłeś to przed chwilą przedstawić – odparła hardo Kinga. – Państwo Lestiger mają także umowy z trzema teatrami, którym dostarczają stroje i wykonują niektóre dekoracje. Do moich obowiązków należałoby pilnowanie kalendarza, zapisywanie tych zleceń, przyjmowanie i księgowanie wpłat. Czyli czynności podobne do tych, które wykonywałam

w sklepie Gajewskiego.

Takie czynności zleca się przeważnie mężczyznom, oboje to wiedzieli. Jednocześnie zdawali sobie sprawę, że gdyby nie osobiste wstawiennictwo Amelii Gajewskiej, a teraz Adriena Bireta, Kinga nie mogłaby raczej liczyć na taką posadę. Zbyszek jednak uznał, że nie warto podnosić tej kwestii.

Patrząc na niego, nie mogła oprzeć się spostrzeżeniu, że był człowiekiem pełnym sprzeczności. W przeszłości tego nie dostrzegała, pewnie dlatego, że widywali się sporadycznie, a rzadkie spotkania nie pozwalają dobrze się poznać. Co innego, gdy przebywa się z kimś na co dzień; wtedy wychodzą na jaw cechy, których się wcześniej nie dostrzegało. Inne poglądy, sprzeczne stanowiska. Tak jak teraz, w ich przypadku. Lecz mimo dzielących ich różnic, kilku przykrych sytuacji, Kinga nadal uważała Zbyszka za kogoś bardzo bliskiego. A jego troska o nią – choć czasem przejawiająca się w irytujący ją sposób – dawała zarazem oparcie i poczucie bezpieczeństwa, którego mimo wszystkich swoich buńczucznych zapewnień jednak potrzebowała.

– Czy kiedykolwiek widziałeś panią Solange Lestiger albo jej męża? – Ponownie złądziła ton. – Miałeś okazję poznać ich osobiście?

Odniosła wrażenie, że pytanie go zaskoczyło. Nie odpowiedział od razu, potrzebował namysłu.

– Słyszałem o nich – odparł. – Adrien o nich wspomniał. Ale on zna mnóstwo ludzi w tym mieście, trudno mi wszystkich zapamiętać. – Popatrzył na bilety z taką miną, jakby dopiero sobie przypomniał o ich istnieniu. Zmusił się do uśmiechu. – No więc jak będzie z tym przedstawieniem? Skoro się już na nie wykosztowałem, to może jednak warto by pójść? Może zobaczysz tam kostiumy i dekoracje z pracowni pani Lestiger? – dorzucił jakby mimochodem.

Jak mogła mu odmówić? Tym bardziej że po niedawnej urazie nie został

już nawet ślad.



## ROZDZIAŁ 3

– Nie uważasz, że Anetka powinna osłaniać twarz przed słońcem? Tylko patrzeć, a dostanie piegów na nosie, tak jak rok temu. Jeśli w porę im nie zapobiegniemy, piegi zostaną na dobre, nic się już nie da z nimi zrobić.

Wysłuchawszy kolejnej matczynej uwagi, Klementyna westchnęła. Wprawdzie spostrzegła, że ostatnimi czasy Burgiewiczowa nieco rzadziej wygłaszała swoje tyrady pod adresem wnuków, nic jednak nie zapowiadało, by zamierzała zupełnie z nich zrezygnować. Dobrze, że przynajmniej starała się powstrzymać w obecności zięcia, co zresztą nie było trudne, zważywszy na fakt, że widywali się zdecydowanie rzadziej niż kiedykolwiek wcześniej i żadne z nich nie dążyło, by zmienić ten stan rzeczy. Z pewnością za sobą nie tęsknili, schodzili sobie nawzajem z drogi, a gdy już się czasem spotkali, wymieniali krótkie, obojętne uwagi, tak jak to zwykli czynić ludzie, którzy wprawdzie się znają i z różnych przyczyn nie mogą się zupełnie unikać, ale w gruncie rzeczy niewiele ich już łączy, za to coraz więcej dzieli. Do tego stopnia, że nawet nie mają już ochoty na podejmowanie tematów, które z pewnością doprowadziłyby do scysji.

Burgiewiczowa wiedziała, że nie ma żadnego wpływu na zięcia, więc z pewnością wyszłaby pokonana z takiej konfrontacji. Z tego powodu postanowiła ich unikać. Zwłaszcza że ewentualna awantura dostarczyłaby paliwa do kolejnych plotek na mieście. I to w momencie, gdy wreszcie trochę

ucichł ostatni jazgot wywołany wieścią o wspólnym wyjeździe Zbyszka i Kingi do Paryża. Przez kilka tygodni sprawa ta była głównym tematem mniejszych i większych posiedzeń towarzyskich, a miasto aż szumiało od przypuszczeń i domysłów. Zarówno Burgiewiczowa, jak i jej córka były na to przygotowane, przyjęły więc taktykę wyniosłego milczenia, ignorowały aluzje, niczego nie wyjaśniały – co przez pewien czas dodatkowo podsycalo emocje, w końcu jednak je ostudziło. Tym bardziej że dalsi krewni także nie byli skorzy do zwierzeń, a przyjaciele Zbyszka szybko dali do zrozumienia plotkarzom, co o nich myślą.

W wyciszeniu plotek pomógł też inny skandal, który w pewnym momencie zupełnie przesłonił sprawę rodziny Burgiewiczów. Awantura ta dotyczyła bankructwa fabryki Jana Wrońskiego oraz licytacji jego kamienicy. A gdy przy okazji wydało się, jaką sumę fabrykant przeznaczał wcześniej na utrzymanie jednej z baletnic, miejscowi plotkarze uznali, że to znacznie ciekawsze wieści od zaskakującego wyjazdu Zbyszka Burgiewicza i jego ślicznej, od lat sprawiającej kłopoty, kuzynki. Pani Wrońska bynajmniej nie milczała dumnie jak doktorowa Burgiewiczowa, lecz publicznie wylewała pomyje na wiarołomnego męża. Ten zaś – ku uciechu gawiedzi – odpowiadał żonie pięknym za nadobne.

Burgiewiczowa odetchnęła zatem z ulgą, Klementyna także, co jednak nie sprawiło, że zapomniały o własnych problemach. Jednak zamknęły się z nimi w czterech ścianach własnych domów. Przy czym – co doktorowa stwierdziła z pewną przykrością i niezadowoleniem – jej córka także z nią nie chciała rozmawiać o swoich małżeńskich problemach. Wprawdzie domyślała się, jak sprawy stoją – obawiała się zresztą, że nie ona jedna – niemniej gniewało ją i deprymowało, że córka tak uparcie milczy na ten temat. W dodatku nie widziała sposobu, jak przełamać upór, którego Klementyna nigdy wcześniej nie przejawiała.

Oto okazało się, że wobec swej do niedawna potulnej, spolegliwej, łagodnej i ustępliwej córki Burgiewiczowa czuła się tak samo bezradna jak wobec pomysłów syna, jak kiedyś wobec męża. W ciągu minionego roku uzmysławiała to sobie niejednokrotnie – a odkrycie to bolało znacznie mocniej po wyjeździe Zbyszka, kiedy potrzebowała obecności Klementyny bardziej niż wcześniej.

Ta zaś, choć nie zaprzestała odwiedzin u matki, przychodziła jednak rzadziej niż kiedyś. W dodatku dzieci już nie zawsze jej towarzyszyły, a ściślej rzecz ujmując, poza tak szczególnymi okazjami jak święta, imieniny czy urodziny doktorowej prawie w ogóle nie pokazywały się u babki. Po prawdzie istniało ku temu racjonalne uzasadnienie – oboje, Krzyś i Anetka, byli coraz starsi, po kilka godzin dziennie spędzali w szkołach, zwłaszcza zaś gimnazjum, do którego uczęszczał Krzyś, stawiało uczniom wysokie wymagania i nauka pochłaniała mu mnóstwo czasu.

Szkoła była zatem ważnym wytłumaczeniem dla rzadkich wizyt u babki, na pewno jednak nie jedynym. Gdy byli małymi dziećmi, traktowali te odwiedziny jako coś oczywistego, wpisanego w codzienny rytuał. W mieszkaniu na Kruczej spędzali nawet więcej czasu niż w rodzinnym domu, ale nie robili z tego problemu. Nawet jeśli od czasu do czasu byli przywoływani do porządku przez babkę albo przez Tomaszową, niezbyt się tym przejmowali. Zwłaszcza gdy ich wizyta zbiegała się z odwiedzinami wuja Zbyszka. Uwielbiali go, bo nie tylko nigdy ich nie karcił i nie próbował onieśmielać, ale jeszcze nierzadko zachęcał do kolejnych figli. Pod tym względem przypominał im trochę ubóstwianego ojca – choć było to jedyne podobieństwo.

Dlatego zarówno Krzyś, jak i Anetka bardzo odczuli wyjazd wuja. Odczuli go jako wyraźną cezurę w życiu rodziny. Bo choć pozornie reszta została po staremu, to w rzeczywistości wiele się zmieniło. Właściwie

dopiero wtedy dostrzegli, że ojca i matkę niemal wszystko dzieliło i różniło. Że wprawdzie mieszkali pod jednym dachem, ale w pewnym sensie oddzielnie. Krzyś i Anetka zdawali sobie sprawę, że nie stało się to nagle, z dnia na dzień, i gdy dokładniej analizowali sprawę, zaczynali sobie przypominać, że wcześniej także można było coś zauważyć, tyle że tamte, wcześniejsze wspomnienia jawiły im się jak za mgłą, ich kontury były mocno rozmyte.

Przed laty byli po prostu zdecydowanie zbyt młodzi, by dostrzec, że w ich domu nie dzieje się dobrze. Teraz potrafili zobaczyć to, co kiedyś umykało ich uwadze. A także pochwycić jakieś słowa, zdania, aluzje, które wywoływały w nich niepokój. Niemniej woleli obserwować to wszystko we własnym domu niż wysłuchiwać uwag babki wygłaszanych podczas ich wizyt na Kruczej.

Byli wdzięczni matce, że nigdy nie dała się sprowokować Burgiewiczowej do żadnej rozmowy i zwierzeń na ten temat. A także za to, że nie pozwalała, aby babka ich krytykowała. Grzecznie, ale zarazem zdecydowanie, dawała wtedy do zrozumienia, że jej się to nie podoba, a doktorowa w końcu przyjęła to do wiadomości, aczkolwiek niechętnie. Choć pewnie do większej wstrzemięźliwości w wygłaszaniu swych nauk i uwag skłonił ją fakt, że widywała swoje wnuki zdecydowanie rzadziej niż kiedyś, toteż nie chciała ich do siebie dodatkowo zniechęcać. Przecież w gruncie rzeczy naprawdę była do nich przywiązana i żywiła przekonanie, że wszelkie uwagi, pouczenia i połajanki na pewno wyjdą im na dobre.

Dlatego bardzo bolała nad faktem, że ostatnimi czasy nie może wygłaszać ich tak często i otwarcie jak w przeszłości. Co nie oznaczało, że zupełnie z nich zrezygnowała – jak choćby dziś, gdy korzystając z pięknej majowej aury, wybrały się z Klementyną na przechadzkę do parku. I choć przyroda wabiła swoją świeżością, a wybujala zielen drzew i krzewów radowała oczy

i zmysły licznych spacerowiczów, doktorowa nie poddawała się ogólnemu pogodnemu nastrojowi. Rozglądała się wokół z zasepionym wyrazem twarzy, starając się przy tym jak najskuteczniej osłonić głowę przed gorącymi promieniami słońca, którego nigdy nie lubiła i traktowała je z największą podejrzliwością.

Klementyna wciąż pamiętała jej przestrogi, by chować się pod parasolem, w przeciwnym razie twarz pokryje się piegami, których potem nie sposób się już pozbyć. Gdy już raz „zainfekują” czyjeś oblicze, będą powracały każdego kolejnego lata. A nic tak nie psuje cery i urody jak właśnie te przekłete, znienawidzone cętki. Oczywiście w przeszłości Klementyna bez słowa sprzeciwu przyjmowała te rady, podobnie zresztą jak wszelkie inne uwagi matki. Jako mała dziewczynka, a potem młoda panna, chowała się przed słońcem, choć przecież – inaczej niż doktorowa – kochała dotyk ciepłych promieni na skórze, tęskniła za nimi przez długie jesienne i zimowe miesiące. Zarazem jednak przyznawała matce słusność, także dlatego, że jej delikatna, jasna karnacja faktycznie reagowała na słońce dokładnie tak, jak przewidywała to doktorowa – robiła się czerwona i pojawiały się na niej piegi, które jednak na szczęście potem znikwały.

Coś podobnego ani razu nie spotkało Kingi, choć ta, czy to z roztrzepania, czy z przekory, nie unikała słońca, a jej skóra pokrywała się delikatną, zdrową opalenizną, czemu zapewne sprzyjał fakt, że jako brunetka miała znacznie ciemniejszą, a więc bardziej odporną karnację. Anetka była do niej pod tym względem podobna, choć ci, którzy pamiętali Klarę Niwińską, twierdzili, że jeszcze bardziej przypominała swoją cioteczną babkę. Tak czy owak, piegi jej nie groziły, toteż gdy Klementyna usłyszała surową przyganę matki, z najwyższym trudem oparła się pokusie, by o tym nie wspomnieć. Zamiast tego wzruszyła ramionami, zmuszając się równocześnie do beztroskiego uśmiechu.

– Przecież nie ma jej tu z nami – oznajmiła. – Siedzi zamknięta w murach pensji, gdzie żaden promień słońca się nie przebija.

Szkoła, do której uczęszczała Anetka, a w przeszłości także jej matka i Kinga, służyła z grubych murów, a jakby tego było mało, z trzech stron osłaniały ją rozłożyste dęby.

Riposta córki nie spodobała się Burgiewiczowej.

– Nie chodzi o to, że teraz jej tu z nami nie ma. Nie raz i nie dwa miałam okazję widzieć, że przebywała na pełnym słońcu, w ogóle się nie przejmując, czym to może skutkować – odparła oschle.

Klementyna najchętniej pozostawiłaby tę uwagę bez komentarza, zaczęła nawet szybko się zastanawiać nad zmianą tematu, ale jak na złość żaden nie przychodził jej do głowy. A doktorowa, nie zważając na milczenie córki, dodała karcąco:

– Jako matka powinnaś z nią o tym porozmawiać. I o paru innych kwestiach. Już czas, by nauczyła się powściągać swój temperament i zachowywać się jak młoda dama. To, co od biedy można zaakceptować w zachowaniu małego dziecka, w przypadku dorastającej panienki już nie uchodzi.

– Ma czternaście lat – nie wytrzymała Klementyna. – Jest jeszcze dzieckiem. Co w tym dziwnego, że lubi zabawy na słońcu? I że trudno jej usiedzieć w jednym miejscu, skoro jest taka żywiołowa?

– Żywiołowa? – Burgiewiczowej najwyraźniej nie spodobało się to określenie. – Jej, jak to nazwałaś, żywiołowość może jakoś ujść podczas letniego pobytu na wsi, ale na pewno nie w czasie spaceru w Łazienkach. Przecież to, co wyczyniała, gdy ostatnio zabrałyśmy ją na spacer, było zupełnie nie do przyjęcia. Zwracała na siebie, a przy okazji na nas, powszechną uwagę. Kilka znajomych pań nie odrywało od niej wzroku, a hrabina Leśniewska aż odwróciła głowę, aby za nami popatrzeć.

Hrabina Leśniewska, podobnie jak inne arystokratki, nie zaliczała się bynajmniej do znajomych doktorowej i wcale do tego nie pretendowała, pomimo zdwojonych wysiłków tej ostatniej. Klementyna przypomniała sobie zjadliwe komentarze męża w tej sprawie – wówczas słuchała ich z przykrością, nawet z gniewem, teraz gotowa była się pod nimi podpisać.

– Ja natomiast zauważyłam, że moja córka jest przez wszystkich lubiana – odparła sztywno. – Ty jedna przejmujesz się sprawami, które dla innych nie mają znaczenia.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że mówiąc w ten sposób, dolewa oliwy do ognia, ale z doświadczenia wiedziała, że ignorowanie uwag matki do niczego nie prowadzi. Doktorowa umiała sobie z tym radzić, milczenie rozmówcy, nawet jeśli ją drażniło, nie zachęcało do zmiany tematu. Co najwyżej sama prowadziła tyrady. Jedynym sposobem było wówczas wtrącenie takiego komentarza lub riposty, na które nie znajdowała już odpowiedzi, ani argumentów na poparcie swoich tez. Lecz Klementyna, pomimo że w ciągu ostatnich dwóch lat zmieniła wiele w swojej dotychczasowej ustępliwej postawie, wciąż nie zawsze potrafiła zdobyć się wobec niej na bardziej kategoryczny ton. Chłodny wyraz twarzy i oschłe brzmienie głosu było wszystkim, na co sobie pozwalała, a to nie zawsze odnosiło skutek.

– To ma znaczenie. – Burgiewiczowa bez wahania podjęła rękawicę. – I szczególnie ty, jako matka, powinnaś zwracać jej uwagę. Cieszysz się, że na razie jest lubiana. Bądź pewna, że ani się obejrzysz, a zaczną ją krytykować. Jestem zresztą przekonana, że już to robią za twoimi plecami. A gdy ludzie zaczną gadać, bardzo trudno to potem naprawić. Jesteś zbyt pobłażliwa dla swoich dzieci, wielokrotnie ci to mówiłam, ale ty wolałaś słuchać swojego męża, licząc na to, że mu się przypodobasz... – Przerwała, uznawszy, że wystarczająco daleko wypuściła swoje strzały. Dalej znajdowały się tereny,

na które Klementyna nie pozwalała jej wchodzić. Oczywiście doktorowa nie obawiała się córki, wołała natomiast nie zadzierać z zięciem. W myślach nie szczędziła mu najgorszych określeń, miała jednak świadomość, że zupełnie się jej nie obawiał, lekcewazył ją i w każdej chwili był zdolny wywołać wielki skandal. Jaki? Burgiewiczowa wołała nie zgadywać.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odezwała się po chwili Klementyna. Jej twarz wyglądała teraz jak wykuta w kamieniu, a głos przybrał lodowate brzmienie. – Nie o moim mężu i dzieciach. Jeśli naprawdę nie mamy innych tematów, pozwolisz, droga mamó, że się pożegnam.

– Rodzina jest najważniejsza – odezwała się trochę łagodniej doktorowa.

Klementyna jednak wiedziała, że teraz przyszła pora na żale i lamenty, które zwykle pojawiały się wtedy, gdy reprimendy nie odnosiły zamierzonego skutku.

– Zgadzam się, jest najważniejsza – odparła, pilnując, by nie dać się zmiękczyć. – W takim razie może pomówimy o Zbyszku. Niedawno dostałam od niego wiadomość.

– Ja także – przytaknęła ponuro doktorowa.

– Czyżby donosił mamie o czymś, o czym nie wspomniał w liście do mnie? – spytała niewinnie Klementyna, choć oczywiście odgadywała, jakie były przyczyny niezadowolenia matki. – Ja odniosłam wrażenie, że jest bardzo zadowolony i humor mu dopisuje.

– Och, dajże spokój – zniecierpliwiła się Burgiewiczowa. – Dobrze wiesz, o co chodzi.

– O Kingę, tak? – Klementyna zdumiała się, że z taką łatwością przeszło jej przez gardło imię kuzynki. – Nadal pracuje u tej... modystki. Zapewne nie przynosi to chwały naszej rodzinie, ale mogło być znacznie gorzej.

– Nie obchodzi mnie, gdzie ta latawica pracuje, co porabia i czy w ogóle jeszcze żyje. – Tym razem doktorowa podniosła głos na tyle, że kilka osób



odwróciło się za nimi. Spozrzęła to i zmieszana umilkła.

Klementyna na moment także zaniemówiła. Nie przypomiwała sobie, by kiedykolwiek wcześniej słyszała podobne sformułowania w ustach matki. I takie określenia. Latawica?

– Wolałabyś, aby żyła na jego utrzymaniu? – spytała, gdy wreszcie odzyskała głos.

Aby była jego utrzymanką – taki był prawdziwy sens tego pytania, lecz na podobną dosłowność Klementyna za nic by się nie zdobyła. Obie to zresztą rozumiały. Naraz poczuła, że i tego tematu ma dość. Że najchętniej wróciłyby do własnego domu... Jednak o tej porze nikogo poza służbą w nim nie było. Dzieci wrócą dopiero za kilka godzin i zaraz zajmą się nauką. A mąż? No cóż, niewykluczone, że wcale go dziś nie zobaczy. Może dopiero jutro przy śniadaniu, a może i to nie. Towarzystwo matki bywało nużące i frustrujące, ale samotność była jednak trudniejsza do zniesienia.

– Wolałabym, aby definitywnie zniknęła z naszego życia – wycedziła przez zęby Burgiewiczowa, ale przynajmniej tym razem nikt z postronnych tego nie usłyszał. – Jednak chwastu nie tak łatwo się pozbyć.

– Przecież tak się stało. – Klementyna z trudem się powstrzymała, by nie potrząsnąć matką. – Nie ma jej tu.

– Naprawdę? – skrzywiła się doktorowa, ale wbrew temu grymasowi w jej głosie nie słychać było ironii, a jedynie gorycz. – Ja też to sobie kiedyś wmawiałam. Że tamtej już nie ma, że tym razem odeszła definitywnie, na zawsze. Ale takie nigdy nie odchodzą. Nie da się ich wyplenić. Zawsze coś po nich zostaje. Tak samo zepsute jak one. – Po czym, nie zważając na córkę, przyśpieszyła kroku.

Klementyna nawet nie próbowała za nią nadążyć. Nie dbając o przechodzących obok spacerowiczów, zatrzymała się na środku alejki i wlepiła wzrok w oddalającą się postać matki. Było dla niej jasne, że słowa,

które przed chwilą padły, nie odnosiły się jedynie do Kingi. A właściwie odnosiły się do niej jedynie w niewielkim stopniu, niejako przy okazji. Tak jak połajanki, które kuzynka zносиła przez te wszystkie lata, gdy mieszkały jeszcze razem. Nie ona była ich adresatką, w każdym razie nie tylko ona. Zresztą Klementyna od dawna to podejrzewała. Teraz miała już pewność.

W nocy, gdy w domu panowała już głucha cisza, postanowiła wreszcie odpowiedzieć na ostatni list Zbyszka. Dzieci pogrążone były już w głębokim śnie. Służba także dawno skończyła pracę. Aleksander jeszcze nie wrócił. Doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby nie dzieci, prawie by go nie widywała.

Wiedziała, że tej nocy nie zmrzuci oka, nie pozwalały jej na to kotłujące się w głowie myśli. I przygnębienie, które w bezsenną noc jest szczególnie trudne do zniesienia. Siedząc przy biurku, mozolnie kleciła kolejne zdania. Ileż by dała, by móc pomówić z bratem w cztery oczy! Nigdy nie lubiła pisać listów. Słowa na kartce nie oddawały całej gamy uczuć, jakich w tej chwili doznawała. Były... martwe. Choć może to dlatego, że w niej samej nie było żadnej ikry? Nie tylko dzisiaj, lecz... nigdy.

*Mama zamartwia się o Ciebie – zaczęła bez żadnego wstępu. – Niepokoi się także moimi sprawami, ale ja przynajmniej jestem na miejscu, widzimy się, a ponieważ mało co się przed nią ukryje, bez trudu odgaduje lub domyśla się, jak wygląda moje życie. Zresztą chyba nigdy nie spodziewała się po mnie niczego niezwykłego, żadnych imponujących osiągnięć. Nie to miało być moim przeznaczeniem. Z Tobą zawsze wiązała dużo większe nadzieje i zupełnie inne oczekiwania. I spełniłeś je – zdobyłeś dyplom wyższej uczelni, bez trudu znalazłeś dobrą posadę, najpierw w Warszawie, a potem w Paryżu. Jest z Ciebie dumna, zawsze była. Nasz drogi papa w pełni podzielał to uczucie, być może była to jedyna kwestia, co do której się zgadzali. A jednak mama chciałaby dla Ciebie czegoś więcej – pragnie, abyś założył rodzinę.*

*Marzy o synowej i wnukach, z których mogłaby być tak samo dumna jak z Ciebie. W ten sposób spełniłyby się jej marzenia o idealnej rodzinie – bo ja pod tym względem ją zawiodłam. Tak naprawdę rozczarowałam ją pod wieloma innymi względami.*

Żałosne, pomyślała z odrazą, zgniatając w dłoni zapisaną do połowy kartkę. Palce ubrudziła atramentem, ale nie dbała o to. Mniejsza z tym, przecież i tak nie wysłałaby Zbyszkowi tych żalonych wycięć. Bez trudu zgadywała, jak by na nie zareagował. Pewnie starałby się ją podnieść na duchu, zapewniając, że to właśnie ona jest dla ich matki prawdziwą pociechą. Że to dzięki niej matka nie czuje się osamotniona, a poza tym to przecież córka była zawsze jej oczkiem w głowie. A przy okazji by przypomniał, że jego marzenia o szczęśliwej rodzinie raczej nie pokrywają się z wyobrażeniami ich matki o idealnej kandydatce na synową, o wnukach już nie wspominając. Kiedyś, przed laty, wspominał coś na ten temat i Klementyna nie wątpiła, że nie zmienił zdania. Być może w ogóle nie zamierzał zakładać rodziny. Niewykluczone, że odpowiadało mu takie życie, jakie teraz prowadził. Z daleka od matki, która bardzo chętnie zajęłaby się jego osobistymi sprawami. I od siostry, która nie radziła sobie ze swoimi. Za to blisko kobiety, która wprawdzie była ich kuzynką, lecz której żadne z nich – choć z różnych powodów – tak nie traktowało. Nie potrafili myśleć o niej jak o bliskiej krewnej – było to niemożliwe, skoro ich matka wciąż nie była w stanie tak myśleć o swojej rodzonej siostrze.

## ROZDZIAŁ 4

Pierwsza rozmowa z *madame* Lestiger podobno onieśmielała każdego. Niewysoka, bardzo szczupła dama, która z wyglądu bardziej przypominała surową przedstawicielkę purytańskiej wspólnoty niż modystkę, sprawiała takie wrażenie, jakby ani razu w swoim życiu się nie uśmiechnęła. Bystre spojrzenie jej wyrazistych, ciemnych oczu zdawało się przenikać rozmówcę na wskroś, jakby czytało w jego myślach, a zarazem oceniało, jakim jest człowiekiem i czy w ogóle warto poświęcać mu choćby minimum uwagi.

Kinga nie była tu wyjątkiem i gdyby nie Adrien, który towarzyszył jej podczas pierwszego spotkania, uciekłaby w popłochu już na sam widok ewentualnej przełożonej. Była pewna, że nie wywarła wówczas na pani Solange dobrego wrażenia, a została zatrudniona jedynie wskutek interwencji i próśb ich wspólnego przyjaciela. Przez pierwszych kilka dni nosiła się z zamiarem zrezygnowania z tego zajęcia, nie wyobrażała sobie bowiem, jak mogłaby wytrzymać pod rządami osoby, w obecności której traciła resztki pewności siebie, była stale spięta i zdenerwowana, a do tego przekonana, że każde zleczone zajęcie wykonuje nie tak, jak powinna. Jednak nie porzuciła posady. Po pierwsze dlatego, że wstyd jej było przed Adrienem, a po drugie – wbrew jej obawom, *madame* Lestiger wcale nie dawała do zrozumienia, że jest niezadowolona z jej pracy. A kiedy pod koniec drugiego tygodnia przełożona przyznała, że wreszcie w dokumentach i rachunkach zapanował

porządek, jakiego nigdy dotąd nie było, Kinga w jednej chwili nabrała otuchy i wreszcie zaczęła patrzeć z optymizmem w przyszłość.

– Podobne obowiązki wykonywałam, gdy pracowałam w sklepie galanteryjnym w Krakowie – przypomniła grzecznie, bo wyglądało na to, że Solange czeka na jej odpowiedź. Co już samo w sobie mogło także zaskakiwać, zważywszy na fakt, że *madame* na ogół nie uciniała sobie pogawędek z pracownikami. I być może nie dotyczyło to tylko ich – sprawiała bowiem takie wrażenie, jakby w ogóle szkoda jej było czasu na jakiegokolwiek rozmowy, które nie dotyczyły prowadzonego przez nią zakładu.

– Z własnym mężem też pewnie o niczym innym nie mówi – skomentowała jedna z krawcowych, gdy Kinga pozwoliła sobie na taką uwagę, skądinąd zresztą bardzo ostrożną i zawoalowaną. – Nic dziwnego, że nie mają dzieci – dodała, mrugając przy tym znacząco.

Kinga w pierwszej chwili mocno się zmieszała, zwłaszcza że pozostałe szwaczki roześmiały się perliście, jednak szybko się zorientowała, że nie miała powodu do niepokoju. W zachowaniu tych kobiet nie było niczego złośliwego ani obraźliwego, a ich frywolny, może nawet swobodny sposób bycia miał w sobie coś ujmującego i sympatycznego. I najpewniej wpływał z faktu, że na co dzień miały często do czynienia z aktorkami, które ich nie peszyły, za to imponowały im pod każdym możliwym względem. O takiej swobodzie nie mogły nawet marzyć krawcowe zatrudnione w innych, bardziej znanych pracowniach, których klientki nie szczędziły szwaczkom przykrych słów wypowiedzianych lodowatym tonem. Jednak szczęśliwie takie panie rzadko odwiedzały zakład Lestigerów, a pracownicy *madame* Solange bynajmniej za nimi nie tęsknili.

W sklepie Gajewskiego, rządzonego twardą ręką przez Antoniego, panowały zupełnie inne zwyczaje. Stary subiekt za nic w świecie nie dopuściłby do takich rozmów i żartów, jakie w pracowni Lestigerów były

niemal na porządku dziennym. Antoni nie miał poczucia humoru i trudno było go sobie wyobrazić w gronie rozchichotanych kobiet, zwłaszcza że zawsze konsekwentnie sprzeciwiał się zatrudnianiu panien sklepowych, które jego zdaniem nie tylko byłyby nieuważne i roztrzepane, ale do tego jeszcze flirtowałyby z kolegami. Jeżeli pozostali subiekci mieli ochotę ponarzekać lub pożartować, czujnie oglądali się przez ramię, nie mogli bowiem liczyć na żadną wyrozumiałość ze strony starego subiekta.

Tymczasem zatrudnione przez *madame* Lestiger kobiety najwyraźniej lubiły swoją chlebodawczynię i żadna z nich za nic by się nie zgodziła, gdyby ktoś zarzucił im brak szacunku wobec niej. Zdumiałyby się i wzruszyłyby ramionami. Co najwyżej z figlarnym błyskiem w oku poprosiłyby, aby broń Boże nie powtarzać ich słów szefowej.

Kinga nie miała zamiaru niczego powtarzać, a kiedy usłyszała od Solange pochwałę za dobrze wykonywaną pracę, po raz pierwszy poczuła, że i ona już się jej nie lęka.

– Oczywiście, pamiętam – przytaknęła Solange, gdy Kinga przypomniała jej, że ma pewne doświadczenie jeszcze z Krakowa. – Adrien też mi o tym mówił – dodała, a w jej na ogół surowym spojrzeniu pojawiło się słabe światełko. – Wychwalał panią pod niebiosa. Myślałam, że przesadza, jak to on, ale ponieważ nie dawał mi spokoju i przez kilka tygodni nagabywał dzień w dzień, postanowiłam ustąpić i dać pani szansę. Choć, teraz mogę się do tego przyznać, nie wierzyłam, że zagrzeje tu pani miejsce. Nie bardzo wierzyłam, że jakakolwiek kobieta byłaby w stanie należycie skoncentrować się nad dokumentami, zleceniami, rachunkami i jeszcze dodatkowo potrafiłaby dopilnować terminarza. Ja sama nie mam do tego cierpliwości. Kiedyś zajmował się tym mój mąż, ale rzucił tę robotę dla prowadzenia innych interesów. Znacznie ciekawszych z jego punktu widzenia, choć ja uważam je za zbyt ryzykowne. No, ale jakoś sobie radzi – dodała łaskawie. –

Dlatego szukałam kogoś na jego miejsce, ale nie bardzo mi to wychodziło. Przez pewien czas pracował tu skądinąd zacny staruszek, starał się, jak mógł, ale dziewczęta działały mu na nerwy. – Lekko rozciągnięte wargi miały zapewne imitować uśmiech. Kinga domyśliła się, że wdzięcznym mianem dziewcząt zostały ochrzczone krawcowe, z których żadna nie była już młodą panną. – Tak czy inaczej, mogę stwierdzić, że sprawiła mi pani miłą niespodziankę. Adrien tym razem nie przesadził. – Zamyśliła się, a może zawahała, zanim dodała: – Bardzo panią lubi.

Słowa te, zwłaszcza ostatnie, w dodatku w połączeniu z zastanawiającym spojrzeniem, sprawiły, że Kinga poczuła gorąco na policzkach. Nagle przypomniała sobie reakcję Antoniego na niespodziewaną wizytę Aleksandra.

– To zrozumiałe, że mogła mieć pani obawy co do mojej osoby – odparła drżącym ze zdenerwowania głosem. – Wcale się temu nie dziwię. Kobieta, a do tego cudzoziemka, która objęła posadę do tej pory piastowaną przez mężczyzn... Postaram się, aby w przyszłości także była pani ze mnie zadowolona.

Jak się jednak okazało, pani Lestiger miała w tej sprawie coś jeszcze do dodania. Choć najwyraźniej zmagala się ze sobą, zanim zdecydowała się mówić dalej.

– Adrien to dobry człowiek, bliski mi z różnych powodów. Ale lepiej i roztropniej dla pani będzie nie wiązać z nim żadnych życiowych planów. Niejedna na to liczyła i srodze się zawiodła.

Chyba nawet Antoni nie ująłby tego tak bezpośrednio i dosadnie. Kinga odniosła takie wrażenie, mimo że Solange Lestiger wyraziła swoją opinię jednostajnym, pozornie obojętnym tonem. Miała ochotę natychmiast opuścić jej gabinet z podniesioną głową, ale zdrowy rozsądek kazał jej siedzieć nieruchomo na krześle. Musiała jednak jakoś odnieść się do słów

przełożonej, nie miała innego wyjścia.

– Nie wiązę żadnych życiowych planów z pani przyjacielem – oznajmiła, lecz choć starała się, by jej głos brzmiał tak samo obojętnie jak głos Solange, nie do końca jej się to udało. – Nawet mi to do głowy nie przyszło. Prosiłam go o pomoc w znalezieniu posady, ale nie oczekiwałam, że aż tak się w to zaangażuje. Że nie będzie dawał pani spokoju, nagabywał i tak dalej. Gdybym się o tym wcześniej dowiedziała, z pewnością bym mu tego zabroniła.

– No już dobrze, nie chciałam pani zdenerwować. – Solange podniosła dłonie. – Nie wtrącam się w życie prywatne moich pracowników, choć tak zapewne pani o mnie teraz myśli. Udzieliłam jedynie przyjacielskiej rady, to wszystko. Jak widać, niepotrzebnie, ale tak czasem bywa. Poza tym, jak już wspomniałam, jestem zadowolona z pani pracy, a to najważniejsze.

A może jednak powinnam bardziej uważać, myślała posępnie Kinga, gdy z powrotem zasiadła do papierów i rachunków. Tym razem z trudem koncentrowała się na pracy, myślami uciekała gdzie indziej. Może faktycznie zbyt często widywano ją w towarzystwie Bireta? Dotąd się tym nie przejmowała. Po prostu z góry założyła, że w takim mieście jak Paryż nikt nie będzie zwracał na to uwagi ani tego komentował – teraz przekonała się, że była naiwna. Kraków, Warszawa czy Paryż – pewnych spraw ludzie nie puszczają płazem. Plotki rodzą się wszędzie. I wszyscy lubią ich słuchać, niezależnie od klasy społecznej i środowiska. Oczywiście mogła nie przykładać wagi do słów pani Lestiger i żyć dalej po swojemu – jednak nie potrafiła. A uzmysłowienie sobie, że takich komentarzy mogło być więcej, tylko pogarszało sprawę. I nie zmieniał tego fakt, że były one zupełnie bezpodstawne. Wyjaśniając przełożonej, że nie wiązała i nie wiąże żadnych życiowych planów z Adrienem, nie mijala się z prawdą. Lubiła go, nawet bardzo, ale nigdy nie brała pod uwagę niczego więcej. Nie zamierzała się



z kimkolwiek wiązać. Nie mogła...

Od pewnego czasu podejrzewała, że także Zbyszek miał zastrzeżenia do jej coraz bardziej zażyłej przyjaźni z Biretem. Wprawdzie nigdy nie powiedział tego wprost, niemniej czasem pozwalał sobie na pewne aluzje, które kwitowała śmiechem i żartami. Dziś, po rozmowie z Solange, nie było jej już do śmiechu. Zwłaszcza że – teraz to sobie uzmysłowiła – w jego spojrzeniu pojawiała się ta sama troska i niepokój, które dostrzegła w oczach przełożonej. Czy to oznaczało, że wyciągał takie same wnioski? Bardzo możliwe. W dodatku niewykluczone, że ani on, ani *madame* Lestiger nie byli w tej kwestii wyjątkami.

Kinga poczuła nieprzyjemne pulsowanie w skroniach i przycisnęła palce do czoła. Osobiście nigdy nie pasjonowała się plotkami i starała się trzymać od nich z daleka. Co nie zmieniało faktu, że odkąd pamiętała, sama bywała ich wdzięcznym tematem. I to pomimo tego, że nigdy nie chciała zwracać na siebie uwagi. Gotowa była trzymać się z boku, w cieniu, pozostać sobą. Dwa marzenia, których najwidoczniej nie da się pogodzić.

Wróciła myślami do Zbyszka. Regularnie korespondował z rodziną i na początku dwa lub trzy razy zapytał, czy nie zechciałaby przeczytać tych listów. Za każdym razem odmawiała, ale w taki sposób, by nie sprawić mu przykrości. Jak by nie patrzeć, chodziło przecież o jego matkę, siostrę, siostrzeńców. Ze szwagrem nie wymieniał żadnych listów, tak jej dał do zrozumienia, choć nie odważyła się o to wprost zapytać. Ale uwierzyła, że tak było, zbyt wiele okoliczności za tym przemawiało. „Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi” – tak jej kiedyś wyznał, gdy jeszcze mieszkała na Kruczej. Po prostu pogodził się z wyborem siostry i obecnością Aleksandra w ich rodzinie. Ani razu nie doszło między nimi do poważnego konfliktu czy też do szermierki słownej. Zachowywali poprawne stosunki, nie unikali się nawzajem, nawet do pewnego stopnia się lubili, ale każdy z nich wiedział, że

nie zostaną między nimi zadziergnięte żadne silniejsze więzy przyjaźni. Znadto się różnili i poza obowiązkowymi spotkaniami rodzinnymi każdy z nich obracał się w swoim kręgu towarzyskim.

Fakt, że Kinga nie była zainteresowana lekturą listów ciotki i Klementyny do Zbyszka, nie oznaczał, że nie miała z kim korespondować. Utrzymywała regularny kontakt z panną Adamską i ciotką Amelią, która za każdym razem dołączała pozdrowienia od swojego ojca.

Czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczy? Choćby jedną z nich?

Potrząsnęła głową, nie powinna poddawać się takim nastrojom, czas wrócić do rzeczywistości. Do tego, co tu i teraz. Zbyt częste spoglądanie w przeszłość nic nie da, niczego nie zmieni, nie naprawi popełnionych błędów, za to może sprawić, że człowiek pogubi się w terażniejszości i nie zbuduje przyszłości. Nostalgia i tęsknota nie powinny jej tego uniemożliwiać. A jednak do końca dnia nie potrafiła się ich pozbyć.

Później jakoś powróciła do równowagi, udało jej się odsunąć na bok rozterki i niepokój. Nie może ustawicznie obawiać się plotek ani tego, co ludzie powiedzą. Ludzkiego gadania stale obawiała się ciotka Maria, właśnie to wciąż zatruwało życie jej i reszty rodziny. Nie, na miłość boską, ona, Kinga, nie może powielać takiego przykładu. Przecież tu, w Paryżu, nie robiła niczego niewłaściwego, a na ludzkie domysły i gadanie i tak nie miała wpływu. Była wolna i tak powinna żyć.

Otrzeźwienie przyszło kilka tygodni później, gdy przechadzając się nieopodal mieszkania Bireta, postanowiła go odwiedzić, a fakt, że nie była to zapowiedziana wizyta, zupełnie jej nie przeszkadzał. Przecież nie kto inny, jak właśnie Adrien niejednokrotnie ją zachęcał, by przychodziła, kiedy tylko znajdzie się w pobliżu jego domu.

Drzwi otworzyła pani Gautier, która od kilku miesięcy była tu zatrudniona jako gospodyni i zgodnie z tym, czego od niej oczekiwano,

faktycznie zaprowadziła porządek w gospodarstwie. Od razu też zyskała sympatię Kingi – skądinąd odwzajemnioną – a i Adrien wyrażał się o niej z uznaniem, choć zarazem żartobliwie narzekał, że nowa gospodyni także i jemu narzuciła swoje zasady, co w znacznej mierze ograniczyło jego dotychczasową wolność.

Tym razem jednak pogodna zazwyczaj pani Gautier wyglądała na zafrasowaną i zmieszaną.

– Pana Bireta nie ma w domu – oznajmiła.

– Nic nie szkodzi – odparła wesoło Kinga. – Proszę się nie martwić. Nie zapowiadałam się, po prostu byłam w pobliżu i pomyślałam... Mniejsza z tym. Do widzenia.

– Nie, nie chodzi o panią. – Pani Gautier ściszyła głos, tak że teraz przypominał sceniczny szept. – Pan Biret powinien niedługo wrócić i na pewno by się ucieszył z pani wizyty, ale... – Obejrzała się za siebie, a potem ponownie zwróciła się do Kingi. – Ale od dwudziestu minut czeka na niego w salonie młody człowiek, który przedstawił się jako jego powinowaty. Pokazał mi swoją wizytówkę, ale jego nazwisko niewiele mi mówi. Nie miałam jeszcze okazji poznać nikogo z rodziny pana Bireta.

– Chyba nikt w całym Paryżu nie miał takiej okazji. – Kinga stłumiła uśmiech, choć niepokój starszej pani wcale nie był udawany. Sama zresztą poczuła się zaintrygowana.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że pozwoliłam temu młodemu człowiekowi tak po prostu wejść do salonu – denerwowała się gospodyni. – Ale byłam zbyt zaskoczona, by to dobrze przemyśleć. Niezręcznie mi było odprawić go spod drzwi. A jeśli to oszust? W tym mieście wszystko jest możliwe.

– Jeśli Jacques i Klarysa są w domu, nie musi się pani obawiać. – Kinga starała się ją uspokoić.

– Niech pani wejdzie. – Gospodyni rzuciła trwożliwe spojrzenie na zamknięte drzwi do salonu. – W razie czego będę miała dodatkowego świadka.

– W razie jakiego czego?– roześmiała się Kinga, gdy znalazła się już w środku.

W salonie istotnie znajdował się młody człowiek, ubrany w mundur wojskowy z oficerskimi oznaczeniami, których Kinga nie potrafiła rozpoznać. Nie znała się na stopniach oficerskich. Wysoki, szczupły, ciemnowłosy, opalony, wyglądał bardzo młodo, choć z racji swoich wojskowych dystynkcji musiał mieć przynajmniej dwadzieścia parę lat. Na widok Kingi podniósł się z kanapy i przyjrzał jej się badawczo.

– Proszę mi wybaczyć – uśmiechnęła się przyjaźnie. – Nie miałam zamiaru panu przeszkadzać, ale pani Gautier zaprosiła mnie do środka. Jestem dobrą znajomą Adriena i...

– Dobrą znajomą – powtórzył młodzieniec, a uśmiech na jego twarzy bynajmniej nie wyglądał przyjaźnie. – Jego nową przyjaciółką, jak mniemam? – dodał, nie starając się nawet ukryć ironii w głosie.

– Słucham? – Kinga na moment osłupiała. Sama nie wiedziała, jakim cudem udało jej się w ogóle wydobyć z siebie głos.

– Nowa gospodyni, nowa przyjaciółka – kontynuował młodzieniec, zupełnie niezrażony jej reakcją. – Adrien jak zwykle nie próżnuje. Zawsze wiedział, jak się dobrze urządzać w życiu.

Kinga instynktownie przeniosła spojrzenie na stojącą za jej plecami gospodynię, której twarz w jednej chwili przybrała kolor dymu fabrycznego. Nie pozostawało nic innego, jak wziąć się w garść i jak najszybciej opuścić to miejsce. I to bez względu na biedną panią Gautier, która wzrokiem błagała ją, by nie wychodziła.

– Pańskie insynuacje bardzo mi się nie podobają – odparła lodowatym

tonem Kinga. – Najlepiej zrobię, jeśli się pożegnam.

– Nie ma pani pojęcia, kim jestem, prawda? – bardziej stwierdził, niż zapytał, nic sobie nie robiąc z jej oburzenia. – Tak jak jego służba. – Ruchem brody wskazał na stojącą nieruchomo gospodynię i czających się w korytarzu Jacques’a i Klarysę. – No cóż, wcale mnie to nie dziwi. Tak jest mu wygodniej. Tylko to się dla niego zawsze liczyło: wygoda. Łatwe, przyjemne życie. Trudne wyzwania? To nie dla takiego wesołka jak Adrien. W pracy, w karierze, owszem, jak najbardziej. Ale na pewno nie w codziennym życiu.

– Najlepiej będzie, jeśli to jemu przedstawi pan swoje żale – odparła wzburzona Kinga. – Ja nie muszę tego słuchać.

– Czemu nie, skoro nawiązała z nim pani na tyle zażyłe kontakty, że przychodzi tu pani jak do siebie, a służba wita panią jak domownika? Ale proszę nie mieć złudzeń, nie jest pani pierwsza ani ostatnia. Żadnej kochanki poważnie nie traktował i wobec żadnej do niczego się nie zobowiązał. Nie przypuszczam, by miał ochotę na takowe zobowiązanie, ale nawet gdyby nagle gorąco tego zapragnął, to i tak nic z tego nie będzie. Wie pani dlaczego? A może jest pani jedną z tych, dla których to i tak bez znaczenia?

– Nic mnie to nie obchodzi. – Kinga obróciła się na pięcie i odsunawszy na bok stojącą w drzwiach przerażoną panią Gautier, skierowała się do wyjścia.

Jednak młodzieniec zagroził jej drogę.

– Co pan wyrabia?! – Oburzenie i zaskoczenie pomogły Kindze opanować strach. – Jeśli faktycznie jest pan krewnym lub powinowatym pana Bireta, to proszę na niego zaczekać. A jeśli nie, ma pan natychmiast opuścić to mieszkanie. – Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że takie polecenie mogłaby wydać pani domu; jej słowa nie tylko nie przstraszyły młodzieńca, ale wręcz utwierdziły go w podejrzeniach.

– Proszę zostawić w spokoju *mademoiselle* – wtrącił się Jacques, do tej

pory w milczeniu obserwujący całe zajście.

– Precz mi z oczu, pachółku – odpowiedział z pogardą młody oficer. Wyglądali prawie na rówieśników, ale poza tym zbyt wiele ich dzieliło. W każdym razie Jacques się zawahał i wzorem pani Gautier także cofnął się o dwa kroki. – Bez obawy, nie zrobię krzywdy tej waszej *mademoiselle* – kontynuował oficer, uśmiechając się przy tym ironicznie. – Ale chętnie bym sobie z nią uciął małą pogawędkę. Już mi się znudziło to samotne czekanie na szanownego Adriena. Nie mam pojęcia, gdzie i z kim się teraz zabawia, ale znając go, muszę założyć, że może to trochę potrwać. Niech się pani nie łudzi, nie jest pani jedyną w jego kolekcji – prychnął.

– Nie ma to dla mnie znaczenia. Chcę stąd wyjść – zażądała stanowczo Kinga.

– Oczywiście, że ma to dla pani znaczenie. Nie ma sensu udawać, na pewno nie przede mną. Nie raz słyszałem takie zapewnienia. Od mojej matki. Powtarzała słowo w słowo to samo, co i pani. Niewiarygodne, jak kobiety lubią się łudzić, jak chętnie wierzą w kłamstwa. Jak uwielbiają być oszukiwane. Ona też mu wierzyła. I jak się to skończyło? Ale byłbym zapomniał, że pani o niczym nie wie. No to chętnie to i owo wyjaśnię.

– Nie chcę – zaoponowała twardo, bo to, co zdążyła już usłyszeć, wstrząsnęło nią do głębi.

– No cóż, jednak to uczynię. A przynajmniej się przedstawię. Tej bandzie głupców powiedziałem, że jestem powinowatym wielce czcigodnego Adriena Bireta. Z zasady nie lubię wprowadzać służby w szczegóły. Ale skoro życie tu wszyscy w takiej komitywie, to niech wiedzą i oni. Bo ja, w przeciwieństwie do Adriena, nie wstydzę się swojej matki i nie ukrywam jej istnienia. Porucznik Samuel Giroux, do usług. – Skłonił po komediancku głowę. – Kilka dni temu przyplłynąłem z Algierii. Jestem jego pasierbem.

## ROZDZIAŁ 5

– Wiedziałaś o tym?

Niechętnie, choć posłusznie, popijała ciepłą, ziołową herbatkę, którą polecił przygotować dla niej Zbyszek. Już dwukrotnie zdążyła zadać mu to pytanie – gdy tylko zdumiony głośnym pukaniem otworzył jej drzwi i potem, gdy posadził ją na kanapie – ale nie otrzymała odpowiedzi. Przede wszystkim starał się ją uspokoić, a potem dowiedzieć, w czym rzecz. A gdy wreszcie w chaotycznych słowach mu to wyjaśniła, a następnie ponownie, już po raz trzeci, wyrzuciła z siebie wciąż to samo pytanie, czy cokolwiek wiedział o żonie Adriana, Zbyszek zwiesił ramiona i opuścił głowę. Jakby nagle ktoś nałożył mu na plecy wyjątkowo nieznośny ciężar.

Ten gest wystarczył Kindze za odpowiedź. Przyszło jej do głowy, że powinna się oburzyć, czy chociażby zdobyć na jakąkolwiek wymówkę, że o niczym jej nie powiedział, nie uprzedził – ale nie czuła oburzenia i nie miała ochoty na robienie mu wyrzutów. Nie miało to sensu. Na pewno nie w tym momencie, gdy jedynymi uczuciami, jakich naprawdę doznawała, było znużenie... i wstyd. Porównywalny z tym, którego doświadczała, gdy wiele miesięcy temu, jeszcze w Krakowie, Zbyszek po raz pierwszy zrobił aluzję do tego, co łączyło ją z Aleksandrem. Czuła się wówczas niemal jak biblijna jawnogrzesznica, choć przecież Zbyszek niczego jej nie wytknął, był delikatny, bardzo uważający, mimo że przez wzgląd na siostrę miał prawo

zachować się zupełnie inaczej. Zamiast tego zaproponował jej sposób na wyplątanie się z tamtego romansu. Teraz sytuacja była inna, bo tym razem nie było romansu ani niczego, co mogłoby obciążać jej sumienie i rzucać na nią cień, a jednak... czuła się dokładnie tak samo jak wtedy.

Tak samo ją przecież potraktowano – jako kochankę żonatego mężczyzny. A fakt, że tym razem nie była to prawda, nie miał znaczenia, skoro najwyraźniej niektórzy ludzie tak właśnie o niej myśleli. Adrien miał wielu przyjaciół i znajomych, którzy widywali ją w jego towarzystwie, i choć odnosili się do niej życzliwie, dziś nie miała wątpliwości, że mogli snuć różne przypuszczenia co do charakteru ich przyjaźni. Jeśli nie wszyscy, to przynajmniej niektórzy z nich. Bo przecież, wedle słów Samuela Giroux, jego ojczym nie stronił od młodych kobiet. Przypomniała sobie także rozmowę z *madame* Lestiger, jej zagadkowe, jakby zatroskane spojrzenie, zawołane ostrzeżenia. Po rozmowie z porucznikiem Giroux przynajmniej już wiedziała, jak je zinterpretować. A pani Gautier? Jacques? Kucharka Klarysa? Oczywiście byli zawsze bardzo dla niej mili i grzeczni, co jednak nie znaczy, że nie snuli swoich domysłów.

Adrien Biret był postrzegany jako barwna osobowość, a tacy ludzie często mogą liczyć na wyrozumiałość, a nawet sympatię, oczywiście pod warunkiem, że nie zadzierają nosa i mają gest, a tak właśnie było w jego przypadku. Potrafił zręcznie balansować na granicy dwóch, wydawałoby się, dystansujących się od siebie światów – paryskiej finansjery i paryskiej bohemy – udowadniając, jak pozorny często był to dystans. Oczywiście znajdował się na ustach wszystkich, ale nawet ci, którzy wypowiadali się z przekąsem o jego trybie życia, robili to jednak w taki sposób, jakby jednocześnie ukradkiem puszczaali oko.

Ładniutka, urocza cudzoziemka, z którą ostatnio go widywali i której znalazł posadę, nie była w ich oczach nikim innym, jak kolejną jego



zdobyczą. Nie pierwszą i z pewnością nie ostatnią. Zdążył ich do tego przyzwyczaić, więc mało kto będzie się teraz na to krzywił. Takim ludziom jak Adrien świat zawsze wszystko wybacza. W pewnym sensie ich potrzebuje. Dodają przecież barw nudnej, szarej codzienności.

Dlatego Adrien mógł zawsze liczyć na usprawiedliwienie. I nawet ten niespodziewany przyjazd jego pasierba tak naprawdę niewiele mu zaszkodzi. Oczywiście, przynajmniej na początku wywoła pewne, być może spore, zamieszanie. Możliwe, że wokół zakotłuje się od plotek i domysłów. Ten i ów popatrzy wilkiem... Ale taka sytuacja nie będzie trwać wiecznie. Po pewnym czasie pojawi się inna sensacja – pod tym względem Paryż nie różnił się wiele od Warszawy czy Krakowa. Tak czy inaczej, Adrien wyjdzie z tej awantury obronną ręką, aż wreszcie nastanie taki dzień, że ludzie przestaną mu się dziwić. Zrozumieją, dlaczego milczał w kwestii rodziny. A niewykluczone, że niektórzy nawet zaczną przyznawać, że na jego miejscu postąpiliby tak samo. Takie jest przecież życie.

Bardzo możliwe, że Samuel Giroux był jednym z bardzo nielicznych, którzy nie mieli zamiaru iść w tej sprawie na żaden, nawet najmniejszy kompromis.

Kinga nie miała jednak cienia wątpliwości, że w razie wybuchu skandalu ona nie mogłaby liczyć na taką samą pobłażliwość. Nie mogła na to liczyć żadna kobieta, która otwarcie prowadziła się z żonatym mężczyzną, nawet jeśli jego małżeństwo już od pewnego czasu praktycznie nie istniało. Nikt nie uwierzyłby w jej tłumaczenia, że nic nie wiedziała o żonie. Nikt nawet nie słuchałby podobnych wyjaśnień. Była winna i tyle. Kolejna cudzoziemka, która niszczy francuską rodzinę!

Ten wyjazd miał być dla mnie szansą, pomstowała w duchu na własną niefrasobliwość. Miałam zacząć od nowa. Wszyscy znajomi z Krakowa mi tego zazdrościli i życzyli powodzenia. Jednak zdążył upłynąć zaledwie rok,

a ja tę szansę kompletnie zmarnowałam. I co teraz robić? Znowu gdzieś uciekać? Dokąd? Chyba do samej Ameryki.

– Dowiedziałem się dopiero tu, w Paryżu, ale też nie od razu – usłyszała i w pierwszej chwili drgnęła przestraszona. Zatopiona w ponurych rozmyślaniach zdążyła zapomnieć o siedzącym nieopodal Zbyszku i o pytaniu, jakie mu zadała. Wlepiała w niego wzrok, ale nie odwzajemnił jej spojrzenia. Kontynuował: – Po jakichś dwóch miesiącach napomknął mi o tym nasz wspólny przyjaciel, pewien zresztą, że to dla mnie żadna tajemnica. I gdyby nie ty, to znaczy – poprawił się zmieszany – gdyby nie to oczywiste zainteresowanie Adriena twoją osobą, nie drażyłbym sprawy. O nic bym go nie pytał. Zrozumiałbym, że nie chce o tym mówić. Człowiek ma prawo do swoich sekretów, nawet wobec bliskich, nawet wobec przyjaciół. Lecz ze względu na ciebie nie mogłem machnąć na to ręką. Nie zaprzeczałem. Od razu powiedział, co i jak. I wytłumaczył, dlaczego nie miał ochoty się z tego zwierzać, choć ja nie potrzebowałem tych wyjaśnień. Powiedziałem tylko, że nie oceniam jego życia, niemniej akurat przed tobą nie powinien ukrywać, że jest żonaty. Co nie oznacza, że musi ci się zwierzać ze szczegółów, o których z oczywistych względów trudno mu było mówić, ale sama informacja jest jednak konieczna. Zabrzmiało to trochę jak ultimatum, bo dałem mu do zrozumienia, że jeśli on tego nie zrobi, ja go zastąpię. Zanim dojdzie do jakiegoś nieszczęścia, mniej więcej tak to ująłem.

– Ty także myślisz, że łączy mnie z nim coś więcej niż przyjaźń – stwierdziła zrezygnowanym tonem Kinga, po raz kolejny pomstując w duchu, jak mogła tak zuchwale ignorować wszelkie sygnały i ostrzeżenia. Niewykluczone, że teraz przyjdzie jej za to zapłacić.

– Tak uważałem – przyznał Zbyszek. – Tak to wyglądało. Dawałem ci to do zrozumienia, pamiętasz? A nawet raz czy dwa wyraziłem się w tej kwestii jednoznacznie.

W odpowiedzi skinęła głową.

– Zapewniałam cię, że się mylisz.

– Zapewniałaś – przyznał. – Nawet mnie wykpiłaś. I co z tego? Swoje widziałem. I wyglądało na to, że nie ja jeden.

Ostatniemu stwierdzeniu nie mogła zaprzeczyć.

– A potem, gdy się posprzeczailiśmy i dowiedziałem się, że poszłaś do niego prosić o pomoc w znalezieniu posady, byłem gotów powiedzieć ci o jego żonie. Naprawdę niewiele brakowało. Czekałem, aż wrócisz, tłułem się po pokoju i wtedy naszły mnie wątpliwości. Czy wolno mi się w to wtrącać? Przecież to jego sprawy, może już i wasze wspólne... Na pewno nie moje. Jesteś moją kuzynką, nie własnością. Zresztą, byłaś wtedy na mnie zła i nie mogłem wykluczyć, że byś mi nie uwierzyła, bałem się nawet, że zrobisz, co w twojej mocy, by zniknąć mi z oczu. Z doświadczenia wiedziałem, że byłabyś do tego zdolna. Różne myśli przychodziły mi wtedy do głowy, jedna gorsza od drugiej, a ja nie znajdowałem żadnego rozwiązania. Ale wtedy stał się cud. Okazało się bowiem, że Adrien wcale nie jest tak wszechmocny, jak się mogło wydawać. A przynajmniej jak tobie się wydawało. W każdym razie wtedy jeszcze nie przyszedł mu do głowy żaden pomysł, jak ci pomóc w znalezieniu pracy, a jego słowa podziałały na ciebie skuteczniej niż moje, w każdym razie tak, jak sobie tego życzyłem. Uspokoilaś się, zajęłaś się książkami i – co najważniejsze – odniosłem wrażenie, że nabrałaś dystansu do naszego przyjaciela. Przyszło mi nawet do głowy, że może jednak powiedział ci o żonie, ale wołałem o to nie pytać. Ani jego, ani ciebie. Sprawa jakby przyschła, jak mawialiśmy na studiach. I kiedy już zupełnie się uspokoilem, ponownie dostałem obuchem w łeb. Oznajmiłaś mi, że rzucasz książki, bo Adrien znalazł jednak dla ciebie posadę. Namówił do tego swoją dawną przyjaciółkę, z którą romansował w czasach, gdy oboje byli jeszcze piękni, młodzi i wolni. Teraz żadne nie jest już młode ani wolne,

a Solange trudno już nazwać piękną. Tak czy owak, udało im się pozostać przyjaciółmi. I to właśnie u niej wyprosił posadę dla ciebie. Wpadłem w popłoch.

– To mało powiedziane...

– Wtedy znowu zaświtała mi myśl, by cię zapytać, czy Adrien rozmawiał z tobą o swojej żonie. Ale znowu górę wzięła obawa, że to najlepszy sposób, by stracić z tobą jakikolwiek kontakt. Na każdym kroku dawałaś mi do zrozumienia, że pragniesz być niezależna. Oczywiście ode mnie. Drażniło cię, gdy chciałem się tobą opiekować. Nie mogłem więc ryzykować kolejnej awantury.

– Rozumiem – mruknęła.

Może faktycznie miał rację, zakładając, że wtedy i tak by nie uwierzyła w jego rewelacje na temat Adriena. Zwłaszcza że jednocześnie podejrzewała go, że jest... zazdrosny.

– Dobrze, mniejsza z tym... – Machnął dłonią. – Cieszę się, że wreszcie mogłem wyjaśnić ci pewne sprawy. Ale po tym, co cię dziś spotkało, żałuję, że jednak w swoim czasie nie zdecydowałem się złamać obietnicy danej Adrienowi i sam o wszystkim ci nie powiedziałem. Że postanowiłem nie wtrącać się w kwestie tak delikatne i trudne, także dla niego. Żaden z nas jednak nie przewidział, że dowiesz się wszystkiego w najgorszy możliwy sposób. Bo od tego cholernego szczeniaka popisującego się mundurem – dokończył z wściekłością.

– Nie mów tak o nim – zaproponowała zmęczonym głosem Kinga.

– Obraził cię i jeszcze go bronisz?

– Tak, wiem... – Dotknęła dłonią czoła. – Ale to, co powiedział... O niej... O nich...

– Przedstawił to ze swojego punktu widzenia. Z tego, co mi opowiedziałaś, wnioskuję, że nie silił się na obiektywizm. – Zbyszek

ponownie wzruszył ramionami, ale wiedziała, że tym gestem jedynie próbował ukryć coraz większe wzburzenie.

– Mówił o swojej matce. Sam doskonale wiesz, jak trudno wtedy panować nad emocjami – odbiła piłeczkę, ale chybiła celu.

– Nie do mnie ta uwaga. Ja w takich sytuacjach nie tracę nad sobą kontroli.

Tak było, musiała to przyznać. A jak to się przedstawiało w jej przypadku? Nie pamiętała matki, co nie zmieniało faktu, że za każdym razem, gdy o niej myślała, odzywało się w niej trudne do jednoznacznego nazwania uczucie, coś na pograniczu nostalgii, smutku, czasem nawet gniewu. Czemu życie tak się układa? Czemu ludzie je tak komplikują? Nagle poczuła, że tęskni za Klarą. Nigdy dotąd tak nie pragnęła, aby matka znalazła się tuż obok, przy niej. Aby mogła się do niej przytulić i zwierzyć się jej z trosk i problemów. Poprosić o radę. To byłoby niczym zrzuć z siebie nieznośnego ciężaru, a jeśli nawet trzeba go potem podjąć na nowo, to już ze spokojniejszą głową i znacznie lżejszym sercem.

Ale w jej przypadku nie było już takiej możliwości. Musiała się z tym pogodzić, pozbierać się i iść do przodu. A zarazem nauczyć się ponosić konsekwencje swoich czynów i decyzji. Samodzielnie, bez wsparcia matki. I bez niczyjej pomocy.

Czy była sama?

Podniosła wzrok na kuzyna i natychmiast napotkała jego spojrzenie. To było jedno z tych spojrzeń, gdy odnosiła wrażenie, jakby czytał w jej myślach. Czasami już je zauważała. Lecz dotąd żadne nie podniosło jej na duchu tak jak to... W tej konkretnej chwili.

Nie była sama. Nigdy, bo przecież zawsze ktoś przy niej był. Najpierw rodzice – ich jednak nie pamiętała. Potem dziadek Hipolit, który zapewnił jej kilka lat bezpiecznego, szczęśliwego dzieciństwa. Następnie ciotka Amelia,

z którą można było snuć niekończące się rozmowy. I dzięki której tak szybko zadomowiła się w Krakowie. Na dobrą sprawę nawet w domu Burgiewiczów nie zabrakło jej sprzymierzeńców, którzy zawsze byli życzliwi, a kiedy przyszło co do czego, udzielili jej otwartego wsparcia – jak wuj Stefan. I Zbyszek. Zwłaszcza Zbyszek.

Nie wahając się dłużej, wiedziona tą myślą i impulsem, uścisnęła jego dłoń.

– Przepraszam cię – rzekła cicho, bo nie chciała, aby usłyszał drzenie w jej głosie. – I dziękuję. Za wszystko.

Ten gest i słowa najwyraźniej go zaskoczyły, czego nie zdołał ukryć. Zanim zdążyła zareagować, podniósł jej dłoń do ust, czego nigdy przedtem, ani razu, nie zrobił.

– Nie masz mi za co dziękować – odparł, wciąż nie wypuszczając jej ręki. – Bo ja niczego tak nie pragnę, jak pomagać ci i cię chronić. Wiem, że nieraz cię to irytowało, ale cóż, taki ze mnie rycerzyk. – Teraz starał się żartować. Nawet do niej mrugnął. – Zawsze tak było, odkąd zamieszkałaś w naszym domu. Chciałem cię wtedy bronić, a ponieważ nie wiedziałem, jak miałbym to skutecznie robić, zacząłem cię w końcu unikać. A przy okazji także wszystkich pozostałych domowników. Wybywałem stamtąd, kiedy się tylko dało. Ale to już przeszłość. Tutaj wszystko wygląda inaczej, bo tu po prostu nawzajem się potrzebujemy.

– To miłe, co mówisz. – Zmieszała się, nie mogąc uwolnić dłoni. – Ale nie mam wątpliwości, że akurat ty bardzo dobrze byś sobie poradził beze mnie. Czasem myślę, że utrudniam ci tu życie, że musisz z mojego powodu znosić zupełnie niezasłużone przykrości. Jak choćby ta głupia historia z Adrienem i jego pasierbem.

– Mylisz się – odparł. Wypuścił jej rękę i sięgnął po papierosa, ale go nie zapalił. Odłożył na bok i przez moment się namyślał. – Gdybyś nie zgodziła

się tu ze mną przyjechać, ja także nie opuściłbym kraju. Potrzebuję cię tak samo jak ty mnie, a pewnie nawet bardziej. Naprawdę się nie domyślasz, dlaczego?

Czy się nie domyślała? Należałoby raczej zapytać, kiedy zaczęła nabierać pewności.

– Zbyszkul... – zaczęła bezradnie, ale to było wszystko, na co się zdobyła. Następne słowa uwięzły jej w gardle.

– Wiem... – Pokiwał głową jak człowiek, który przyjmuje do wiadomości niepodważalność pewnych faktów, nawet jeśli są trudne do zaakceptowania. – Nie ucieleśniam twojego ideału. – Lecz w tym samym momencie, zupełnie niespodziewanie, wbrew temu, co właśnie oznajmił i z czym był pogodzony, przystąpił do ofensywy: – Ale ty dla mnie jesteś... takim właśnie ideałem. I to od lat. Dlatego myślę, przypuszczam... Nie, do cholery, wiem to na pewno... Mogłoby się nam udać! Daj nam tylko szansę, proszę.

Wiedziała, że powinna zareagować – jak najszybciej i jak najbardziej zdecydowanie. Ale nie potrafiła się na to zdobyć. Czuła, że powinna sobą za to pogardzić. Nie raz przecież podkreślała, że przede wszystkim pragnie niezależności. Bo w przeciwieństwie do wielu innych, słabych kobiet, potrafi sama o siebie zadbać, ma własne zdanie, a jeśli trzeba, nie ucieka przed nowymi wyzwaniem. A tymczasem przekonywała się, że rzeczywistość wyglądała nieco inaczej niż te wyobrażenia. Bo wystarczyły takie słowa, jak te, które usłyszała przed chwilą, wystarczył czuły dotyk dłoni, a ona już miękła jak wosk. W dodatku nie wydarzyło się to po raz pierwszy w jej życiu... Chociaż poprzednim razem chodziło o kogoś innego. Także i teraz, zamiast stanowczo zaprotestować, spontanicznie wypowiedziała na głos pierwszą myśl, jaka przyszła jej do głowy.

– Jak ty to sobie wyobrażasz?

I natychmiast spostrzegła, że pytanie to go ucieszyło. Choć oczywiście zarazem zaskoczyło, bo najwyraźniej i on – jak ze wstydem skonstatowała – spodziewał się po niej całkiem innej reakcji.

– Pobierzmy się – odparł, po czym, jakby się obawiając, że tym razem spotka się ze stanowczą odmową, pośpiesznie kontynuował: – Poczekaj chwilę, zastanów się, zanim odpowiesz. To ma sens. Naprawdę. Od dawna miało, a obecnie to znakomite rozwiązanie. Jeśli ten narwaniec w mundurze naprawdę zechce wywołać skandal, zderzy się ze ścianą. Albo ze mną. Tak czy owak, nasze małżeństwo wytrąci mu argumenty z ręki, bo ja będę stała murem przy swojej żonie.

– On nie wywoła żadnego skandalu. Adrien mu na to nie pozwoli – skrzywiła się lekko Kinga i zaraz się zorientowała, że powiedziała o jedno zdanie za dużo.

Ponowne milczenie, które zapanowało po tych słowach, zdawało się trwać całą wieczność, choć w istocie upłynęła zaledwie jedna, może dwie minuty. Ciszę przerwał Zbyszek.

– Ja mu na to nie pozwolę – rzekł z naciskiem, delikatnie odgarniając kilka kosmyków włosów, które opadły jej na czoło i oczy.

– Przestań. – Cofnęła głowę, uchylając się przed tą pieszczotą. – Nie mam ochoty na takie żarty – dodała, choć przecież doskonale wiedziała, że mówił poważnie.

Nie wyglądało zresztą na to, by jej reakcja go zraziła.

– Niby dlaczego uważasz, że to żart?

– Wiesz dlaczego – odrzekła, lecz ponownie nie wytrzymała jego spojrzenia.

– Chodzi o niego, tak?

– O... niego? – zaskoczenie sprawiło, że znowu wlepiła w Zbyszka wzrok. – O Adriena? Nic podobnego, przecież ci wyjaśniłam, że niczego



między nami nie było. Nie wierzysz mi?

– Nie mówię o Adrienne – wtrącił z wyraźnym zniecierpliwieniem. – Miałem na myśli...

– Nie! – przerwała gwałtownie. – Także nie zgadłeś! – Zdawała sobie sprawę, że płomień na jej twarzy mógł podawać w wątpliwość tę zdecydowaną deklarację, ale mówiła szczerą prawdę. W tym momencie nawet nie pomyślała o Aleksandrze. W tym momencie... Bo gdy wreszcie w pełni do niej dotarł sens słów Zbyszka, poczuła, jakby coś od wewnątrz szarpnęło ją za serce. Ale do tego nie chciała się przyznawać ani przed Zbyszkiem, ani przed nikim innym. Dlatego szybko wyłożyła karty na stół: – Chodzi o twoją matkę. I o twoją siostrę. Znienawidzą mnie do reszty, jeśli to zrobimy. Twoja matka nigdy mi tego nie wybaczy. A do ciebie będzie miała ogromny żal. Tak ogromny, że trudno ci go będzie znieść.

Natychmiast zorientowała się, że to wyjaśnienie przyniosło mu ulgę. Widziała ją na jego twarzy i usłyszała w głosie.

– Tylko o to chodzi? – Niewiele brakowało, a machnąłby lekceważąco ręką. – To drobiazg, wierz mi.

– Może dla ciebie, na pewno nie dla mnie – odparła.

W głowie, niczym odgłos spóźnionego echa, zadźwięczały jej słowa ciotki o tym, że nie chce, aby jej synowi przyszło w życiu odegrać taką rolę, jaka przypadła w udziale Leonowi Niwińskiemu. A ona, Kinga, w pewnym sensie obiecała jej, że do tego nie dopuści. No, może nie tyle obiecała, co dała do zrozumienia. Wobec tego nie wolno jej, nie powinna się teraz z tego wycofywać, i to w taki sposób.

Postanowiła powiedzieć o tym Zbyszkowi. Należało mu się przecież jakieś wyjaśnienie.

– Nie jesteś jej nic winna – odparł, gdy tylko powtórzyła mu wszystko, czego dowiedziała się od Burgiewiczowej podczas ich ostatniej rozmowy

w mieszkaniu Adamskiej. – Niczego dla ciebie nie zrobiła. To znaczy niczego dobrego.

– Nie – zaproponowała, choć mało przekonująco. – To jednak zbyt surowa ocena. Wzięła mnie na wychowanie. Twój rodzice utrzymywali mnie i wykształcili, w przeciwnym razie skończyłabym w sierocińcu. Nie miałam grosza przy duszy, nic...

– Powtarzasz jej słowa. – Zmarszczył brwi. – Nawet ja je zapamiętałem, choć z pewnością miałem okazję słyszeć je dużo rzadziej niż ty.

– Miała poczucie, że moja matka ją skrzywdziła.

– Ale nie ty! Na Boga, czy musimy bez końca przerabiać tamtą historię? Moi rodzice i twoja matka. Dwie siostry i facet, który się między nie zaplątał. Jeśli moja matka przez tyle lat nie chciała czy nie potrafiła sobie z tym poradzić i wciąż nie zamierza zamknąć tamtych drzwi, to trudno. Ale czemu my mamy bez końca za to płacić? Ty, ja, nawet Klementyna?!

Ponownie sięgnął po papierosa i ponownie zgniótł go w dłoni. W jego spojrzeniu były wyzwanie, gniew, prośba. Niepewność, a w chwilę potem wola walki.

– To nie takie proste – westchnęła wreszcie Kinga.

– Przeciwnie. Życie jest cudownie proste, tylko głupi ludzie je sobie komplikują i utrudniają.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. Szarża wciąż jeszcze była daleka od zakończenia.

– Jesteśmy kuzynami – rzuciła kolejny, jej zdaniem koronny argument, który Zbyszek zbył wzruszeniem ramion.

– Jak wielu innych ludzi, którzy decydują się na małżeństwo. O związkach pozamałżeńskich już nawet nie warto wspominać.

– Ale w naszym przypadku to nie jest jakieś tam bliżej niesprecyzowane kuzynostwo. Jesteśmy ciotecznym rodzeństwem.

– Takie określenie istnieje jedynie w naszym kraju i w naszym języku. Wszędzie indziej nazywa się to kuzynostwem, co zresztą znacznie lepiej oddaje istotę rzeczy.

– Co nie zmienia faktu...

– Co nie zmienia faktu, że małżeństwa między bliskimi kuzynami także nie są czymś niespotykanym. Zarówno wśród tak zwanych koronowanych głów, jak i zwykłych śmiertelników. Prawo tego nie zabrania, także to kanoniczne. Może tylko trzeba się postarać o jakąś dyspensę, a może nawet i to nie.

– To jakieś szaleństwo! – Mimowolnie podniosła głos. – Ta cała rozmowa... Najlepiej będzie, jeśli o niej zapomnimy.

Nie miała jednak cienia wątpliwości, że i to się nie uda. Ani jemu, ani jej.

– A jednak się nie myliłem – stwierdził po krótkiej chwili milczenia. – Wciąż o nim myślisz.

– Nie – ponownie zaprzeczyła. Trochę za szybko i zbyt zapalczywie. Sama przed sobą musiała przecież przyznać, że Zbyszek nie do końca się mylił. Niemniej nie był to powód najważniejszy. Odniosła zresztą wrażenie, że jej nie uwierzył, w każdym razie nie miał zamiaru zrezygnować ze swojego pomysłu. – Wyjaśniłam ci już, o co i o kogo chodzi – dodała.

– Moją matką nie musisz się przejmować. Zostaw ją mnie.

Oszalał, zawsze był narwańcem. A jednak w jego determinacji było coś, czego w żadnym razie nie mogła zlekceważyć.

– Trudno się nią nie przejmować. Ale nie chodzi tylko o nią.

– Klementyną tym bardziej nie musisz się przejmować. Zaufaj mi, wiem, co mówię.

Wolała nie pytać, na czym w tym przypadku opierał swoją pewność. Uznała, że najroztropniej będzie w ogóle już nie poruszać jakiegokolwiek kwestii związanej z Klementyną. Zresztą miała w zanadrzu jeszcze jeden

argument. Jej zdaniem – najważniejszy ze wszystkich, które zostały już poruszone.

– Nie kocham cię – rzekła otwarcie i zaraz się zmieszała. – To znaczy nie w ten sposób. Kocham cię jak brata, ale nie o to ci przecież chodzi.

Zbyszek w odpowiedzi uśmiechnął się i nawet lekko wzruszył ramionami.

– To dla mnie żadna nowina – oświadczył, jak gdyby nigdy nic. Jakby to naprawdę nie miało dla niego większego znaczenia. – I żadna przeszkoda.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Zapewniam cię, że jak najbardziej poważnie.

I pomimo że oświadczył to lekkim, bez mała wesołym tonem, nie miała najmniejszej wątpliwości, że było dokładnie tak, jak mówił. Nie znaczyło to jednak, że podzielała jego zdanie. Znowu przed jej oczami stanęła ciotka Maria. I ostatnie z nią spotkanie, wręcz słyszała każde słowo, jakie wówczas padło.

– To się nie uda. – Pokręciła głową. – Takie eksperymenty prawie nigdy się nie udają.

Zbyszek w jednej chwili spoważniał. Delikatnie ujął w dłonie jej zarumienioną twarz i zajrzał głęboko w oczy. Nie mogła uciec spojrzeniem.

– Udaje się częściej, niż przypuszczasz – rzekł cicho. – Mogę ci obiecać, że będziesz szczęśliwa. Ja już jestem. Pozwól sobie w to uwierzyć. Nie oglądaj się na moją matkę, bo to nie jej sprawa. Tylko nasza, twoja i moja.

Gdy go słuchała, nie mogła oprzeć się nagłej refleksji, że być może przed trzydziestu laty Leon Niwiński w podobny sposób przekonywał Klarę, by zaufała jego miłości, bo to wystarczy, by zbudować szczęśliwą przyszłość. Czy im się udało? Wbrew temu, co twierdziła ciotka Maria, Kinga chciała wierzyć, że tak.

– Jesteśmy jeszcze młodzi – kontynuował Zbyszek. – Ale nie da się

ukryć, że lata pierwszej, takiej zupełnie nieopierzonej młodości oboje mamy już za sobą. I ty, i ja przeżywaliśmy różne burze w naszym życiu. Może już czas zacumować do portu zamiast ciągle płynąć pod wiatr?

– Przecież to, co proponujesz, to właśnie nic innego, jak wystawianie się na ten wiatr. – Słuchając jego poetyckich porównań, nie mogła się jednak nie uśmiechnąć.

– Nie musisz odpowiadać od razu – odparł po chwili.– Zastanów się. Chyba tyle możesz mi obiecać?

W pierwszym odruchu chciała odpowiedzieć, że nie ma sensu kiedykolwiek jeszcze wracać do tej sprawy. Nie powinna dawać mu nadziei. Cały ten pomysł był zbyt szalony, by w ogóle poświęcać mu więcej uwagi. Nie odezwała się jednak słowem.

## ROZDZIAŁ 6

Dwa dni później otrzymała krótką wiadomość od Adriena. Proponował, a właściwie nawet prosił o spotkanie.

*Czuję, że jestem Pani winny wyjaśnienia – pisał – i przeprosiny za to, co spotkało Panią w moim domu, choć pod moją nieobecność.*

Postanowiła nie zwlekać z odpowiedzią.

*Nie widzę powodu, dla którego miałby mnie Pan przepraszać. Pańskie wyjaśnienia także nie są mi już do niczego potrzebne. Poza tym uważam, że niewskazane by było, aby w zaistniałej sytuacji widywano nas razem.*

Przeczuwała jednak, że sprawa się na tym nie zakończy. I rzeczywiście, gdy tylko następnego dnia dotarła do pracy i zamknęła się w swoim kantorku, oznajmiono jej, by stawiała się w gabinecie *madame* Lestiger.

Nie ucieszyło jej bynajmniej to polecenie. Wprawdzie spodziewała się, że nie uniknie rozmowy z przełożoną, miała jednak nadzieję, że nie nastąpi to już teraz, tak szybko. Od opuszczenia pensjonatu aż do momentu, gdy zaszła się w kantorku, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wielu napotkanych po drodze ludzi przypatruje jej się z ciekawością, oburzeniem lub ironią. Że

właśnie tak popatrzył na nią portier, który – tak jej się przynajmniej zdawało – przywitał ją wprawdzie uprzejmie, ale jednak chłodniej niż zazwyczaj. Modliła się, by gdzieś w korytarzu nie natknąć się na którąś z krawcowych lub innych pracowników i nie dostrzec kpiny czy dezaprobaty w ich oczach.

Siedząc przy biurku, otoczyła się niczym szańcem stosem papierów, teczek i kajetów, żałując, że nie ma ich niestety na tyle dużo, by mogła się za nimi zupełnie ukryć. A gdy wreszcie przyjdzie pora powrotu do domu, spróbuje przemknąć się na tyle niepostrzeżenie, na ile zdoła. Tylko po to, by następnego dnia powtórzyć tę mordęgę. I tak dzień po dniu – wciąż się przy tym zastanawiając, jak długo to jeszcze potrwa.

A tymczasem okazało się, że wcale nie tak długo. *Madame* Lestiger wzywała ją przed swoje oblicze. Niedługo cały zakład będzie o tym mówić. I jego klientela. O ile już nie mówi. Pan Adrien Biret jest żonaty, ukrywa swoją żonę gdzieś daleko na południu, w okolicach Aix-en-Provence albo coś koło tego. W szpitalu dla obłąkanych. Sam zaś bynajmniej nie marnuje czasu w towarzystwie tej cudzoziemki, z którą stale się go ostatnio widuje i której załatwił zajęcie u swej dawnej kochanki. A dziewczyna zapewne także świetnie się bawi – jak by nie patrzeć, trafił jej się przystojny, zamożny i uroczy „opiekun”. Nie każda może liczyć na połączenie wszystkich tych cech w osobie jednego mężczyzny, obojętnie – męża czy kochanka.

Samuel Giroux zapowiedział, że postara się, aby całe miasto dowiedziało się o wszystkim, i najwyraźniej dotrzymał słowa. W tej sytuacji pani Lestiger zapewne wymówi jej posadę. I to pomimo tego, że wbrew pozorom wcale nie była purytanką i daleko jej było do osób pokroju Antoniego ze sklepu Gajewskiego. Miała też inną klientelę, wyznającą niekiedy dość liberalne poglądy w kwestiach obyczajów. Niemniej nie mogła zupełnie ignorować opinii społeczeństwa, w którym funkcjonowała. Społeczeństwa, które

najpewniej wybaczy, a nawet – w niektórych przypadkach – zrozumie wiarołomnego męża, zarazem jednak nigdy nie daruje kobiecie, w dodatku cudzoziemce, z którą nie tylko romansował, ale i publicznie się afiszował.

Trudno, pomyślała z rezygnacją Kinga. No to stracę tę posiadłość. Pewnie nigdy nie powinnam była jej otrzymać. Może najlepiej zrobię, jeśli znowu gdzieś zniknę. Albo jeśli zgodzę się na propozycję Zbyszka. Po raz pierwszy była gotowa poważnie ją rozważyć.

Zanim zapukała do gabinetu przełożonej, musiała zatrzymać się przed drzwiami, by zapanować nad emocjami. Drżała na całym ciele, a serce tłukło się w niej tak, jakby miało rozsadzić klatkę piersiową. Gdy jednak usłyszała odgłos kroków na pobliskich schodach, uznała, że nie ma sensu dłużej czekać, i nieśmiało zastukała, a potem drżącą dłonią nacisnęła klamkę.

Wewnątrz zobaczyła dwie osoby: Solange Lestiger i siedzącego naprzeciw niej Adriena, który powoli podniósł się na jej widok.

– Dzień dobry, panno Kingo – przemówił, ale szybko odwróciła od niego wzrok i spojrzała na przełożoną.

Solange także wstała z krzesła.

– Zostawię was samych – oznajmiła sucho. – Adrien nalegał – dodała takim tonem, jakby dawała do zrozumienia, że niechętnie uległa jego perswazjom. Znacznie bardziej niechętnie niż wówczas, gdy nagabywał ją, by zatrudniła u siebie kuzynkę jego polskiego przyjaciela.

– To zupełnie zbyteczne – zaoponowała Kinga. – Naprawdę uważam, że...

– Adrien nalegał – powtórzyła Solange, kierując się do drzwi.

– Nie zajmę pani dużo czasu – wtrącił Biret.

– Mam taką nadzieję – odparła Solange, choć to nie ona była adresatką tego zapewnienia. Po czym, na nikogo już nie patrząc, opuściła pokój.

Na kilkanaście sekund zapadło niezręczne milczenie, które przerwał



Adrien, wskazując na jedno z krzeseł.

– Nie usiądzie pani? – spytał uprzejmie.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła, znacznie mniej uprzejmie, Kinga. – Obiecał pan, że to zajmie krótką chwilę.

– Powiedziałem, że nie zabiorę dużo czasu, nie było mowy o krótkiej chwili – uśmiechnął się. – To jednak niezupełnie to samo.

Nie podchwyciła jego nazbyt wesołego tonu.

– Właśnie ten czas tracimy – rzekła chłodno.

– Pani jednak wciąż się na mnie gniewa – westchnął. – Ma pani zresztą do tego święte prawo, ale mimo to chciałbym spróbować się wytłumaczyć.

– To niepotrzebne, przecież dałam to już panu do zrozumienia. A nawet wprost tak napisałam. Jeśli teraz istotnie się gniewam, to z powodu pańskich sztuczek. Nie chciałam się z panem widzieć, więc wykorzystał pan swoją znajomość z panią Lestiger, by jednak, choćby podstępem, przeprowadzić swój zamysł.

– Podstęp, sztuczki... – Lekko się skrzywił. – To chyba za mocne oskarżenia.

– Ani trochę, proszę pana. – Zdenerwowała się, uznając, że cały czas sobie z niej żartuje. – Pana wizyta w tym miejscu i spotkanie za zamkniętymi drzwiami mogą mieć dla mnie równie przykre konsekwencje jak spotkanie w pensjonacie, w którym mieszkam, lub w mieście. Doskonale pan wie, o czym mówię, więc po co cały ten cyrk i wesołkowate udawanie?!

– Zależy mi, aby poznała pani całą prawdę. Samuel z pewnością ją nagiął. – Wyraźnie spoważniał, przestał się uśmiechać. Nawet zwykły, pogodny wyraz, który zawsze, niezależnie od okoliczności, gościł na jego twarzy, teraz zniknął bez śladu.

Mimo to Kinga nie zamierzała ustąpić.

– Nie chcę tego słuchać – rzuciła ostro. – Pańskie próby

usprawiedliwiania się stawiają mnie jedynie w coraz gorszym położeniu.

– A jednak wysłucha mnie pani. – Teraz i jego głos zabrzmiał ostro i stanowczo. – Tu i teraz. I dopiero potem może mnie pani ewentualnie posłać do wszystkich diabłów.

Nigdy dotąd nie słyszała u niego podobnego tonu, co ją zaskoczyło i zbiło z pantafelku. I to do tego stopnia, że już bez protestów usiadła na podstawionym krześle. Nie ukrywała jednak wzburzenia.

– Nic pan nie rozumie – powiedziała. – Nie mam pretensji, że nie chciał pan mówić o swojej żonie. Ani mnie, ani nikomu innemu. To przecież wyłącznie pana sprawa i nikomu poza pana rodziną nic do tego. Nie podoba mi się jednak, że zostałam w to wmieszana. Że może czasami nasze wzajemne kontakty mogły być odbierane jako zbyt... poufale, swobodne. – Ku swemu niezadowoleniu poczuła, że się czerwieni. – Nie dopuściłabym do tego, gdybym cokolwiek wcześniej wiedziała. Jako żonaty mężczyzna nie powinien był pan doprowadzać do takich sytuacji... To znaczy... – Nienawidziła tej plątaniny słów, ale sprawa była zbyt delikatna, a do tego niezupełnie jednoznaczna, by mogła wyrażać się bardziej bezpośrednio. – Nie powinien był pan w tak ostentacyjny sposób okazywać mi swojej sympatii.

Gadam jak jakaś napuszona, stara kwoka, skrzywiła się w duchu. Kiedyś, jako zupełnie młoda dziewczyna, kpiła z podobnego sposobu wyrażania się. Ale to było wtedy, gdy nie wahała się mówić wprost i nie przejmowała się, że była przez to postrzegana jako osoba zuchwała, a nawet źle wychowana. Wręcz przeciwnie – niejednokrotnie napawało ją to dumą. Od tamtych czasów minęło jednak kilkanaście lat. Wystarczająco dużo, by w świetle życiowych doświadczeń przekonać się, że nie zawsze można sobie pozwolić na luksus bezpośredniości. A ściślej mówiąc – że niewielu sobie może na to pozwolić i nie dbać o ewentualne konsekwencje.

Adrien w każdym razie uważał się za kogoś takiego.

– Ostentacyjny sposób? – powtórzył i pokręcił głową na znak dezaprobaty. – Po prostu bardzo panią lubię i nie widzę powodu, by tego nie okazywać. I to bez względu na okoliczności. No, ale dobrze, zostawmy to. – Machnął dłonią, spostrzegłszy, że chciała zaprotestować. – Nie ma sensu dyskutować. Przecież w głębi duszy podziela pani moje zdanie.

– Nieprawda! – ponownie się uniosła. – Jest pan żonaty, a to wiele zmienia.

– Od wielu lat żyję w separacji. – Wzruszył ramionami. – Oczywiście nieformalnej, bo w mojej sytuacji o żadnym innym rozwiązaniu nie może być mowy.

– Pański pasierb mówił...

– O tak, zgaduję nawet, co opowiadał na mój temat. Od lat to samo. Od samego początku nie podobało mu się, że jego matka postanowiła ponownie ułożyć sobie życie. Ze mną czy z kim innym, o to mniejsza, w jego oczach każdy byłby bez szans. Uważał, że jego matce powinien wystarczać do szczęścia tylko on, i basta.

Kinga, mając jeszcze świeżo w pamięci relację Samuela Giroux, uznała za stosowne, by teraz zareagować.

– Miał siedem lat, gdy pojawił się pan w jego życiu. Zareagował dokładnie tak samo, jak wiele innych dzieci w jego wieku. I nie tylko w jego wieku.

– Też tak sobie tłumaczyłem. Słabo się znam na dzieciach, ale aż takim ignorantem nie jestem. Pomyślałem, że smarkacz potrzebuje czasu, że w końcu się do mnie przekona, a może nawet mnie polubi, ale nic z tego nie wyszło. Z każdym kolejnym tygodniem, miesiącem, rokiem było tylko gorzej. Dorastał, a mimo to wciąż świata poza matką nie widział. Wolne chwile wolał spędzać z nią niż z kolegami, a dziewczęta w ogóle go nie

interesowały. Staralem się zrozumieć, okazać cierpliwość, ale przyznaję, że nie zawsze mi się to udawało. Taki stan rzeczy, od początku nad wyraz irytujący, w miarę upływu czasu stawał się dla mnie coraz trudniejszy do zniesienia. Smarkacz bezbłędnie odgadywał, co czuję, i tym bardziej grał mi na nerwach. Wciąż z tym swoim beczelnym półśmieszkiem na buźce, nie przepuścił żadnej okazji, by dać mi odczuć, że jest górą, a ja nie mam szans. I niestety miał rację. – Adrien postukał palcami w biurko i podniósłszy się, podszedł do okna, odwracając się do Kingi plecami.

Tym razem już mu nie przerywała, nie wtrącała własnych komentarzy. Widziała, że był wzburzony, i domyślała się, że robił, co mógł, by nie stracić nad sobą panowania. Poza tym nie widziała powodu, dla którego właściwie miałyby bronić Samuela Giroux czy też szukać jakichś argumentów przemawiających na jego korzyść. On nie miał dla niej żadnych względów, już na wstępie wyrobił sobie opinię na jej temat i wiele wskazywało na to, że nie pozbył się do końca swych podejrzeń. A ów złośliwy, arogancki półśmieszek, o którym wspomniał Adrien, aż nadto dobrze wrył się także w jej pamięć.

– Wiedziałem, że nie jestem w stanie przemówić mu do rozumu – kontynuował Biret po dłuższej chwili milczenia. – Nie było najmniejszej możliwości, bym zdołał się z nim porozumieć. Niektórzy twierdzili, że od początku źle się do tego zabrałem. Bo pewnie gdybym, wzorem innych ojcymów, po prostu chwycił za pas albo za kij, bachor dowiedziałby się, gdzie jego miejsce. Pewnie by mnie nie polubił, ale przynajmniej poczułby mores. Może. Ale ja tak nie potrafiłem. Nigdy nikogo nie uderzyłem, nigdy się z nikim nie biłem. W szkole mój brat robił to za mnie i tylko dzięki niemu inni chłopcy przestali mnie zaczepiać. Ojciec wściekał się i przepowiadał, że nic ze mnie nie będzie. Nieraz mnie wytargał za uszy, liczył na to, że w końcu stanę się tak waleczny jak Gilbert, ale nic z tego nie wyszło. Potem,

gdy odwiedził mnie i Jacqueline, i popatrzył, jak sobie poczyzna jej syn, stwierdził tylko, że to moja wina. Że żadna kobieta nie będzie szanować słabego mężczyzny, a bachory takim tylko pomiatają. I nieważne, czy własne, czy cudze. No cóż, czasem myślę, że jednak miał rację. Tak czy inaczej, moja spolegliwość do niczego dobrego nie doprowadziła.

Odwrócił się i ponownie spojrzął na Kingę. Nawet lekko się uśmiechnął, po czym wyjął zza poły małe pudełko, otworzył je i pokazał niewielką fotografię.

– To ona... Jacqueline... Jeszcze przed naszym ślubem... – rzekł cicho. – Wtedy gdy wierzyłem, i ona chyba także, że wszystko się nam ułoży. Że będzie dobrze.

– Bardzo ładna – odparła uprzejmie Kinga, choć fotografia nie była zbyt wyraźna. I po prawdzie, niezbyt dobrze się jej przyjrzała.

Adrien schował zdjęcie i usiadł na poprzednim miejscu.

– W każdym razie miała w sobie coś, co z miejsca mnie ujęło. Była krucha, delikatna, nieśmiała. Wyobcowana, zamknięta w sobie, stroniąca od ludzi. To powinno dać mi trochę do myślenia i niektórzy starali się przemówić mi do rozsądku, ale nie chciałem słuchać. Bardzo nieprzyjemnie reagowałem na wszelkie dobre rady. Nawet te, których udzielała mi ciotka Jacqueline. A nawet rodzice jej zmarłego męża, ojca Samuela, którzy pomagali jej po śmierci swojego syna, choć właściwiej byłoby powiedzieć, że po prostu opiekowali się nią jak dzieckiem. Ich rady szczególnie mnie oburzały, bo byłem pewien, że nie chcą, aby ich synowa na nowo ułożyła sobie życie, dlatego robią, co w ich mocy, by kontrolować zarówno ją, jak i wnuka. Prowadzili małą cukiernię i piekarnię w Aix-en-Provence i tam właśnie poznałem Jacqueline; wówczas od czterech lat była już wdową. Przyszło mi nawet do głowy, że chodziło im o posag, który Jacqueline wniosła do ich rodziny, a także o pieniądze, które zostawił jej pierwszy mąż.

Dlatego nie chciałem ich słuchać i nawet dałem im to bardzo niegrzecznie do zrozumienia. Pamiętam, że stary Giroux powiedział mi wtedy, że sprowadzam sobie piekło na głowę. Poradzę sobie z dzieciakiem, odburknąłem, bo byłem pewien, że uwaga tyczyła się Samuela. Giroux nie obraził się na mnie, choć miał prawo, bo byłem wielce niemiły. Popatrzył na mnie z politowaniem. Oboje obrzydzą panu życie, odparł, czym jeszcze bardziej mnie rozsierdził. A potem, no cóż, przestroga ta, czy raczej przepowiednia, nie raz do mnie wracała. Jak bumerang. Ale było już za późno.

– Bardzo mi przykro – mruknęła Kinga, bo odniosła wrażenie, że chyba czekał na jej reakcję. Jednak wbrew temu, co powiedziała, aż tak bardzo nie przejęła się tym, co usłyszała. W gruncie rzeczy była to po prostu opowieść o kolejnym nieudanym małżeństwie, o kolejnej nieprzemyślanej lub niewłaściwej decyzji. Na niejedno już takie stadło przyszło jej w życiu patrzeć lub przynajmniej o takowym usłyszeć. Czasami miała wrażenie, że uodporniła się na podobne historie.

– Bardzo szybko się przekonałem, że to, co przed ślubem brałem za tajemniczy urok mojej wybranki, w rzeczywistości okazało się kompletną niezaradnością i nieprzystosowaniem do życia. Mówiąc bez ogródek, miała dwie lewe ręce do każdej roboty, a ja nie mogłem sobie pozwolić na kilkuosobową służbę. Nie miałem jednak wyjścia, musiałem zatrudnić kobietę do pomocy i w rezultacie, by utrzymać dom, harowałem po kilkanaście godzin w miejscowym biurze handlowym. Byłem pewny, że na dobre utknęliśmy w Aix-en-Provence, bo po pierwsze – ani Jacqueline, ani Samuel nie chcieli słyszeć o przeprowadzce do Paryża, a po drugie – ja sam wiedziałem, że to marzenie ściętej głowy, bo zwyczajnie nie było nas na to stać. Ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, mieszkając na prowincji, a przecież koszty życia w stolicy są nieporównanie wyższe. Wiedziałem, że

w Aix-en-Provence nie zrealizuję tego, co pragnąłem osiągnąć, że do niczego tam nie dojdę, i nie pozostaje mi nic innego, jak pilnować tej lichej posady, bo inną nieprędko bym znalazł. Lecz co było robić! Ostatecznie, w pewnym sensie sam wybrałem sobie ten los. Zresztą nie to było najgorsze. Niby wiedziałem, bo to ogólnie znana prawda, że żeniąc się, człowiek wiąże się nie tylko ze swoją wybranką, ale także z całą jej rodziną. Z całą jej przeszłością. A to szczególnie ważne, gdy w grę wchodzi dzieci z poprzedniego związku. Wiedziałem o tym, a jednak rzeczywistość okazała się trudniejsza, niż kiedykolwiek wcześniej przewidywałem. I nie chodziło tylko o Samuela, choć jego arogancja i niechęć napsuły mi mnóstwo krwi. Na to jednak machnąłbym w końcu ręką, bo wierzyłem, a przynajmniej starałem się wierzyć, że prędzej czy później ten chłopak pójdzie swoją drogą. Znacznie poważniejszym problemem okazało się samo małżeństwo. Nie tylko dlatego, że od początku miałem wrażenie, że ożeniłem się z dwiema osobami i w rezultacie w łóżku jest nas troje. Choć zapewniam panią, że to szczególne uczucie i zdecydowanie nie polecam podobnych przeżyć. Gorzej, że moja żona nie widziała powodu, by coś z tym fantem zrobić. Naprawdę nie przesadziłem – zanim Samuel skończył dziesięć lat, nieraz spał z nami w jednym łóżku. A ja zaczynałem podejrzewać, że Jacqueline nie tylko to odpowiadało, ale nawet, że nie miałyby nic przeciwko temu, abym to ja przeniósł się do osobnego pokoju.

– Chyba nie powinnam tego słuchać – zmieszala się Kinga.

– Czemu nie? Mój pasierb jest przekonany, że pani o tym wie, więc niech i tak będzie. Nie miałem ochoty nikomu o tym mówić, bo to nie są sprawy, by je roztrząsać z kim popadnie. Ale rozmowa z panią to zupełnie co innego. Panią też to dotknęło, poznała go pani, słuchała tych oskarżeń pod swoim i moim adresem. Czemu nie miałyby pani poznać innych detali? Zapewniam, że to zaledwie maleńka ich część.

Nie odpowiedziała. Przemknęło jej za to przez głowę pytanie, jak długo jeszcze pani Lestiger pozwoli im na kontynuowanie tej rozmowy? I czy reszta personelu zdążyła się już zorientować w sytuacji.

– W tych warunkach to prawdziwy cud, że udało się nam spłodzić dwoje dzieci – odezwał się ponownie Adrien. Kinga dziękowała Bogu, że nie patrzył akurat na nią, że nie obserwował, jakie wrażenie wywołały na niej te słowa. – Za pierwszym razem poroniła, ale nawet dość szybko wróciła do zdrowia. To znaczy do zdrowia fizycznego. Już wcześniej zdarzało jej się popadać w melancholię. Po stracie dziecka było z tym dużo gorzej, ale potrafiłem ją zrozumieć. Staralem się. Po kilku latach ponownie zaszła w ciążę. Samuel był już wtedy uczniem liceum, ale na wiadomość o stanie matki wpadł w szal. „Jeżeli coś jej się stanie, bądź pewien, że ci tego nie daruję” – odgrażał się. Zaniedbał naukę, czuwał nad nią, spędzał z nią niemal każdą chwilę. Byłem bezradny, bo widziałem, że cieszyło ją towarzystwo syna. Zdecydowanie bardziej niż moje, ale w tych warunkach wolałem nie walczyć o swoje prawa. Dotarło do mnie, że skoro wcześniej nie umiałem tego zrobić, to teraz jest już zdecydowanie za późno. Gotów byłem się nawet ostatecznie poddać, ale oczywiście nie mogłem tego zrobić. Nie wtedy, gdy oczekiwaliśmy naszego dziecka. – Ponownie zastukał palcami w blat biurka. – Urodziło się bardzo słabe i zmarło następnego dnia. Jacqueline już się potem nie pozbierała. A gdy wydawało się, że jakoś stanęła na nogi, targnęła się na swoje życie. Została odratowana, ale lekarze uznali, że musi być oddana do szpitala dla cierpiących na melancholię. Nie do żadnego domu dla obłąkanych, gdzie chorych trzyma się na łańcuchu, jak zapewne wielu ludzi myśli. Jacqueline jest pod opieką zakonnicy, w dobrych warunkach. Za to odkąd się tam znalazła, jej syn nie dawał mi już nawet chwili spokoju. Groził, szalał, myślałem, że i on postradał rozum. Wreszcie oświadczył mi, że wstępuje do wojska. Potem wyjechał do Algierii, nagle zapragnął znaleźć



się jak najdalej stąd, nawet jak najdalej od niej. Pomyślałem: chwała Bogu. Niech mi zejdzie z oczu. Obaj sobie zejdziemy. Może dzięki temu Samuel się opamięta, a ja spróbuję odbudować swoje życie. I cieszyć się nim, mimo wszystko. Przecież jest tylko jedno, już się nie powtórzy. Wiedziałem, że to, co zaplanowałem, niejednemu się nie spodoba, ale akurat moi przyjaciele i rodzina z Aix-en-Provence podeszli do mojej decyzji ze zrozumieniem. A także oboje państwo Giroux. „Nasz syn też nie miał z nią łatwego życia – powiedziała mi pani Giroux – jego też wcześniej ostrzegaliśmy, tak jak pana”. Ale on, Paul, także nie chciał ich słuchać. Zapłacił za to drogo. Kochała tylko dziecko, ale to nie była normalna miłość. „Ja od razu wiedziałam, że coś z nią było nie tak” – stwierdziła na koniec. Wyjechałem do Paryża, zacząłem nowe życie, ale nie zerwałem z przeszłością. Kiedy tylko wyjeżdżam na południe, zawsze odwiedzam moją żonę.

Kinga wiedziała, że co jakiś czas istotnie wyjeżdżał do Prowansji. Mówił, że odwiedza tam siostrę i brata, i każdy przyjmował takie wytłumaczenie jako coś najbardziej oczywistego pod słońcem. Ona także. Ujawniona prawda przygnębiła ją, ale i do tego powinna przecież przywyknąć. Bo jak do tej pory, żadna prawda, którą przed nią odkrywano, nie poprawiała jej nastroju. Uznała, że czas zdobyć się na jakiś cieplejszy gest wobec siedzącego naprzeciw niej człowieka. Naprawdę mu współczuła. I wciąż bardzo go lubiła.

– Jak ona się teraz miewa? – spytała, już znacznie łagodniej niż poprzednio.

Ponownie wzruszył ramionami i znowu odwrócił wzrok.

– Prawie mnie nie poznaje. Może nic w tym dziwnego, skoro to nie ja byłem jej naprawdę bliski. Samuel twierdzi, że jego natychmiast rozpoznała, choć nie widzieli się od prawie trzech lat.

– Wierzy mu pan?

– A jakie to ma znaczenie? Liczy się tylko to, że on w dalszym ciągu jest przekonany o mojej winie. O tym, że choroba jego matki jest prostą konsekwencją małżeństwa ze mną. Tam, w Prowansji, ci, którzy ją wcześniej znali, nie mają wątpliwości, że prędzej czy później skończyłaby w szpitalu. Ale ja czasem myślę, że może w tej jednej jedynej sprawie ten cholerny narwaniec ma jednak rację. Że gdybym się nie pojawił i nie namotał w jej, w ich życiu, stan jego matki aż tak by się nie pogorszył.

– Nieprawda – zaproponowała Kinga, bo przez jej głowę przemknęła myśl, że może czekał na słowa otuchy. Przyszło jej to tym łatwiej, że ponownie przypomniała sobie rozwścieczoną minę Samuela Giroux i te wszystkie oskarżenia, jakie rzucił jej w twarz. Jednak w głębi duszy wcale nie była tego pewna i po trosze podzielała obawy Adriena. – Nie warto już zatruwać sobie tym myśli – dodała, dokładając wszelkich starań, by zabrzmiało to przekonująco.

Spojrzał na nią życzliwie, z wdzięcznością.

– Ale chyba powinienem był brać pod uwagę, że Samuel tak łatwo nie odpuści i może ponownie pojawić się w moim życiu. I także w nim namieszać. Naiwnie zakładałem, że pozostanie w kolonii jeszcze długie lata, o ile nie na stałe. Tym bardziej że – jak mi się kiedyś obilo o uszy – zamierzał przenieść się na Reunion albo nawet do Indochin. Wprawdzie nie dowiedziałem się o tych planach bezpośrednio od niego, nie korespondowaliśmy ze sobą, ale uznałem, że to bardzo prawdopodobne. I rzeczywiście wieści się potwierdziły, ale nie wziąłem pod uwagę jednego: że Samuel najpierw zechce przyjechać do Francji i zobaczyć matkę. A przy okazji postanowi pokręcić się trochę wokół mojej osoby i ponownie utrudnić mi życie. Gorzej, że niestety nie tylko moje. – Biret uczynił taki ruch, jakby chciał sięgnąć do jej dłoni, ale w ostatniej chwili zrezygnował. – Proszę przyjąć moje przeprosiny. Przykro mi, że dotknęło to także panią, i to w taki

sposób. Ma pani prawo gniewać się na mnie. Źle to rozegrałem, powinien być bardziej uważać. I pamiętać, że człowiek tak łatwo nie ucieknie od swojej przeszłości. Dopadnie go ona w najmniej spodziewanym momencie.

Cofnęła dłoń, ale uśmiechnęła się blado.

– Poradzę sobie – rzekła. – Każde plotki w końcu przemijają.

Człowiek tak łatwo nie ucieknie od swojej przeszłości – ona także powinna o tym pamiętać. A w razie potrzeby na nowo sobie przypominać. Refleksja ta sprawiła, że nagle, zupełnie impulsywnie, postanowiła wyjawić to, co wciąż było wspólnym sekretem jej i Zbyszka.

– Zbyszek zaproponował mi małżeństwo – rzekła cicho. Zaledwie jednak wybrzmiały te słowa, a już poczuła się tak, jakby naruszyła jakąś niepisaną umowę. Wprawdzie kuzyn nie zobowiązał jej do tajemnicy, niemniej to się chyba rozumiało samo przez się. Nie powinna była mówić o tym nikomu, tym bardziej że od nikogo nie oczekiwała żadnej rady. A już z całą pewnością nie od Adriena Bireta, nie po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło.

Adrien szybciej od niej zapanował nad zaskoczeniem, a nawet pokiwał głową. Jak się okazało, w geście całkowitej aprobaty.

– To chyba niezły pomysł.

Otworzyła szeroko oczy, niepewna, czy znowu nie zaczął żartować. Ale nie wyglądało na to – przeciwnie, jego twarz pozostała poważna, choć spojrzenie zdecydowanie się wypogodziło.

– Nie byłabym tego taka pewna – odparła sztywno.

– Mam rozumieć, że udzieliła już mu pani odpowiedzi? – spytał najwyraźniej niezrażony jej tonem.

– Dałam mu to do zrozumienia – rzekła wymijająco. Nie miała ochoty mówić o szczegółach. – Wolalabym, aby nie poruszał pan tego tematu ze Zbyszkiem – dodała po chwili.

Na twarzy Adriena pojawił się grymas, który od biedy można było nazwać uśmiechem.

– Nie przypuszczam, byśmy w najbliższym czasie mieli okazję do jakiegokolwiek rozmowy – westchnął. – W każdym razie do głowy by mi nie przyszło poruszać ten akurat temat.

Ciszę, jaka zapadła po tych słowach, przerwał wyraźny odgłos zbliżających się kroków. Oboje wiedzieli, co to oznacza. Zresztą nie mogli w nieskończoność zajmować gabinetu *madame* Lestiger. Kinga podniosła się pierwsza. W samą porę, bo w tym samym momencie rozległo się głośne pukanie do drzwi i zanim zdążyli odpowiedzieć, Solange była już w środku.

– Myślę, że najwyższa pora, aby wróciła pani do swoich obowiązków – oświadczyła, zmarszczywszy brwi. – Doniesiono nowe dokumenty, listy i rachunki, proszę się nimi bezzwłocznie zająć.

Kinga bez słowa skierowała się do drzwi. Opuszczając pokój, cały czas czuła na sobie niechętnie spojrzenie szefowej.

Tydzień później Zbyszek oznajmił jej, że podjął ostateczną decyzję o wyprowadzce z pensjonatu. Od dawna nosił się z tym zamiarem, ale zawsze pojawiała się jakaś przeszkoda. Teraz postanowił nie zważać na żadną z nich i wreszcie po swojemu ułożyć od dawna odwlekane sprawy. Zatopiona we własnych myślach Kinga nie od razu zareagowała na te słowa. Gdy wreszcie ich sens dotarł do jej świadomości, w pierwszym odruchu bezwiednie rzuciła okiem na fasadę kościoła Saint-Étienne-du-Mont, obok którego właśnie przechodzili. I dopiero po chwili skierowała spojrzenie na kuzyna.

– Dlaczego? – spytała zaskoczona.

– Och, przyczyn jest kilka – odparł niedbale Zbyszek. Wodził wzrokiem po mijanych przechodniach, zerkał w kierunku ogródków kawiarnianych, od czasu do czasu spoglądał na przesuwane się po niebie obłoki, na nią jednak

nie patrzył.

– Znudziła ci się Dzielnica Łacińska? – próbowała żartować, choć wcale nie miała na to ochoty.

– Raczej mam dość mieszkania w pensjonacie – odparł. – Owszem, od czasu do czasu lubię hotele i tym podobne przybytki, ma to swój urok i zalety, ale nie powinno stać się chlebem powszednim. Innymi słowy potrzebuję domu, własnych czterech ścian, czegoś, co sprawia, że przestaję czuć się podróżnikiem, turystą, a jestem u siebie.

– Nigdy dotąd nie posądzałam cię o tak mieszczańskie poglądy – roześmiała się sztucznie. Przypomniała sobie, że ciotka Amelia to samo kiedyś powiedziała o jej ojcu.

Zbyszek w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– To, że od czasu do czasu lubię zadawać się z bohema, nie oznacza, że sam stałem się wagabundą. Tym bardziej że większość tych artystów ma swoje domy i całkiem przyziemne marzenia, nawet jeśli wstydzi się do nich przyznać. Ja w każdym razie otwarcie wyznaję, że chciałbym już zacumować w stałym porcie. Przecież ci o tym mówiłem, w dodatku całkiem niedawno.

Wtedy gdy zaproponował jej małżeństwo, doskonale to pamiętała. Postanowiła niczego po sobie nie okazać. Przynajmniej na razie.

– A zatem mam rozumieć, że zamierzasz kupić dom? – spytała, niepewna jeszcze, co o tym myśleć. Sam pomysł wciąż wydawał jej się nierealny. Przyszło jej nawet do głowy, że Zbyszek żartuje, to byłoby do niego podobne, albo wystawia ją na próbę. Z drugiej jednak strony w jakim celu miałyby to robić?

– Na razie ograniczę się do wynajęcia mieszkania. – Zmienił ton; nie ulegało wątpliwości, że zaczął mówić zupełnie poważnie. – Już je znalazłem. Na rue Véron. Nieduże, ale wygodne. I w dobrym miejscu, nieopodal Sacré-Coeur. – Uśmiechnął się. – Chyba jednak trochę na wyrost nazwałaś mnie

mieszczuchem. W dodatku z takim przekąsem w głosie.

– Ach tak... Montmartre... – mruknęła, gdy tylko przetrawiła tę wiadomość.

To, co jeszcze kilkanaście sekund temu wydawało jej się nierealne, stało się jak najbardziej rzeczywiste. Przywykła do tego, że Zbyszek był blisko, że każdego ranka spotykali się w jadalni pensjonatu, by przy bagietkach i porannej kawie wymieniać pośpieszne uwagi co do planów na wieczór, gdy oboje zakończą pracę. Przeprowadzka Zbyszka położyła kres temu zwyczajowi, a także paru innym, do których zdążyła już przywyknąć. I które przypominały im o czasach, gdy jeszcze jako bardzo młodzi ludzie mieszkali pod jednym dachem, przy Kruczej. Bo choć Kinga wyniosła stamtąd nie najlepsze wspomnienia, to przecież nie wszystkie były całkiem złe. Na pewno nie te związane z kuzynem.

Nagle odniosła absurdalne wrażenie, że rue Véron znajduje się setki mil stąd, a nie w innej dzielnicy tego miasta. Z pewnością będą się widywać rzadziej niż obecnie. Czemu stało się to teraz, gdy tak bardzo potrzebowała jego codziennej obecności? I tych wieczornych przechadzek, podczas których równie dobrze mogli prowadzić długie dyskusje i rozmowy, lecz także snuć własne rozmyślenia. Już jakiś czas temu odkryła, że Zbyszek był jedyną osobą, w towarzystwie której milczenie nigdy nie wydawało się niezręczne.

– Przecież nie nazwałam cię mieszczuchem – dodała nieporadnie. – W każdym razie nie chciałam, aby to tak zabrzmiało.

– Nie tłumacz się. – Jego oczy wesoło błysnęły. – Wiem, co usłyszałam.

– Po prostu mnie zaskoczyłeś. Skoro, jak to poetycko ująłeś, postanowiłeś zacumować wreszcie w porcie, czemu opuściłeś Warszawę? Przecież miałeś tam wszystko, co cenisz. Wygodne mieszkanie i dobrze płatną pracę. Miałeś nawet więcej, bo na miejscu była twoja rodzina. I cała gromada przyjaciół, których znałeś od dzieciństwa. Czy w takim razie warto było to wszystko

rzucać i przyjeżdżać aż tutaj, skoro... – Urwała, przypomniawszy sobie, że Zbyszek nigdy nie żałował i nie analizował raz podjętej decyzji. Bardzo go za to podziwiała i po trosze zazdrościła tej umiejętności.

– Rzuciłem to wszystko i przyjechałem do Paryża, bo chciałem być z tobą. Uznałem, że tutaj ma to większe szanse powodzenia niż tam.

Oczywiście, pomyślała. Czemu nie przewidziała takiej odpowiedzi? W tym momencie wydała jej się jedynym logicznym wytłumaczeniem. Poczula, że się rumieni, zrobiła krok w tył, by zawrócić, ale nie pozwolił jej na to, przytrzymał za rękę.

– Już o tym rozmawialiśmy – rzekła cicho, rzucając spłoszone spojrzenia na przechodniów. Zbyszek nie zwracał jednak uwagi na nikogo, jedynie na nią.

– Tak, ale obiecałaś, że się zastanowisz. Oczywiście mogę jeszcze poczekać na twoją odpowiedź, nawet całe lata. Ale po co tracić czas? Życie jest cholernie krótkie. Za krótkie, by je marnować. Bo widzisz, kochanie, moim zdaniem naprawdę nie ma się nad czym dłużej zastanawiać.

Obiecywała, że się zastanowi? Przywołując z pamięci tamtą rozmowę, nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć swoich własnych słów. Skoro jednak Zbyszek utrzymywał, że było tak, jak przed chwilą powiedział, uznała, że nie ma powodu, by mu nie wierzyć. Za to bardzo dokładnie pamiętała jego słowa i obietnice. Że będą razem szczęśliwi, że ich małżeństwo uchroni ją przed ludzkim gadaniem. Że nigdy już nie będzie musiała sama zmagać się z przeciwnościami losu, bo on będzie przy niej i jej nie zostawi. Nie pozwoli, by ktokolwiek ją skrzywdził, nie powtórzy się już sytuacja, gdy jako chłopiec nie potrafił obronić jej przed swoją matką. Nagle znowu przypomniała sobie tamtego chłopca, który, ku niezadowoleniu Burgiewiczowej, zawsze okazywał jej życzliwość. A potem każdą jego wizytę w Krakowie. I uścisk dłoni, gdy wyruszali w drogę do Paryża.

Zaraz potem znowu poczuła znużenie. Wypadki i zdarzenia ostatnich dni, słowa, które rzucił jej w twarz Samuel Giroux, plotki i spojrzenia, zarówno te prawdziwe, jak i wyimaginowane, rozmowa z Adrienem i karcący wzrok Solange Lestiger – wszystko to przestało wywoływać w niej gniew lub przygnębienie – zastąpiło je właśnie znużenie. Najchętniej by stąd uciekła, choćby na koniec świata, lecz, na litość boską, ile razy można uciekać? Aż za dobrze rozumiała, o czym mówił Zbyszek. Czas wreszcie przybić do portu. Czemu taką przystanią nie miałyby się stać mieszkanie przy rue Véron? Nawet Adrien powiedział, że to niezły pomysł.

– O czym myślisz? – zapytał miękko Zbyszek. Patrzył na nią tak, jakby czytał w jej myślach, w każdym razie zobaczyła w jego oczach nadzieję.

„Nie chcę, aby mój syn powielił los Leona Niwińskiego” – powiedziała jej na pożegnanie ciotka.

Mój ojciec był przecież szczęśliwy, odpowiedziała jej w myślach Kinga. Twój syn też będzie, obiecuję.

Tym razem naprawdę mogła to obiecać, miała jednak świadomość, że Burgiewiczowa i tak by jej nie uwierzyła.

– Mam nadzieję, że nie o mojej matce – indagował Zbyszek. – Tę kwestię już sobie wyjaśniliśmy i chyba nie ma sensu do niej wracać.

– Nie ma sensu – przytknęła, a spostrzegłszy w jego oczach zaniepokojenie, uśmiechnęła się i ujęła go pod ramię. – Opowiesz mi więcej o tym mieszkaniu przy rue Véron? Wiesz, zawsze byłam ciekawa, jak się mieszka na Montmartrze.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią tak, jakby nie końca wierzył, czy dobrze usłyszał i czy właściwie zrozumiał. Potem zerknął na jej dłoń, która ścisnęła jego ramię.

– Najlepiej będzie, jeśli jutro udamy się tam razem – odparł ścisłym ze wzruszenia głosem.





## ROZDZIAŁ 7

Pobrali się w upalny lipcowy dzień tysiąc dziewięćset dziewiątego roku, w obecności zaledwie kilkorga znajomych. Tak szybko, jak tylko udało się załatwić niezbędne zezwolenia i formalności. Zgodnie z przewidywaniami ślub ten zdeorientował plotkarzy, którzy zdążyli już chwycić przynętę zarzuconą przez Samuela Giroux. Tym samym wszelkie dociekania ucichły, a gdy okazało się, że młody Giroux ponownie opuścił Francję, stopniowo przestano zajmować się zarówno Adrienem, jak i jego polską przyjaciółką, a jeśli jeszcze czasem ten temat pojawiał się w prywatnych rozmowach, to na ogół w kontekście utyskiwania na plagę plotek, które często się nie potwierdzają. Zdecydowanie bardziej i dłużej interesowano się nieszczęsną panią Biret, ale i tu trzeba było w końcu dać za wygraną, gdy się okazało, że Adrien nie ma zamiaru niczego publicznie ani prywatnie wyjaśniać, zaś prawo do odwiedzania chorej mieli jedynie on, jej syn i jej teściowie z pierwszego małżeństwa, oboje już w podeszłym wieku i niechętni do rozmów o sprawach rodzinnych.

Jeszcze przed ślubem Kinga zrezygnowała z pracy u pani Lestiger, pomimo że Solange niczego takiego jej nie sugerowała. Choć z drugiej strony nie można powiedzieć, by upierała się, chcąc ją koniecznie zatrzymać. Kinga także nie tęskniła za pracownią, w każdym razie nie aż tak, jak się tego z początku obawiała, a zupełnie przestała wracać do niej myślami, gdy

zorientowała się, że spodziewa się dziecka. Dwa lata po ślubie urodziła syna, któremu nadali imiona Karol Stefan, i który miał się stać największą miłością jej życia.

Pojawienie się dziecka sprawiło, że przybyło jej obowiązków, nawet jeśli gotowaniem i sprzątaniami zajmowała się zatrudniona na przychodne Marianne Laubec. Marianne nigdy nie oferowała pomocy przy dziecku, nie udzielała też żadnych rad na temat jego pielęgnacji i wychowania, jednak Kinga tego od niej nie wymagała. Nie potrzebowała i nie chciała pomocy postronnych ludzi. Choć wokół synka zaczął koncentrować się jej cały świat, wcale nie miała poczucia, że granice tego świata ograniczają jej horyzonty. Przeciwnie, miała wrażenie, że dopiero teraz zyskała możliwość, by nauczyć się kochać i rozumieć drugiego człowieka. Nie tylko to małeństwo, ale także i jego ojca. Sama czuła się już zupełnie inną osobą i bez żalu pożegnała się z dawnym życiem. Zbyszek zaś, nie mniej niż żona dumny z syna, czasem lubił jednak zażartować, że wreszcie może być już całkowicie pewny, że Kinga się nie rozmyśli i nie czmychnie w siną dal. Choć wnikliwy obserwator mógł dostrzec, że nie do końca był to tylko żart. „Mąż kocha panią jak szaleniec” – mawiały nie bez zazdrości znajome kobiety. Ich zdaniem, gdyby zażyczyła sobie gwiazdki z nieba, Zbyszek z pewnością szukałby wytrwale sposobu, by jakoś sprostać temu zadaniu.

Kinga nie stawiała mu takich żądań ani też żadnych innych. Cieszyła się, że obawy, jakie żywiła przed ślubem, nie potwierdziły się w życiu. Zbyszek się nie pomylił, gdy zapewniał ją, że może im się udać. Że z pewnością im się uda. Bez żadnych wątpliwości tworzyli szczęśliwą parę. Nawet jeśli nie wszystkie osoby w rodzinie zamierzały pogodzić się z tym faktem.

Zbyszek powiadomił matkę i siostrę o swoim małżeństwie dopiero kilka dni po ceremonii ślubnej. Trzy tygodnie później doczekał się odpowiedzi. Klementyna jedynie krótko wspomniała, że ją zaskoczył, poza tym w ogóle

nie nawiązywała do ślubu brata, słowem też nie napomknęła na temat... bratowej. Pisała o zwykłych, codziennych sprawach, tak jak do tej pory, a ponieważ niemal każdy dzień jej życia wyglądał tak samo, Zbyszek niczego nowego się nie dowiedział. Wyglądało na to, że jego nowina niespecjalnie ją zainteresowała. Choć przecież mógł mieć pewność, że było zupełnie inaczej.

Matka, dla odmiany, nie zostawiła na nim suchej nitki, wyrzucając mu głupotę, lekkomyślność i krótkowzroczność. Nie wymieniła imienia siostrzenicy, a zarazem synowej. Nie było takiej potrzeby, skoro i tak wyrzuty, jakie stawiała synowi, oscylowały wokół Kingi. *Dałeś się złapać jak zwykły głupiec – gromiła go. – Nieodporny na zabiegi zwykłej, pospolitej flirciary. Jesteś tak samo zaślepiony i bezmyślny jak wielu innych mężczyzn, i choć żywiłam obawy co do Twojego wyjazdu, to muszę przyznać, że to, co zrobiłeś, przeszło moje najgorsze przeczucia. Nie wyobrażam sobie, jak teraz mamy ułożyć nasze stosunki.*

Imienia synowej nie wymieniła także dlatego, że napisała do niej osobny list. Pierwszy, jaki Kinga od niej otrzymała. A zarazem ostatni, jak się miała później przekonać. List pełen wyrzutów i oskarżeń, które dla Kingi nie były zaskoczeniem. Zdecydowanie większym był sam fakt, że ciotka w ogóle się do niej odezwała. Kinga raczej zakładała, że zostanie zignorowana, w każdym razie do tego zdążyła w ostatnich latach przywyknąć. Stało się jednak inaczej.

*Mogłam się spodziewać, że nie dotrzymasz słowa, ale Ci zaufałam – czytała, dziwiąc się, że wciąż czuje to samo dławienie w gardle, jak za każdym razem, gdy Burgiewiczowa zwracała się bezpośrednio do niej. Przynajmniej to jedno nigdy się nie zmieni, dopóki jedna z nich nie opuści tego świata. – Nie powinnam była Ci ufać, i to pod żadnym pozorem. Gorzka to dla mnie nauczka, ale przynajmniej ostatecznie pozbyłam się złudzeń wobec Ciebie. Jesteś nieodrodną córką Twojej matki. I tak jak ona – kobietą*

*bez honoru i wszelkich moralnych zasad. Oświadczam po raz ostatni: nie chcę mieć z Tobą nic wspólnego. I nigdy nie uznam Cię w tej roli, jaką wydebiłaś u mojego syna. Takie kobiety jak Ty potrafią wodzić za nos słabych mężczyzn, ale ze mną z pewnością Ci się to nie uda.*

Wyglądało na to, że była zdecydowana dotrzymać słowa. Dwa lata później zignorowała wiadomość o narodzinach wnuka; list od Zbyszka informujący o tym wydarzeniu zostawiła bez odpowiedzi. Odpisała za to Klementyna, która nawet zdobyła się na oszczędne gratulacje. Bez stawiania żadnych dodatkowych pytań o dziecko ani o jego matkę. Bez bodaj jednego słowa pozdrowienia dla bratowej.

Trudno, pomyślała Kinga. Nawet ją rozumiem. Nie mam żalu, nie powinnam go mieć.

A jednak dała o sobie znać stara zadra w sercu. Klementyna była przecież ciotką Karolka, a jej dzieci jego jedynymi kuzynami. Tak jak Maria Burgiewiczowa była jego jedyną babką.

– Nie martw się – pocieszał ją Zbyszek. – Matka w końcu ustąpi. Zajmie jej to trochę czasu, ale nie będzie się gniewać w nieskończoność. Znam ją, nie wytrzyma tak długo.

Nie będzie się gniewać w nieskończoność na ciebie, sprostowała, lecz jedynie w myślach, Kinga. Szczerze wątpiła, czy ciotka – wciąż łatwiej jej było tak o niej myśleć, niż nazywać ją teściową i wątpiła, czy to się jeszcze zmieni – kiedykolwiek okaże cieplejsze uczucia Karolkowi, czy zdobędzie się na jakiegokolwiek zainteresowanie wnukiem. Za to jednego była pewna na sto procent – Burgiewiczowa nigdy jej nie wybaczy i nie będzie chciała jej znać. Lecz nie warto było podejmować na ten temat dyskusji ze Zbyszkiem. A co za tym idzie przypominać mu historii Stefana i Klary. Historii, która w pewnym sensie do tej pory się nie skończyła, choć jej główni bohaterowie odeszli już do wieczności.

Na tym tle dużą pociechą były listy od Amelii Gajewskiej, która z aprobatą i radością przyjęła wiadomość o ślubie Kingi. A przecież, powiadamiając ją o swoim małżeństwie, Kinga wcale nie była pewna, z jaką reakcją się spotka.

*Podjęłaś słuszną decyzję – pochwaliła ją Amelia. – Cieszę się, że ułożyłaś sobie życie. Przecież od dawna tego właśnie dla Ciebie chciałam, choć oczywiście do głowy mi wówczas nie przyszło, że Twoim wybrankiem będzie Twój kuzyn. Lecz, jak wiesz, nigdy nie uważałam, by tego typu pokrewieństwo było jakąś przeszkodą w zbudowaniu szczęśliwego związku. Oby Wam się udało, szczerze Wam tego życzę i bardzo chętnie złożyłabym te gratulacje osobiście. Nie jestem pewna, czy Ci wspominałam, ale zawsze marzyłam o podróży do Paryża. Oczywiście kiedyś, w młodości, miałam nadzieję, że uczynię to jako aktorka podbijająca paryskie sceny. Od tamtych czasów wiele się zmieniło w moim życiu, rzeczywistość zweryfikowała marzenia, ale to jedno pozostało niezmiennie – chciałabym oglądać wystawy magazynów na Polach Elizejskich, zatrzymać się przed katedrą Notre Dame, spacerować uliczkami Saint-Germain i ze wzgórza Montmartre, u stóp Sacré-Coeur podziwiać panoramę miasta. Lecz najważniejsze dla mnie to zobaczyć Ciebie i znowu, tak jak niegdyś w Krakowie, porozmawiać w cztery oczy.*

Kinga odpisała jej niemal natychmiast.

*Skoro tak, to nie zwlekaj dłużej ze spełnieniem tego marzenia. Oboje ze Zbyszkiem z radością Cię ugościmy. Przypominam sobie, że istotnie rozmawiałyśmy o Paryżu – wtedy gdy namawiałaś mnie, abym się nie wahała i przystała na propozycję wyjazdu. Chyba wspomniałaś, że zawsze chciałaś zobaczyć to miasto. Teraz, droga Cioteczko, masz ku temu najlepszą okazję.*

Odpowiedź nadeszła dopiero cztery miesiące później.

*Na razie nie jest to możliwe – pisała Amelia. – Niestety tak to już bywa z większością naszych marzeń, a przynajmniej moich: gdy wydaje się, że nic już nie stoi im na przeszkodzie, niespodziewanie pojawia się jakaś trudność, ściana, przepaść – wybierz dowolne określenie. Mój ojciec w ostatnich tygodniach zaniemógł. Miał atak serca, na szczęście w porę udało się zapobiec nieszczęściu i jakoś wrócił do siebie, ale jest zdecydowanie słabszy niż do tej pory, szybciej się męczy i trudno mu wykrzesać dawną energię. Wprawdzie nie poddaje się i stara się ukryć przed wszystkimi swój stan, ale przecież mnie nie oszuka. Nie mogę go zostawić, choć zawzięcie namawia mnie na wyjazd. „Nie zawracaj sobie mną głowy – powiada. – Takich jak ja nawet siekierą nie zarobią, jestem z tego pokolenia, które tak łatwo się nie poddaje”. I zapewnia mnie, że nic mu już nie dolega, co przecież nie jest prawdą. Ma swoje lata i całe życie ciężko pracował. Stale się o mnie troszczył. Dlatego nie mogę go teraz zostawić, jestem mu to winna. Nie potrafiłabym się cieszyć ani Paryżem, ani nawet spotkaniem z Tobą, bo stale myślałabym jedynie o nim.*

Dwa lata później, na wiadomość o narodzinach Karolka napisała, że chętnie by go ucałowała i nie traci nadziei, że prędej czy później to pragnienie się ziści. Choć, jak od razu zaznaczyła, raczej nieprędko.

*Stan zdrowia mojego ojca uległ pewnej poprawie, niemniej w dalszym ciągu wolałabym nie tracić go z oczu nawet na kilka dni, a co dopiero mówić o tygodniach. Wprawdzie bardzo się ożywił na wiadomość o narodzinach Twojego dziecka i przez tydzień upierał się, że powinnam wybrać się w tę podróż, ale teraz ponownie się uspokoił i nie wraca do tematu. Tak więc, moja Droga Bratanico, musimy obie*

*uzbroić się w cierpliwość. Ze swej strony mogę tylko solennie obiecać, że gdy ojciec nabierze więcej sił, a lekarze zapewnią, że nie grozi mu już żadne niebezpieczeństwo, zacznę przygotowania do wyjazdu.*

Wincenty Gajewski zmarł na początku stycznia tysiąc dziewięćset czternastego roku. Postępowanie spadkowe i uporządkowanie wszelkich formalności związanych z majątkiem i udziałami w sklepie i magazynach zajęło kilka miesięcy. Wiosną Amelia udała się do uzdrowiska w Nałęczowie, a w połowie czerwca zawiadomiła Kingę, że zaczyna przygotowania do długo odwlekanego wyjazdu do Paryża. Zamach w Sarajewie, do którego doszło dwudziestego ósmego czerwca, na kilka dni odsunął na dalszy plan wszelkie inne wydarzenia, a także prywatne plany. Zamieszanie i napięcie ustąpiły jednak szybko miejsca innym sprawom, a także towarzyskim plotkom, czemu zresztą sprzyjał początek sezonu letnich wyjazdów lub – jak w przypadku mieszkańców wsi – intensywnych prac polowych.

W połowie lipca Gajewska wróciła do przygotowań do podróży.

*Wygląda na to, że będziecie mogli się mnie spodziewać w pierwszych dniach sierpnia – doniosła wreszcie rozradowanej Kingde. – O dokładnej dacie zawiadomię Was w osobnej depeszy.*

Ale i tym razem nic nie wyszło z tych zamiarów. Ponownie dała o sobie znać wielka polityka, a zwykle, codzienne sprawy musiały się jej podporządkować. Gdy wydawało się, że sprawa zabójstwa austriackiego następcy tronu i jego małżonki uległa już niemal zapomnieniu, podobnie jak to już nieraz bywało w przypadku zamachów na innych monarchów czy polityków, zwłaszcza w tamtej części Europy, w ostatnich dniach lipca cały świat obiegła zaskakująca wiadomość o ultimatum, jakie Austro-Węgry



wystosowały pod adresem Serbii. Tym samym napięcie sprzed miesiąca wróciło, i to w dwójnasób. Serbia dostała czterdzieści osiem godzin na przygotowanie odpowiedzi, lecz nikt nie miał wątpliwości, że spełnienie wszystkich dziesięciu żądań jest nie tylko upokarzające, ale i niemożliwe. A zatem było oczywiste, że Austria po prostu liczyła na odrzucenie ultimatum, bowiem za wszelką cenę dążyła do wojny.

– Dąży do niej od przynajmniej sześciu lat – skwitował Zbyszek. – Kotłowało się tam od dziesięcioleci, ale od aneksji Bośni i Hercegowiny było jasne, że nie da się tego kryzysu pokojowo rozwiązać. Moim zdaniem od tamtego czasu wojna wisiała na włosku. I jedyne, nad czym można się jeszcze zastanawiać, to jej zasięg. Raczej nie skończy się na kolejnej bałkańskiej awanturce, udział Austrii to wyklucza. Pozostaje pytanie, czy Niemcy będą gotowe poprzeć czynnie Austrię, a Rosja – Serbię. I czy cesarze i królowie zdecydują się rzucić w diabły ideę monarszej solidarności, co otworzy drogę do wybuchu wojny. Bo jeśli tak, to zapłoną nie tylko Bałkany, ale cała środkowo-wschodnia Europa.

– A może po prostu cała Europa, nie tylko wschodnia i środkowa – mruknął Adrien, który ostatnio znowu częściej składał wizyty Burgiewiczom. – Tego także nie można wykluczyć.

Nie wierzę, westchnęła w duchu Kinga. Przecież to niemożliwe. To tylko sen, to nie dzieje się naprawdę.

Ale wierzyła. Zamykanie oczu na rzeczywistość do niczego już nie prowadziło. Musiała wreszcie nie tylko przyjąć do wiadomości, że Amelia nie przyjedzie do Paryża, ale że wszystkie sprawy, wokół których do tej pory toczyło się życie, zwykłe codzienne radości, troski i zmartwienia, przestają być ważne wobec kataklizmu, który zbliżał się coraz większymi krokami. Wobec tej niewiadomej jedno było pewne – że będzie groźna i wszystko zmieni, przewartościuje, sprawi, że świat, który do tej pory znali, stanie na

głowie.

Dwudziestego piątego lipca, na kilka minut przed upływem terminu ultimatum, Serbowie udzielili pozytywnej odpowiedzi na zdecydowaną większość austriackich żądań. Mimo to dwudziestego ósmego lipca Austro-Węgry wypowiedziały Serbii wojnę. A w ciągu następnego tygodnia Zbyszek i Adrien poznali już odpowiedzi na swoje pytania i wątpliwości. Wszyscy je poznali. W pierwszych dniach sierpnia wojna objęła zasięgiem niemal całą Europę.

A potem już nie tylko ją.

## ROZDZIAŁ 8

W pierwszej chwili w ogóle to do niej nie dotarło. Wpatrywała się niemo w kartkę papieru, lecz litery skakały jej przed oczami, a w końcu cały obraz się zamazał. Nie było możliwości, by dała radę doczytać do końca, nie rozpoznawała już wyrazów. Ręce jej drżały i nie utrzymały kartki, która powoli opadła na podłogę. Klementyna odprowadziła ją otepiałym wzrokiem i dopiero potem podniosła oczy na męża. Próbowwała coś powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa i zamiast niego z jej gardła wydobył się jakiś żaloszny skrzek.

– Uspokój się – przemówił łagodnie Aleksander. Takim tonem mówił do niej kiedyś, w pierwszych latach małżeństwa, to znaczy wtedy, gdy zdążył się już przekonać, że poślubienie jej było błędem, niemniej wciąż czuł się zobowiązany, by w dalszym ciągu, przynajmniej od czasu do czasu, okazywać jej jakieś względy. I właśnie dziś znowu tak się poczuł, choć przecież od tamtych czasów upłynęły całe wieki, a przynajmniej on tak to odbierał. Wciąż jednak była jego żoną, mieszkali pod jednym dachem, pozory zostały więc zachowane, choć zdawał sobie sprawę, że niektórzy ludzie i tak domyślali się prawdy. Początkowo był gotów zakończyć tę farsę i doprowadzić do separacji, ale wobec zdecydowanego sprzeciwu Klementyny zrezygnował z tego pomysłu. Domyślał się powodów, dla których tak się upierała, i po części je rozumiał, ale nie miał ochoty na żadne

wyjaśnienia i rozmowy na ten temat. Nie chciał wysłuchiwać żadnych łązawych wyznań. Był gotów oszczędzić jej publicznego skandalu, do jakiego bez wątpienia by doszło w przypadku ogłoszenia separacji, lecz przede wszystkim pragnął tego oszczędzić dzieciom. Podobnie jak przed laty, tak i teraz były najważniejszym argumentem, dla którego pogodził się z takim życiem i nie wyprowadził się ze wspólnego mieszkania. Klementyna na nic więcej z jego strony nie mogła liczyć. Jeśli wciąż miała jakieś złudzenia, tym gorzej dla niej. On ze swej strony nie dawał jej już żadnej, bodaj najmniejszej nadziei, że cokolwiek w ich wzajemnych relacjach jeszcze się zmieni na lepsze.

Wybuch wojny zatrzęsł w posadach ich życiem, stawiając twarzą w twarz wobec rzeczywistości, której wcześniej żadne z nich nie byłoby w stanie nawet sobie wyobrazić i o której nie śnili w najczarniejszym koszmarze. Ich syn wstąpił do wojska, uczynił to, choć matka gwałtownie się sprzeciwiała. Dlatego zrobił to za jej plecami. Po prostu uciekł z domu, zostawiając list, w którym wyjaśniał rodzicom, głównie jednak matce, powody swojej decyzji. O ile te kilka zdań napisanych pośpiesznie na wyrwanej z zeszytu kartce można było w ogóle nazwać listem. W każdym razie Klementyna nie była już w stanie zrozumieć ani słowa. Tylko jedno do niej teraz docierało: jej syn opuścił dom i Bóg jeden wie, gdzie się teraz podziewał. A jego ojciec przyjął to spokojnie i ze zrozumieniem. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie, gdy poprosił, aby i ona się uspokoiła i postarała się zrozumieć decyzję Krzysia. Tak jak i on rozumiał. Klementyna nie była do tego zdolna i nie zamierzała podejmować takich starań. Przez kilka minut trzęsła się jak w febrze.

– Wiedziałaś, że chciał to zrobić? – To były pierwsze słowa, jakie z siebie wydusiła, gdy wreszcie odzyskała głos.

– Domyślałem się – odparł Aleksander, wciąż tym samym łagodnym

tonem. W ciągu ostatnich lat niejednokrotnie marzyła, by patrzył na nią z taką życzliwością jak obecnie, by jego głos znowu zabrzmiał tak ciepło i przyjaźnie jak niegdyś, dawno temu, gdy zaczęli wspólne życie. Lecz gdy teraz tak właśnie się stało, czuła wyłącznie gniew i trudny do wyrażenia ból. Nie potrzebowała już tego życzliwego spojrzenia i przyjaznego tonu. Jakie to teraz mogło mieć znaczenie? Obecnie liczyło się tylko to, że jej syn, jej ukochany Krzys, udał się tam, skąd być może nie było już powrotu. Na samą myśl o tym miała ochotę wycić na całe gardło jak zranione zwierzę. I kąsać każdego, kto chciał złagodzić jej ból. Każdy dotyk, każde słowo jedynie wzmagało jej rozpacz i wściekłość. A już zwłaszcza w wykonaniu tego właśnie człowieka, który od lat wyłącznie ją przecież ranił. Nie ufała mu, a w łagodnym tonie jego głosu wyczuwała tylko fałsz. Szczerze żałowała, że nie potrafiła skoczyć mu do gardła, a jedyne, na co potrafiła się zdobyć, to wymówki, które zapewne nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

– Domyślałeś się i nie zapobiegłeś jego ucieczce? – Podniosła gniewnie głos. – Pozwoliłeś mu na to? A może i zachęcałeś? Udzieliłeś dobrej rady, że skoro głupia i ograniczona matka histeryzuje, nie pozostaje mu nic innego, jak umknąć przed nią potajemnie. Bez pożegnania... – Przy ostatnich słowach głos się jej załamał.

– Przecież się pożegnał – odparł spokojnie, wskazując na zmiętą kartkę. Wyciągnął rękę i po raz pierwszy od lat dotknął jej ramienia, ale Klementynę niemal sparzył ten dotyk i natychmiast cofnęła się o krok. Wobec tego westchnął i dodał, wciąż nie zmieniając tonu: – Zrobił to w jedyny możliwy w tych warunkach sposób. Postaraj się go zrozumieć. Wielu jego kolegów włożyło mundury, chwyciło za broń. Nie chciał siedzieć za piecem.

– To jeszcze dziecko – wydusiła z siebie i ponownie głos ją zawiódł. Niewiele brakowało, a wybuchnęłaby głośnym płaczem, który udało jej się jakoś powstrzymać. Jednak wiedziała, że nie na długo.

– Ma dziewiętnaście lat – sprostował rzeczowo. – Jak wielu młodych ludzi, którzy na całym świecie zgłaszają się do wojska.

– Co mnie obchodzą inni młodzi ludzie na całym świecie! – krzyknęła. – Jeżeli inni ulegają szaleństwu, to nie znaczy, że ja mam temu przytakiwać! Dobrze jest szafować krwią młodzieży, gdy się siedzi w wygodnym fotelu premiera albo na jeszcze wygodniejszym cesarskim czy królewskim tronie! Niech będą przekłęci wszyscy ci królowie, premierzy i wodzowie naczelni! I dziennikarze, którzy idą im w sukurs, naganiając młodych do armii! Przeklinam ich wszystkich i życzę im zguby. Oby jak najszybciej!

Nie spodziewał się po niej takiego wybuchu, toteż w pierwszej chwili jedynie patrzył na nią skonfundowany, dopiero potem zdobył się na odpowiedź.

– Wiem, że ci ciężko – rzekł cicho. – I choć teraz nie chcesz w to uwierzyć, mnie także nie jest łatwo. Ani żadnemu z rodziców tych chłopaków. Żadnej żonie ani narzeczonej. Może przynajmniej pocieszy cię myśl, że nie zgarnęli go do carskiej armii. Że poszedł do polskich oddziałów.

W gruncie rzeczy szczerze wątpił, czy ten argument do niej trafi, i faktycznie nie pomylił się w przewidywaniach.

– O czym ty mówisz? – warknęła. – Co za bzdury! Jakie polskie oddziały? Nic takiego nie istnieje.

– Ależ istnieje... – zaczął tonem łagodnej perswazji, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

– Nawet jeśli... Co mnie to obchodzi?! Naprawdę uważasz, że stanowi to dla mnie jakąś pociechę?! Jakie to ma znaczenie?! Taki czy inny oddział nie jest miejscem dla mojego dziecka! W każdym tak samo można stracić życie!

– Nie można myśleć wyłącznie takimi kategoriami. – Wreszcie i on podniósł głos.

– Och, wiem, zawsze uważałeś mnie za ograniczoną i głupią! –

powtórzyła z goryczą i złością to, co wyrzuciła mu już wcześniej.

– Bo nie zrobiłaś nic, abym cię za kogoś takiego nie uważał. Nic cię nigdy nie interesowało. Poza domem i podwórkiem. I poza twoją matką, oczywiście.

To nie był czas i okoliczności na podobne wyrzuty, na kłótnie, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Ona zresztą także – poznał to po jej rozżalonym spojrzeniu. Wiedział też, że trochę przesadził – Klementyna w ostatnich latach jakby mniej kurczowo trzymała się spódnicy Burgiewiczowej, co zauważyli wszyscy, nawet on. Powinien był nad sobą zapanować, zwłaszcza teraz. W gruncie rzeczy jej reakcja nie różniła się od reakcji milionów innych matek, a niejednokrotnie także ojców. Obiecywał sobie wcześniej, że będzie miał na to wzgląd, i należało się trzymać tego postanowienia. A jednak mu się nie udało. W dodatku wcale nie z powodu jej postawy i poglądów na wojnę – sam siebie nie musiał przecież oszukiwać, że prawdziwe powody jego niechęci były od lat takie same i nie miały większego związku z tym, co wydarzyło się w ostatnich dniach.

Zacisnął dłonie, a po chwili rozprostował palce. Powtórzył tę czynność, po czym ponownie spojrzął na żonę. Wycierała chusteczką oczy.

– Nie mogłabyś go zatrzymać. – Znowu starał się mówić spokojnie. – Mnie także by się to nie udało. Nikomu. Zamarzyły mu się te legiony. To przecież polskie oddziały, polskie wojsko. I nie jest w tym osamotniony. A fakt, że tu, w Królestwie, wielu patrzy na tamtych jak na agentów austriackich, ani dla Krzyśka, ani dla jego kolegów nie ma znaczenia. Być może znienawidzisz mnie za to, co teraz powiem, ale... uważam, że powinnaś być z niego dumna. Ja jestem. Szkoda, że musiał wykraść się stąd potajemnie. I jemu byłoby lżej na sercu, gdyby miał twoje błogosławieństwo.

– Jak widać wystarczyło mu twoje – odparła z sarkazmem. – Nie próbuj wpędzać mnie teraz w wyrzuty sumienia. Ani uświadamiać patriotycznie. –

Jej spojrzenie przesłonił cień, twarz jeszcze bardziej spochmurniała. – Jeśli, nie daj Boże, coś mu się stanie, to będzie twoja wina. Tylko twoja. A poczucie dumy na nic ci się wtedy nie przyda.

Zaledwie to powiedziała, przejął ją lęk. Takie słowa brzmiały nie tyle jak surowa przestroga, ile raczej jak ponura przepowiednia. Nie powinna była nawet tak myśleć, a co dopiero mówić.

Przez chwilę miał taką minę, jakby chciał podjąć rzucone wyzwanie i odpowiedzieć jej równie bezwzględnie jak ona jemu przed momentem. Zapanował jednak nad tą pokusą, wyraźnie się zawahał i zaraz potem zobaczyła w jego oczach ten sam chłód i niechęć, jakie widziała w nich od lat. Przyszło jej do głowy, że pewnie już nigdy nie odezwie się do niej w sposób tak łagodny i życzliwy, jak to zrobił kilka minut temu, a niewykluczone, że w ogóle się nie odezwie, i to nowe spostrzeżenie dodatkowo ją przeraziło i przygnębiło. Bo oznaczało, że od tej pory każde z nich będzie osobno, niezależnie od siebie nawzajem, dźwigało ciężar niepokoju o Krzysia. Nie usiądą obok siebie, nie podzielą się tą troską, tym obezwładniającym codziennym strachem, tak jak inni rodzice w podobnym położeniu. Ona nie rozplacze się na jego ramieniu, a on jej nie pocieszy. Nie po tych słowach, które dopiero rzuciła mu w twarz.

Po raz pierwszy pomyślała, że dłużej nie da rady tak żyć. I być może przed laty trzeba było pozwolić mu odejść zamiast upierać się przy zbieraniu skorup, które i tak już do siebie nie pasowały i nie można było ich skleić. Teraz – czuła to – było już za późno, by próbować cokolwiek jeszcze naprawić. Na pewno nie w sytuacji, w jakiej obecnie się znaleźli, gdy myśli obojga wybiegały ku liniom frontu wschodniego. Do ich ukochanego chłopca, który wolał być tam, w okopach niż w rodzinnym domu, w którym od lat żaden z mieszkańców nie czuł się dobrze.



\*\*\*

– Bzdura, można go stamtąd wydostać. Wystarczy tylko pociągnąć za odpowiednie sznurki – sapnęła gniewnie Burgieczowa.

Klementyna z trudem stłumiła westchnienie. Gdyby mogła ukryć przed matką ucieczkę Krzysia, z pewnością dołożyłaby wszelkich starań, aby tego dokonać. Jednak niestety nie było to możliwe. Tak czy inaczej, doktorowa by się o tym dowiedziała, i to bardzo szybko. Nie pozostawało zatem nic innego, jak osobiście ją powiadomić, zanim zrobi to ktoś z jej licznych znajomych albo nim pierwsza się zorientuje, co w trawie piszczy. Reakcja była także łatwa do przewidzenia, niemniej słysząc o jej zamiarach, Klementyna poczuła się nie tyle zirytowana, ile bardzo zmęczona. A właściwie wręcz wykończona.

Po raz kolejny pożałowała, że Zbyszek jest tak daleko. Że nie może do niego pobiec, wypłakać się i poprosić o pomoc. Brat, nawet jeśli nie znajdował od razu dobrego rozwiązania jej problemów, to przynajmniej potrafił ją uspokoić. Nadać wszystkiemu właściwe proporcje, i nawet jeśli niejednokrotnie pozwalał sobie z niej zażartować, a nawet zakpić, to po rozmowie z nim i tak czuła się pokrzepiona. Najważniejsze, że zawsze słuchał, że starał się zrozumieć, nigdy nie odburknął, nigdy nie okazał zniecierpliwienia, za co była mu ogromnie wdzięczna. Miała przecież świadomość, że z punktu widzenia wielu osób wydawała się irytująca. Że zapewne nieraz postrzegano ją jako niemrawą, niezaradną, może nawet rozlazłą kobietę; ona sama czasami tak się oceniała, lecz nie potrafiła temu zaradzić.

Dlatego, tak jak dawniej, tylko w niewielkim stopniu udzielała się towarzysko. I nawet te nieliczne zebrania, na których była obecna, jedynie ją denerwowały i przygnębiały. Wracała myślami zwłaszcza do tych, które odbywały się zaledwie kilka tygodni temu, na przełomie lipca i sierpnia

czternastego roku, gdy zebrań i spotkań było więcej niż kiedykolwiek wcześniej, bo każdy dzień przynosił nowe wieści o kolejnej nocie dyplomatycznej, ultimatum i w rezultacie kolejnym europejskim państwie, które włączyło się do wojny.

Każda taka wiadomość wywoływała ogromne emocje, a zajadłym dyskusjom nie było końca. A prowadzili je ci sami ludzie, którzy do niedawna wymieniali się uwagami na temat kolejnej premiery w teatrze lub nowego sezonu w operze, a przy okazji – rzecz jasna – z lubością roztrząsali lokalne plotki i skandale. Teraz tamte tematy zupełnie straciły na znaczeniu. Gorączka wojny opanowała niemal wszystkich: w jednakowym stopniu młodych i starych, kobiety i mężczyzn. Prawie każdy uważał się za eksperta od spraw militarnych i polityki międzynarodowej. Większość zdawała się podchodzić z optymizmem do zaistniałej sytuacji, niektórzy wręcz nie ukrywali entuzjazmu. Choć nie brakowało również takich, którzy wyrażali obawy. Gaszono je jednak w ferworze dyskusji.

Klementyna należała do tej mniejszości, która nie podzielała ogólnego hurraoptymizmu, a galopada zdarzeń wywoływała w niej strach i niechęć. Nie pojmowała powodów, dla których kogokolwiek mogła cieszyć myśl o rozpoczynającej się wojnie. Patrzyła z przerażeniem na młodych, którzy wstępowali do wojska czy też deklarowali taką chęć, nawet jeśli były to polskie oddziały. Nagle bowiem zarówno rząd carski, jak i monarchia austro-węgierska stały się niesłychanie łaskawe dla idei tworzenia – oczywiście u boku ich armii – polskiego wojska.

Ona jednak nie wierzyła w dobrą wolę obydwu tych państw i dziwiła się, że inni brali te inicjatywy za dobrą monetę. Podzielała zdanie tych, którzy twierdzili, że polska młodzież nie będzie tam niczym innym jak mięsem armatnim, ale na głos nie wyrażała swych obaw. Po pierwsze – i tak nie przekrzyczałaby tej wrzawy. Po drugie – dotąd zawsze unikała czynnego

udziału w jakichkolwiek dyskusjach. Po trzecie wreszcie – nawet gdyby zdołała jakimś cudem się wypowiedzieć, bez wątpienia oponenti daliby jej niedwuznacznie do zrozumienia, co myślą o jej intelekcie i zdolnościach poznawczych, a sądząc po tym, w jaki sposób traktowano przeciwników wojny, nie byłoby to przyjemne doświadczenie.

Dała więc spokój wszelkim próbom przekonywania tych zapaleńców i wycofała się z udziału w tych zebraniach, w których niekiedy jeszcze uczestniczyła. Coraz częściej zamykała się we własnym domu, gdzie ze ściśniętym sercem czekała na dalszy przebieg wypadków. Do matki przychodziła tylko wtedy, gdy miała pewność, że nie zostanie u niej nikogo z jej liczego grona znajomych. Chodząc po mieście, z przerażeniem patrzyła na wielkie nagłówki gazet rozdawanych przez rozochoconych ulicznych sprzedawców.

Najchętniej w ogóle by do nich nie zaglądała, ale uznała, że nie ma sensu zamykać oczu na rzeczywistość i wmawiać sobie, że nie dzieje się nic niezwykłego, a życie płynie swoim starym, znanym już i oswojonym nurtem. Poza tym Aleksander, Krzyś i Anetka z zapartym tchem wczytywali się w każdy artykuł, słyszała później, jak je omawiali, i nie chciała uchodzić w ich oczach za kompletną ignorantkę. Czasami chciała nimi potrząsnąć i krzyknąć, że się mylą. Wojna niczego nie naprawi, nie oczyści świata ze złej krwi! Co za brednie, jak różni pozał się Boże ideologowie mogli wmawiać młodym takie bzdury?! Jednak czuła, że to na nic. Co najwyżej popatrzyliby na nią z pobłażaniem i poprosiliby ją, aby się uspokoiła i zajęła myśli czym innym.

To zaś było niemożliwe, zwłaszcza że już wówczas dostrzegała w oczach syna ten sam płomień, jaki widziała w oczach innych młodych (i starszych) mężczyzn. Domyślała się, co chodziło mu po głowie, czasem, gdy podchwycił jej spojrzenie, zaraz uciekał wzrokiem w bok, ale to tylko

wzmagalo jej niepokój. Gdy pod koniec lipca, w samym środku wakacji, w całym Imperium została ogłoszona mobilizacja, nikt już się nie łudził, że nie da się powstrzymać dalszej eskalacji konfliktu. Niemcy zażądały od Rosji odwołania mobilizacji, ale zarówno obaj skolidaceni ze sobą cesarze, jak i wszyscy ludzie doskonale wiedzieli, że to jedynie zwykły dyplomatyczny zabieg, formułka, która nie ma już żadnego znaczenia. Nikt nie wierzył, że Rosja się do tego zastosuje.

Pierwszego sierpnia Cesarstwo Niemieckie wypowiedziało wojnę Rosji, a ponieważ w konflikt były już zaangażowane związane sojuszem z Niemcami Austro-Węgry, po raz pierwszy od ponad stu lat dynastie Hohenzollernów, Habsburgów i Romanowów stanęły naprzeciw siebie. W ciągu kolejnych kilku dni pożar objął Belgię, Francję i Anglię, a także ich zamorskie kolonie, w rezultacie narody niemal całej Europy ogarnęły zbiorowy amok. Każdy wierzył w swoje zwycięstwo, na które zresztą nie trzeba będzie długo czekać, co najwyżej trzy, cztery miesiące, w każdym razie najbliższe Boże Narodzenie żołnierze z pewnością spędzą już w swoich domach.

W tych warunkach mało kto myślał o powrocie do szkolnej ławy czy do sal wykładowych. Przy czym ci, którzy jednak woleli książki od karabinów i okopów, nie mogli liczyć na społeczną aprobatę. Taki właśnie argument przedstawił Krzysztof, gdy po raz pierwszy zakomunikował rodzicom swoją decyzję o wstąpieniu do wojska. Aleksander nie okazał entuzjazmu, ale też i nie protestował. Mogło to oznaczać ostrożną aprobatę, tak to w każdym razie zrozumiał jego syn. Za to gwałtowny sprzeciw wyraziła Klementyna, a wobec jej łez i wybuchu hysterii Krzysztof czuł się zmuszony ustąpić. Matka nie przyjmowała do wiadomości jego argumentów, rozmowa w tych warunkach nie miała sensu. Jak się jednak miało okazać, nie oznaczało to, że zrezygnował ze swojego pomysłu. Poczekał tylko na dogodny moment, by

opuścić potajemnie dom. Jak miała się z tym pogodzić?

A jednak, gdy usłyszała opinię własnej matki na temat wyczynu Krzysia, skrzywiła się z niechęcią. Pomimo przygnębienia i strachu o syna nie nazwałaby tego, co zrobił, bzdurą. A pomysł pociągnięcia za odpowiednie sznurki, by sprowadzić go do domu niczym małego rozrabiakę, który nie do końca rozumie, co czyni, wydał jej się – delikatnie mówiąc – nietrafiony, a do tego zupełnie nieskuteczny. W dodatku aż za dobrze potrafiła sobie wyobrazić reakcję męża, gdyby ten dowiedział się o planach teściowej. Szanse na to, by doktorowa zdołała je zrealizować, były wprawdzie niewielkie, co jednak nie znaczyło, że zupełnie niemożliwe. Burgiewiczowa miała – jak to się mówi – swoje dojścia, znała przecież mnóstwo ludzi, w tym także wpływowych, dzięki którym była w stanie osiągnąć swój cel. Oczywiście wymagało to czasu, zabiegów i determinacji, ale to jej nigdy nie zniechęcało, wręcz przeciwnie. Choć z drugiej strony do tej pory nigdy nie przyszło jej działać w takiej sytuacji, jak obecnie, i tego Klementyna się uchwyciła. Nieśmiało poprosiła matkę, aby dała spokój i nie podejmowała żadnych działań. Przynajmniej tyle osiągnęła, że Burgiewiczowa na moment straciła rezon i wlepiła w nią zaskoczone spojrzenie.

– Co ty wygadujesz? – spytała gniewnie. – Rozum ci odebrało? Nie chcesz ratować własnego syna?

– Oczywiście, że chcę. – Klementyna przełknęła pośpiesznie ślinę. – Ale nie zrobię tego wbrew niemu. Po prostu nie mogę. Nigdy by mi tego nie wybaczył...

– Bzdura. – Doktorowa z widoczną przyjemnością powtórzyła swoje ulubione słowo. – Przynajmniej nie udawaj. W tej sprawie, jak zresztą w każdej innej, bardziej ci chodzi o reakcję twojego męża. Bo wbrew niemu nie odważysz się zrobić niczego. To o jego, i tylko o jego, ewentualne wybaczenie ci chodzi. Twój syn odgrywa w tym wszystkim drugorzędną

rolę.

– Nie mów tak, mammo! – wykrzyknęła z rozpaczą Klementyna i zaraz umilkła, przytknąwszy chusteczkę do ust.

– Nie mów tak, mammo – przedrzeźniła ją Burgiewiczowa. – Twoje żalosalne zaprzeczenia i teatralne gesty nie zaprzeczają tej smutnej prawdy. A jak świat światem, gdy wybuchała wojna, kto tylko mógł, ten stawał na głowie, by chronić przed nią własne dzieci. Nie rozumiem powodu, dlaczego akurat ty miałabyś nie spróbować tego zrobić. To znaczy domyślam się, że nie chcesz się narazić mężowi, niemniej po tym, co on sam ma wobec ciebie na sumieniu...

– Krzys postanowił zaciągnąć się do polskich oddziałów – przerwała jej Klementyna. Powołała się na argument Aleksandra, ten sam, który jeszcze wczoraj tak zawzięcie zwalczała. Jednak w tym momencie nie znalazła innego sposobu, by przerwać wywody matki. Nie miała wprawdzie wątpliwości, że w taki sposób jej nie przekona, lecz przynajmniej żywiła nadzieję, że odwróci to uwagę matki od Aleksandra. Tak też się stało, Burgiewiczowa istotnie połknęła haczyk.

– Polskie oddziały?! – prychnęła. – Ci strzelcy, legionieści czy też inni „drużyniacy”, a wszystko to na austriackim żołdzie. Oto czym się zajmują agenci austriaccy! Otumaniają naszą młodzież, która oczywiście nie potrafi się oprzeć urokowi rogiatywek i orzełków na czapkach, nawet jeśli to orzełki bez koron. Nic w tym dziwnego, skoro ich dowódcy są socjalistami. Tacy nie uznają korony, nawet w herbie państwa, o które podobno chcą walczyć. Wiesz, jak są tutaj, w Królestwie, nazywani? Pruskimi pachółkami – ot i tacy z nich bojownicy i bohaterowie. Naprawdę chcesz, aby o twoim synu tak mówiono? Równie dobrze mógłby wstąpić do tego niby polskiego legionu, który pozwolili utworzyć Rosjanie. Albo wręcz wstąpić do rosyjskiego wojska. Na jedno wyjdzie, a skończy się tym, co zawsze – nasza młodzież,

ogłupiona kłamliwymi, napuszczonymi hasłami, będzie ginąć w bynajmniej nie naszej sprawie. A nawet gdyby to była nasza sprawa, to i tak nic z tego nie będzie. Na pewno nic dobrego. Przeżyłam w swoim życiu niejedno, więc wiem, co mówię. Pamiętam, jak w sześćdziesiątym trzecim i czwartym roku szli do powstania... Z jakim zapałem, poświęceniem... I co z tego wyszło? Nasza rodzina już we wcześniejszym powstaniu straciła majątek, cały dorobek poprzednich pokoleń. Nigdy nie odzyskaliśmy poprzedniej świetności. Mój ojciec stał się zwykłym bakałarzem, wyrobnikiem, i jeszcze Bogu dziękowaliśmy, że na tym się skończyło. Że nie popędzili go, a przy okazji nas wszystkich, na Sybir.

– Wiem, mamó – wtrąciła coraz bardziej zniecierpliwiona Klementyna. – Znam tę historię.

– Lecz, jak widzę, co jakiś czas i tak muszę ją przypominać – oburzyła się Maria. – Mam ci raz jeszcze powtórzyć, ilu ludzi wówczas straciło życie? W większości młodych, w wieku twojego syna. W dodatku zupełnie bez sensu, skoro po tym całym powstaniu, po tej rzezi, doszło do takich represji, po których przyszło nam wszystkim funkcjonować w dużo gorszych warunkach niż kiedykolwiek wcześniej. Twojego syna może przecież spotkać to samo. Może zginąć nadziany na bagniet albo zostać rozerwany przez pocisk armatni. I co wówczas poczniesz? Co stanie się z naszą rodziną, skoro nie ma w niej innych męskich potomków?!

– Jak to nie ma?! – nie wytrzymała wzburzona Klementyna. To, co właśnie usłyszała, niemal pozbawiło ją tchu, jednak jakimś cudem znalazła siły, by odbić ten pocisk. – Zapomniałaś o Zbyszku i jego synu? Oto prawdziwy dziedzic nazwiska, jeśli już mamy trzymać się faktów!

Ten strzał był celny. Twarz doktorowej spurpurowiała i przez dobrych kilkadziesiąt sekund Burgiewiczowa nie była w stanie odpowiedzieć. Obie kobiety mierzyły się rozgoryczonymi spojrzeniami, ale Klementyna

poczekala, az matka przerwie zlowrogie milczenie.

– Nie chce o tym rozmawiac – odezwala sie wreszcie Maria. – Przeciez dobrze wiesz, ze ten temat dla mnie nie istnieje.

Moze jednak powinien wreszcie zaistniec, ripostowala, lecz jedynie w myslach, Klementyna. Na glos powiedziala co innego.

– Ja takze nie chce wiecej slyszec zadnych ponurych prognoz na temat Krzysia. Zadnych dywagacji o jego ewentualnej smierci i przyszlosci naszej rodziny.

Ta przyszlosc nie ma teraz dla mnie najmniejszego znaczenia – te uwage rowniez zachowala dla siebie.

Nagle, ku jej konsternacji i zdumieniu, surowy wyraz zniknal z twarzy matki, a jej oczy zwilgotnialy.

– Mój Boze, co sie z nami stalo – rzekla cicho Burgiewiczowa. – Bylas moja slodka dziewczynka. Oboje was kochalam, ciebie i twojego brata, ale ty bylas zawsze blisko, zawsze obok. Ty jedna, moja prawdziwa pociecha. A od pewnego czasu coraz trudniej nam sie porozumiec.

Klementyna przyznawala jej w duchu racje. Wiele sie zmienilo, mamu, pomyslala. Byc moze taka jest kolej rzeczy i obie powinnyśmy byly juz duzo wczesniej pozwolic na te zmiany. Niewykluczone, ze nam obu wyszloby to na dobre. Mnie na pewno. Ale juz chyba za pozno na takie rozważania. Juz niczego w swoim zyciu nie naprawie. Ty chyba takze nie.

Takimi refleksjami nie mogla sie podzielic z matka, z gory potrafila przewidziec jej reakcje. Co za dyrdymaly, tak by pewnie powiedziala. Wydumane dyrdymaly godne aktorki, a nie kobiety majacej doroslego syna i siedemnastoletnia corkę.

– Ja tez cie Kocham, mamu – rzekla wobec tego, bo taka odpowiedz wydalala jej sie teraz najprostsza. – Nie martw sie, zawsze bede blisko ciebie. Nie zostaniesz sama, bedziesz mogla na mnie liczyc. – Zacerpnela tchu. –



Ale obiecaj mi, że nie będziesz podejmować żadnych zabiegów wokół Krzysia. Żadnego zamieszania. On z pewnością sobie tego nie życzy i ...

– Z pewnością nie życzy sobie tego jego ojciec. To zapewne chciałaś powiedzieć. Przynajmniej postaraj się być szczerą.

Szczerą? Z tobą? – zachnęła się Klementyna. Uznała jednak, że nie było sensu w kółko powtarzać tego samego. A przede wszystkim nie miała na to siły ani ochoty.

– Pójdę już – odpowiedziała z westchnieniem. Od dawna nie czuła się tak znużona i zniechęcona.

– Nie obawiaj się, nie zrobię nic, skoro tak bardzo obawiasz się reakcji swojego męża – odparła oschle doktorowa. – Kiedyś ci obiecałam, że nie będę z nim rozmawiać o tamtej. Że zostawię to tobie. Dotrzytałam słowa, choć z góry przewidywałam, że niewiele osiągniesz, i nie myliłam się.

Ty z pewnością osiągnęłabyś więcej, odpowiedziała, lecz oczywiście znowu tylko w myślach, Klementyna. Jednak zaraz potem przyszło jej do głowy, że może przyniosłoby to jakiś efekt. Każdy byłby lepszy od sytuacji, w jakiej teraz znajdowało się jej małżeństwo.

Zanim opuściła mieszkanie matki, kątem oka zerknęła na zamknięte drzwi do gabinetu ojca. Ileż by teraz dała, aby móc z nim porozmawiać, podzielić się troskami, niepokojem, poprosić o radę. Zawsze jej go brakowało, ale nigdy aż tak bardzo jak w ostatnich latach. A zwłaszcza w ostatnich dniach. Jako mała dziewczynka nieraz patrzyła na te zamknięte drzwi z tęsknotą, ale zarazem z pewnym nabożeństwem. Tomaszowa zawsze powtarzała, że panu doktorowi nie można przeszkadzać, ale Klementyna wiedziała, że gdyby jednak zapukała i weszła, ojciec by jej nie odprawił. Mimo to rzadko decydowała się na taki krok. Wtedy wystarczyła jej matka. W razie potrzeby mogła się zwrócić do brata. Teraz naprawdę nie miała już nikogo, przed kim mogłaby otworzyć serce.

Gdy dwie godziny później usłyszała pukanie do drzwi swojej sypialni, w pierwszej chwili była pewna, że to pokojówka, ta ostatnia, która jeszcze nie poprosiła o zwolnienie ze służby. Z czteroosobowego niegdyś personelu została tylko Kazia, a oprócz niej stara kucharka, która coraz gorzej radziła sobie w kuchni. Zarówno z jednej, jak i z drugiej Klementyna nie była zadowolona, niewiele jednak mogła wskórać. Nigdy, nawet w starych dobrych czasach, nie radziła sobie ze służbą, a teraz sprawę pogarszał fakt, że o jakąkolwiek pomoc domową było trudno. W każdym razie trudniej niż kiedykolwiek wcześniej. Dwie inne służące już na początku sierpnia postanowiły wrócić do rodziny, na wieś. Jedna z nich niemal od razu po powrocie wyszła za mąż. Druga była już po słowie z młodym gospodarzem z sąsiedniej wioski, którego od kilku lat zwodziła, lecz wojna zweryfikowała jej wcześniejsze obiekcje. Wojna weryfikowała wszystko. W sytuacji, gdy tylu młodych mężczyzn wstępowało do wojska lub zostało powołanych na front, wiele życiowych decyzji uległo przyśpieszeniu. W całej Europie nie widziano dotąd tylu nowożeńców stających na ślubnym kobiercu, służące Klementyny nie były tu wyjątkiem. W efekcie jednak musiała się liczyć z tymi, które jeszcze pozostały. Zresztą w ostatnim czasie sama już zobojeźniała na panujący w domu nieporządek, na niedogotowane lub, dla odmiany, przypalone potrawy. Tym bardziej teraz, gdy wszystkie jej myśli krążyły wokół syna.

Dlatego gdy usłyszała pukanie do drzwi, skrzywiła się z niechęcią, a po trosze także z rezygnacją. Przyszło jej do głowy, że może tym razem to z kolei Kazia przysłała ją poinformować, że odchodzi ze służby, co oczywiście byłoby niepomysłną wiadomością, niemniej w obecnej sytuacji na pewno nie najważniejszą. Nie taką, której Klementyna miałaby ochotę poświęcić bodaj chwilę uwagi.

Jednak zamiast służącej w drzwiach stanęła Anetka, a na jej widok

Klementynie mocniej zabiło serce. Nie tylko dlatego, że zupełnie jej się teraz nie spodziewała. Już od pewnego czasu, gdy patrzyła na córkę, nie mogła oprzeć się uczuciu zdumienia i niepokoju, nad którymi trudno jej było przejść do porządku dziennego. Równie dobrze mogłaby teraz mieć przed sobą Kingę, oczywiście Kingę sprzed kilkunastu lat, gdy widziały się po raz ostatni. Podobieństwo było bardzo widoczne, dostrzegał je każdy, kto pamiętał jeszcze pannę Niwińską. Lecz przede wszystkim widziała jej rodzina. Burgiewiczowa, jej córka i... Aleksander. Klementyna nie miała co do tego wątpliwości.

– Przestraszyłam cię, mamó? – uśmiechnęła się dziewczyna. Był to jednak bardzo smutny uśmiech.

– Byłam pewna, że poszłaś do Toni Markiewiczówny – odparła ochrypłym głosem Klementyna.

Anetka przyjaźniła się z Tonią od czasów, gdy obie były małymi dziewczynkami. Prawie się nie rozstawały, uczęszczały do tej samej pensji, a podczas wakacji wzajemnie się odwiedzały. Klementyna, która nigdy nie miała przyjaciółki, była zadowolona, że w przypadku jej córki wyglądało to inaczej. Anetka nie mogła narzekać na brak towarzystwa.

Słyszając uwagę matki, dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Nigdzie się nie wybieram – odparła. – Tonia wie, że dziś do niej nie przyjdę.

Mój Boże, nawet sposób mówienia niemal ten sam, co u jej ciotki, westchnęła w duchu Klementyna. I ten śmiały, zdecydowany, a niekiedy nawet zadziorny wyraz twarzy.

– Wiedziałaś, co twój brat zamierzał zrobić? – spytała, choć domyślała się prawdy.

Rodzeństwo było zżyte i choć w dzieciństwie nieraz skakało sobie do oczu, teraz bardzo dobrze się rozumiało.

– Tak, mamó – odparła cicho Anetka, patrząc jej prosto w oczy. I to znowu było tamto spojrzenie...

Klementyna skrzywiła się i uciekła wzrokiem w inną stronę. Zarazem jednak poczuła ostry ból, a właściwie ukłucie w samo serce. Powinna się cieszyć, że jej dzieci nie tylko się kochały, ale i były ze sobą zaprzyjaźnione. Mimo to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ona sama znajdowała się jakby poza nawiasem tej przyjaźni i wzajemnego zrozumienia. Anetka wiedziała o zamiarach brata. Dla Aleksandra też nie były one tajemnicą. I tylko ona żyła w jakiejś głupiej ułudzie, że jej syn wziął sobie do serca jej protest i zrezygnował ze swoich planów. Po raz kolejny dowiodła swojej naiwności i niedomyślności. A przecież – do licha – powinna się była domyślić. Powinna coś podejrzewać.

– Nie miej do niego żalu – odezwała się ponownie Anetka. – Zrobił to, co uważał za słuszne.

– Oczywiście – odparła oschle Klementyna. – Wasz ojciec użył dokładnie tego samego argumentu.

Jej słowa sięgnęły celu, odniosły swój skutek. Przez twarz dziewczyny przebiegło lekkie, ale zauważalne drgnienie.

– Papa ma rację – oświadczyła. – Powinnaś być z niego dumna. Ja jestem. – Świadomie lub nie powtórzyła słowa Aleksandra.

– No proszę, cóż za wzruszająca solidarność rodzinna – mruknęła Klementyna. – Nawet jeśli zostałam z niej wykluczona.

– Przestań, mamó! – uniosła się dziewczyna. Nigdy dotąd nie użyła tak kategorycznego tonu w stosunku do matki, i gdy tylko to sobie uświadomiła, ponownie ściszyła głos. – Wybacz, nie chciałam cię obrazić. Ale nie wmawiaj sobie, że zostałam wykluczona, bo to nieprawda. Myślisz, że Krzyškowi było łatwo wymykać się ukradkiem? Że nie miał wątpliwości i wyrzutów sumienia? Mogłaś mu tego oszczędzić.

– Ach, więc to ja jestem wszystkiemu winna! Widzę, że i w tej kwestii podzielasz zdanie ojca. – Klementyna zdawała sobie sprawę, że nie powinna była tego mówić – nigdy dotąd w obecności dzieci nie krytykowała męża – nie mogła jednak powstrzymać fali goryczy, która ją zalała. Ostatecznie, jak się okazało, on także wygłaszał krytyczne uwagi o niej. Tyle jednak osiągnęła swoimi słowami, że ponownie zdenerwowała córkę.

– Mam swoje własne zdanie. Choć oczywiście cieszę się, że papa myśli podobnie. A jeszcze bardziej bym się cieszyła, gdybym i z tobą mogła otwarcie o wszystkim rozmawiać. Bez obawy o to, jak zareagujesz. Nie chcę niczego przed tobą ukrywać, Krzyś też nie chciał.

Klementyna na moment oniemiała, a gdy tak w milczeniu wpatrywała się w córkę, nagle uzmysłowiła sobie, że to, co właśnie usłyszała, nie jest dla niej niczym nowym. Bo przecież ona wielokrotnie tak samo myślała, tego samego oczekiwała od własnej matki. Jednak nigdy nie odważyła się powiedzieć jej tego wprost, w oczy. Tak jak zrobiła to teraz Anetka.

– Po prostu boję się o niego – rzekła cicho, bo na razie tylko na takie słowa mogła się zdobyć.

– Ja też – przytaknęła dziewczyna. Jej głos brzmiał już inaczej, tłumili go łzy. – Ja też się boję. Ale to nie zmienia faktu, że skoro postanowił pójść... – Naraz z jej piersi wyrwał się krótki szloch, nad którym zresztą zaraz zapanowała. – Chcę, żebyś wiedziała, że oprócz niego jest jeszcze ktoś... o kogo się boję.

Klementynie udało się jakimś cudem zapanować nad zdumieniem. Z zaskoczeniem stwierdziła, że lęk i przygnębienie, które czuła jeszcze kilka minut temu, zniknęły. Ulotniły się jak kamfora. Miękkim, łagodnym gestem odgarnęła niesforną grzywkę z czoła dziewczyny.

Byłam w jej wieku, pomyślała, przejęta tym odkryciem. Tak, dokładnie w jej wieku, gdy zakochałam się w Aleksandrze.

– Opowiesz mi dokładniej o twoich rozmowach z bratem? – poprosiła i zaraz zastrzegła: – To znaczy o tych związanych z jego... wyjazdem?

– Ze wstąpieniem do legionów – sprostowała dobrodusznie Anetka. – Oczywiście, że tak. Krzyś miał nadzieję, że mnie o to zapytasz – dodała z nieukrywaniem zdumieniem i ulgą. A także podziwem dla domyślności brata.

Lecz – jak się miała przekonać – nie było to jeszcze wszystko, co zainteresowało jej matkę.

– A przy okazji chętnie dowiedziałabym się... o kogo jeszcze się lękasz – uśmiechnęła się łagodnie Klementyna.

Ponury wyraz zniknął z oczu córki. Twarz jej pojaśniała, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Dobrze, mamó – odparła Anetka.

## ROZDZIAŁ 9

Zajęta zabawą z dzieckiem, nie od razu usłyszała uderzenia kołatki u drzwi. Marianne, ich służącej, nie było akurat w domu, wyszła po sprawunki, a o tej porze Kinga nie spodziewała się niczyich odwiedzin. Od rana zajmowała się drobnymi porządkami w pokoju synka, potem jednak, gdy znudziła mu się samotna zabawa drewnianymi żołnierzami, usiadła obok niego na podłodze i zaczęła mu czytać bajeczki. Robiła to jednak nieuważnie, myślami była bowiem gdzie indziej, i to w końcu Karolek zwrócił jej uwagę, że od pewnego czasu ktoś puka do drzwi. Od razu wróciła do rzeczywistości, wyraz roztargnienia zniknął z jej twarzy. Teraz i ona usłyszała uderzenia kołatki.

– Kto to może być? – Pytanie skierowała bardziej do siebie niż do synka. Dochodziła dwunasta, Marianne nie było raptem od dwudziestu minut i raczej nie należało się spodziewać jej powrotu wcześniej niż za godzinę, a prawdopodobnie nawet później.

Ostatnimi czasy robienie zakupów stawało się coraz bardziej karkołomnym zajęciem, a kolejki pod sklepami coraz dłuższe. I nic nie zapowiadało, by cokolwiek w tej mierze miało się zmienić na lepsze. Pogarszające się warunki życiowe nie pozostawały bez wpływu na nastroje społeczne, jakże odmienne od tych z pierwszych tygodni wojny, gdy jeszcze znakomita większość wierzyła w zwycięstwo, oczywiście szybkie

zwycięstwo – wojna miała przecież trwać najwyżej kilka miesięcy i skończyć się przed Bożym Narodzeniem.

Teraz, gdy od tamtych pełnych entuzjazmu i podekscytowania dni minęły dwa lata, mało kto potrafił się jeszcze zdobyć na taki optymizm. Nikt już nie podejmował się prognozować, kiedy skończy się ten koszmar, a wiadomości z frontu raczej przygnębiały, niż uskrzydlały. Co dzień drukowano nowe listy poległych, a każdy, kto na nie patrzył, w pełni zdawał sobie sprawę, że nie jest to aktualny wykaz, bo opierał się na danych z poprzedniego dnia, podczas gdy każda kolejna godzina oznaczała nowe, nieuwzględnione jeszcze ofiary.

Kołatanie do drzwi, dzwonek telefonu potrafiły każdego przyprawić o szybsze bicie serca, mogły bowiem oznaczać nadejście depechy o śmierci bliskiego człowieka. Kinga niejednokrotnie dziękowała Bogu, że jej syn był jeszcze małym dzieckiem, któremu obca była pokusa przeżycia wojennej przygody, jaka dwa lata temu opanowała większość młodych ludzi, zaś mąż, jako cudzoziemiec, nie był jakoś szczególnie nachalnie nagabywany w kwestii wstąpienia do francuskiej armii. Zwłaszcza że prawnicy byli teraz bardzo potrzebni, często nawet bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Co nie znaczyło, że czasem na ulicy nie spotkał go niemiły incydent i docinki, że tak młodo i zdrowo wyglądający mężczyzna nie przebywa teraz w okopach, na przykład we Flandrii albo pod Verdun.

Zbyszek wprawdzie zbywał to ironicznym wzruszeniem ramionami i uwagami, że trudno, aby nosił na plecach tabliczkę informującą wszystkich wokół, że jest Polakiem, a Francuzom pomaga jako prawnik, który od rana do nocy haruje w kancelarii. W dodatku za coraz marniejsze w ostatnich czasach pieniądze, a niejednokrotnie nawet za darmo, gdy zajmuje się sprawą jakiejś niezamożnej wdowy po poległym żołnierzu.

Kinga wiedziała jednak, że docinki i uszczypliwości, jakich niekiedy



doświadczal od obcych ludzi, nie byly mu wcale obojetne, tym bardziej ze raz nawet dostal koperte z bialym piorkiem w srodkiem. W przekonaniu wielu wojennych fanatykow – jak ich nazywala – nie istnial zaden powod, ktory zwalnialby jakiegokolwiek pelnoletniego chlopaka lub męzczyzne od obowiazku walki za kraj. A fakt, ze z roznych powodow nie mogli nosic broni lub ze byli jedynymi zywicielami i opiekunami swoich rodzin, nie mial tu znaczenia. Zasada ta – zdaniem owych fanatykow – dotyczyla takze cudzoziemcow, ktorzy przebywali na terenie Francji.

A moze to telegram do Marianne? – wystraszyła się nagle Kinga. Mąż słuźacej wstapil do wojska osiem miesięcy temu, a ostatnią wiadomość, jaką on niego otrzymała, pochodziła z fortu Douaumont, dokad został przerzucony jego oddzial. Ale bylo to ponad trzy tygodnie temu. Zatem...

Podchodząc do drzwi, Kinga drzala na całym cielem i jednocześnie bezgłośnie się modliła, by to nie był listonosz. Prośbie tej stalo się zadość, co jednak nie znaczyło, że się uspokoila. Wręcz przeciwnie.

Na widok stojącego w korytarzu młodego męzczyzny w wojskowym mundurze nogi się pod nią ugięły. Natychmiast bez trudu go rozpoznała, a mimo to – choć chyba właściwiej należałoby powiedzieć, że właśnie dlatego – nie była w stanie wydusić z siebie słowa w odpowiedzi na jego grzeczne przywitanie.

– Mogę wejść? – zapytał w końcu Samuel Giroux, przerywając niezręczne milczenie.

– Oczywiście – odparła nieswoim głosem Kinga, odsuwając się na bok, by mógł przejść. – Proszę.

Wciąż nie mogła wyjść ze zdumienia. Po pierwsze, że widzi w swoim domu tego właśnie człowieka, a po drugie – że jakimś cudem zdołała się odezwać.

Bez słowa wskazała mu drogę do małego saloniku, a potem gestem

zaprosiła, by usiadł. Z sąsiedniego pokoju przydreptał zaciekawiony Karolek, ale Samuel zaledwie rzucił nań okiem.

Patrząc na niego, Kinga nagle doznała olśnienia. Odgadła przyczynę tych zaskakujących odwiedzin i jednocześnie poczuła, jakby cała krew uciekła jej z serca.

– Adrien...? – spytała cicho, jak najciszej, by powstrzymać wzbierający szloch.

Nie chciała okazywać zbyt dużych emocji, na pewno nie w obecności tego mężczyzny. Miała wrażenie, jakby jego wzrok przewiercał ją na wylot.

– Tak. – Skinął głową. Na chwilę umilkł, jakby szukał odpowiednich słów, po czym dodał: – Pomyślałem, że osobiście przyniosę pani... państwu – poprawił się – tę smutną wiadomość. Byliście jego przyjaciółmi. Przyjaciele nie powinni dowiadywać się takich rzeczy tylko z gazet.

– Nie widziałam jego nazwiska na żadnej liście poległych – rzekła cicho, choć przecież dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że pomimo całej staranności, jaką służby wykazywały się przy tym zadaniu, niejednokrotnie nie uwzględniały wszystkich nazwisk.

Samuel skinął głową. Patrząc na niego, Kinga z trudem sobie uprzytamniała, że to ten sam człowiek, który kilka lat temu nie zostawił na swoim ojczymie i na niej suchej nitki, oskarżając ich o pozamałżeński romans. Teraz sprawiał zupełnie inne wrażenie i nie wynikało to bynajmniej z faktu, że przybyło mu kilka lat. W jego oczach był autentyczny smutek, w spojrzeniu skupienie i powaga.

– Przez tydzień był uważany za zaginionego – odparł. – Na froncie to niemal nagminne. Wiele ciał jest tak zmasakrowanych, że nie sposób je zidentyfikować. Dotyczy to także niektórych rannych, tych najbardziej okaleczonych na twarzy, którzy w dodatku nie potrafią już sobie przypomnieć własnego nazwiska albo nie chcą, aby rodzina lub narzeczona

kiedykolwiek zobaczyli ich w takim stanie. Ale Adriena udało się w końcu odnaleźć. – Znowu na moment zamilkł, zanim dodał: – I ponad wszelką wątpliwość zidentyfikować.

Kinga rzuciła okiem na synka, który wciąż stał w tym samym miejscu co poprzednio i nie odrywał oczu od gościa. Przez chwilę zastanawiała się, czy do niego nie podejść, ale porzuciła ten zamiar. Także dlatego, że zamiast serca czuła w piersiach kamień, zbyt ciężki, by zdołała się podnieść.

– Bardzo mi przykro – wyszeptała. – Nie wiem, co powiedzieć. Nadal trudno mi w to uwierzyć.

– Tak – przytaknął. – Ale przynajmniej wiemy, co się z nim stało. Najgorsza jest zawsze niepewność. Najgorszy dla rodziny jest status zaginionego. To tylko pozornie daje nadzieję, a tak naprawdę nie pozwala dalej normalnie żyć.

Kinga, choć nie w pełni podzielała tę opinię, roztropnie postanowiła zostawić ją bez komentarza. Tym bardziej że miała wiedzę na temat relacji, jakie łączyły Adriena i jego pasierba. I pamiętała podejrzenia tego ostatniego w stosunku do jej własnej osoby. Zamiast tego przypomniała sobie swoją ostatnią rozmowę z Adrienem, na dzień przed jego wyjazdem na front. Biret należał do tych, którym nie trzeba było uprzykrzać życia, by nakłonić ich do wstąpienia do wojska. Uważał, że jego obowiązkiem jest tak właśnie zrobić – walczyć za swój kraj. I nie tylko za swój. „Nie jestem entuzjastą tej wojny – powiedział. – Żadnej wojny. Nie należę do tych durnych pieniaczy, którzy zadziobaliby każdego, kto nie chce iść na front. Kocham życie, sama pani wie, droga Kingo, że ciągle mi go mało. Że stale bym je smakował i czasem szkoda mi nawet czasu na sen. Ale to, co Hunowie wyczyniają w Belgii, jest nie do wybaczenia i woła o pomstę do Nieba. Tego nie można tak po prostu zostawić, przymknąć oko i udawać, że nic aż tak złego się nie dzieje. A zarazem próbować się okłamywać, że to zwykła propaganda. Propaganda

propagandą, czasem wszystko przewraca mi się w żołądku, gdy widzę i słyszę te nadęte slogany. Ale piekło, które Niemcy urządzili w Belgii, jest faktem. I to, co wyczyniają we Francji i gdzie indziej... Tego nie można im darować”.

Kinga odpowiedziała mu wówczas, że wojna jest w stanie wyzwolić najgorsze instynkty nie tylko w Niemczech, nawet jeśli oni zajęli tu pierwsze miejsce. A potem dodała, że nie wyobraża go sobie w okopach.

– Prawie żaden z tych mężczyzn, którzy tam są lub będą, nie miał okazji wachać prochu na prawdziwej wojnie – odparł, tym razem już swoim zwykłym, na poły prześmiewczym tonem. – Niektórzy dopiero będą się uczyć posługiwania bronią. Ja przynajmniej mam doświadczenie wojskowe. Tak, Kingo. Nigdy się tym nie chwaliłem, bo dotąd nie było takiej potrzeby, ale teraz mogę to już uczynić. Nie ma powodu się o mnie bać. Nie będę najgorszą fajtlapą frontową, a stary też jeszcze nie jestem.

Potem obiecał, że od czasu do czasu napisze. Liczył też na urlop i rzeczywiście go dostał, ale nie przyjechał do Paryża, lecz wyruszył na południe, by odwiedzić rodzeństwo... i żonę. Tak przynajmniej wyjaśnił w jednym z listów i ani Kinga, ani Zbyszek nie widzieli powodu, by mu nie wierzyć.

Ponownie podniosła wzrok na Samuela. Domyśliła się, że i on przyjechał jedynie na krótki urlop, a lada dzień wraca na front. Zaraz też potwierdził jej przypuszczenia.

– Nikt nie robił mi najmniejszych problemów – powiedział. – To było oczywiste, że muszę odwiedzić matkę i osobiście ją zawiadomić o śmierci Adriana. Telegramu nie przyjęłaby do wiadomości.

A osobiście przekazaną wiadomość... przyjęła? Zrozumiała? – powątpiewała Kinga, lecz zachowała tę uwagę dla siebie.

– Tym bardziej jestem panu wdzięczna, że pomyślał pan także o nas –

rzekła wobec tego. – Że poświęcił pan na to swój czas.

– To nie był dla mnie żaden problem – odparł i wstał. – Nie mogłem już przedłużyć pobytu w Aix-en-Provence. Dziś wieczorem wsiadam do pociągu na Gare du Nord i wracam na front.

Co mam mu odpowiedzieć? – zastanawiała się gorączkowo Kinga. Niech pana Bóg prowadzi? Niech Najświętsza Paniienka pana strzeże? A może po prostu: proszę na siebie uważać? Ale jak można uważać na siebie, siedząc w okopach czy ruszając z całym oddziałem do ataku? Jak w takim razie pożegnać człowieka, który nie jest i z całą pewnością nigdy nie zostanie moim przyjacielem, który mnie kiedyś obraził, podejrzewał, a niewykluczone, że wciąż nie wyzbył się tych podejrzeń?

W rezultacie nic nie odpowiedziała i w milczeniu odprowadziła go do wyjścia. Szedł sztywnym wojskowym krokiem, ale przy samych drzwiach zatrzymał się i na nią spojrział.

– Miałem wielki żal do Adriena... O moją matkę, o inne kobiety w jego życiu. Nieraz myślałem, że mnie i matce byłoby lepiej bez niego. Domyślałem się, że on podobnie myślał o mnie. I chyba to jednak on miał rację. Gdyby nie ja, mogłoby im się udać. Mogliby być szczęśliwi.

Kinga, która zupełnie nie spodziewała się aż tak osobistego wyznania, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego bez słowa. Wyglądało jednak na to, że czekał na jej odpowiedź, że był ciekaw jej reakcji. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna w dalszym ciągu zachować ostrożność. Ten człowiek podejrzewał ją niegdyś, że była jedną z kochanek jego ojczyma. Może nadal tak myślał i dlatego wciągał ją w tak osobistą rozmowę, licząc na to, że w końcu powie coś, co potwierdzi jego domysły. Nieważne, pomyślała. Przecież to już bez znaczenia. Tak postanowiła mu odpowiedzieć.

– Lepiej w ten sposób nie myśleć – rzekła. – Jakie to ma teraz znaczenie? Na pewno ma pan także dobre wspomnienia związane z Adrienem. I tego

teraz powinien się pan trzymać.

Nie odwzajemnił jej nieśmiałego uśmiechu, wręcz przeciwnie – spochmurniał jeszcze bardziej.

– Chyba powinienem panią przeprosić za moje zachowanie sprzed kilku lat – powiedział i choć niekoniecznie zabrzmiało to jak przeprosiny, Kinga lekko skinęła głową.

– To już także bez znaczenia. – Zawahała się. – Może być pan pewien, że w życiu Adriena najbardziej liczyła się pańska matka.

– Nie uwierzyła mi – odpowiedział głucho.

– Słucham? – spytała, przejęta nagłym lękiem. Instynktownie spojrzała na Karolka, który w ślad za nimi opuścił salon, ale trzymał się w progu hallu i nie spuszczał z nich oczu.

– Moja matka – rzekł cicho Samuel. – Nie uwierzyła w śmierć Adriena. Nie przyjęła jej do wiadomości. Popatrzyła na mnie i stwierdziła, że to nieprawda. Upierała się, że Adrien odwiedził ją kilka dni wcześniej. Że go widziała, mówił do niej. Nie dała sobie wytłumaczyć, że to niemożliwe, skoro w tym czasie był na froncie, setki kilometrów od Aix-en-Provence. Już nie mówiąc o tym, że od dawna prawie nie reagowała na jego wizyty i na dobrą sprawę nawet go nie rozpoznawała.

– Przykro mi – odparła stłumionym, nieswoim głosem Kinga. – Nie wiem, co powiedzieć.

Zaraz się jednak zorientowała, że Giroux nie oczekiwał żadnej odpowiedzi, żadnego komentarza. Jego spojrzenie było mroczne, jakby nieobecne.

– Dopiero wtedy w całej pełni do mnie dotarło, że on jednak był jej bardziej potrzebny do szczęścia niż ja.

Po czym odwrócił się na pięcie, otworzył drzwi i bez słowa pożegnania opuścił mieszkanie.



## ROZDZIAŁ 10

Gdy w czerwcu siedemnastego roku Zbyszek po raz pierwszy napomknął o dekreście prezydenta Poincarégo przewidującym tworzenie polskiego wojska na terenie Francji, Kinga przyjęła tę wiadomość spokojnie. Wtedy jeszcze nie podejrzewała, co to może oznaczać dla ich rodziny. Choć może już wówczas powinna była domyślić się jego zamiarów, bo nigdy nie tracił czasu na próżne gadanie. Potem niejednokrotnie przychodziło jej do głowy, że już wówczas chciał jej dać do zrozumienia, przygotować...

Jak mogła przypuszczać, że właśnie on zechce wstąpić do tej Błękitnej Armii – jak potem nazwano te oddziały? On, który w przeszłości nie raz i nie dwa wyrażał się ze sceptycyzmem o idei polskich powstań, wskazując, że wybuchały w momencie dobrej koniunktury gospodarczej. I dlatego, zamiast łapać za broń, należało poprzeć te inicjatywy, które zmierzały do rozładowania pełnej napięcia atmosfery drogą pokojową.

Mimo to górę brały emocje, a społeczeństwo polskie nie potrafiło zapanować nad zapaleńcami, którzy popychali kraj do walki zbrojnej, choć nie było najmniejszych szans na zwycięstwo. Za to skutkiem każdej z klęsk były kolejne represje, które odebrały Królestwu nawet te instytucje i namiastki samodzielności, jakimi cieszyło się wcześniej. Do tego dochodziło pogłębiające się ubóstwo i konfiskaty majątków, w tym rodzinnego majątku Janowskich, czego zarówno Zbyszek, jak i ciotka Maria



dotąd nie przeboleli. Bodaj w tej jednej sprawie podzielał zdanie swojej matki, i nic, absolutnie nic nie wskazywało, by miał je kiedykolwiek zmienić. Zwłaszcza że nie był już sam sobie sterem, żeglarzem i okrętem; miał przecież rodzinę.

Czemu więc w pewnym momencie zmienił zdanie? Takie właśnie pytanie zadała mu, gdy dziesięć dni później wrócił do tematu i powiedział jej, że poważnie myśli o zaciągnięciu się pod dowództwo generała Louisa Archinarda, lecz nie zrobi tego, jeśli ona się sprzeciwi. Przecież zanim się jeszcze pobrali, obiecał jej, że nigdy niczego nie uczyni wbrew jej woli. Czy nie mogłaby jednak spokojnie i w miarę możliwości bez niepotrzebnych emocji rozważyć tej sprawy?

Z początku sens jego słów w ogóle do niej nie dotarł. Gdy wreszcie zrozumiała, w czym rzecz, zbladła jak płótno, ale pierwsze pytanie, jakie przyszło jej do głowy, brzmiało: dlaczego? Co sprawiło, że zmienił wielokrotnie powtarzaną opinię o marnotrawieniu polskiej krwi na pozbawione jakiegokolwiek sensu działania?

Spojrzał na nią z powagą, chyba nawet z uznaniem, na pewno z ulgą. Odgadła, że obawiał się jej reakcji, że przygotowywał się na łyzy, błagania, może nawet na atak hysterii. Na razie nic takiego nie nastąpiło, Kinga zachowywała się spokojnie – głównie jednak dlatego, że była zbyt oszołomiona z powodu tego, co właśnie usłyszała.

– Dlaczego chcę to zrobić? – Uśmiechnął się do niej ciepło, łagodnie, czyli tak jak zazwyczaj. – Bo czuję, że powinienem. Że tym razem tak trzeba.

– Nie wierzę, że to słyszę – odparła, gdy wreszcie zdołała zebrać i uporządkować myśli. – Przecież chyba się domyślasz, że Poincaré zgodził się na tworzenie polskiej armii, bo Francuzi ponieśli ogromne straty w ludziach. Chcą za wszelką cenę pozyskać nowych żołnierzy, tylko o to im teraz chodzi. – A ponieważ nie odpowiadał, lecz jedynie patrzył na nią

w zamyśleniu, podniosła trochę głos: – Przecież zawsze twierdziłeś, że Polacy nie raz już zbyt tanio sprzedawali skórę, angażując się w sprawy innych narodów, i nic w zamian nie dostali. Że już niejednokrotnie mścił się na nas brak zdolności racjonalnego myślenia, kalkulowania, rozważenia wszystkich za i przeciw. To twoje własne słowa...

– Zrobiłem to – odparł cicho. – Rozważyłem wszystkie za i przeciw. Starannie kalkulowałem. I doszedłem do wniosku, że tym razem ma to sens. Że tym razem może się skończyć inaczej, niż bywało do tej pory. – Nie odrywał od niej oczu, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy proponował jej małżeństwo. – Tym razem może się udać – dodał.

Wtedy, przed kilku laty, też tak mówił. I nie pomylił się. Niewykluczone zatem, że i w tym przypadku jego przewidywania miały szanse się spełnić. Mimo to Kinga potrząsnęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie mogę – wydusiła. – Chyba nie potrafię tak do tego podejść. Po prostu sobie nie wyobrażam... – Pomyślała o Adrienie Birecie i zadrżała. A potem z całej siły uczepiła się rękawa męża, jakby w ten sposób próbowała go zatrzymać.

Nie wyobrażam sobie ciebie w okopach, rannego, chorego, a może i... – rozpaczała w duchu.

Gdy ją objął i przygarnął do siebie, na dobre się rozpląkała.

– Nie możesz zostawić mnie samej – szlochała. – Ani mnie, ani Karolka. Obiecywałeś, że mnie nie opuścisz. Przysięgałeś.

Tulił ją, jakby trzymał w objęciach dziecko.

– Dobrze – powtarzał. – Już dobrze. Nie martw się. Przecież powiedziałem, że nie zrobię tego bez twojej zgody.

– Poradzą sobie bez ciebie – szeptała rozpaczliwie. – Ty masz inne obowiązki. Tak samo ważne, nawet ważniejsze... – Czuła jednak, że nie przekonała nawet samej siebie, a co dopiero jego.

Przez kilka kolejnych dni nie wracali do tej sprawy. Kinga nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że poruszali się jak we mgle, ona w każdym razie nie mogła pozbyć się uczucia pewnej nierzeczywistości. Nawet ich rozmowy nie były już takie jak wcześniej, gdy mówili sobie wszystko, czasem dyskutując, czasem się przekomarzając, zawsze jednak szczerze i otwarcie. Teraz oboje mieli wrażenie, jakby przemierzali pole pełne ukrytych zasadzek; tak właśnie czują się ludzie, którzy całą uwagę koncentrują na tym, by nawet nieopatrnie nie poruszyć niektórych drażliwych tematów. Jednak prawdziwi przyjaciele tak się nie zachowują.

A przecież nimi jesteście, dumiała gorzko. I byliście na wiele lat przed naszym ślubem. Co się ze mną dzieje? Przecież do niedawna byłam inna: odważna, silna. Za to mnie cenił i podziwiał... Zresztą nie on jeden. A kogo teraz widzi? Przerażoną płakną, która daje mu do zrozumienia, że przewróci się, gdy tylko on przestanie ją podtrzymywać. I która za skarby świata nie poradzi sobie bez niego.

Czy miała prawo protestować, skoro był przekonany, że jego powinnością jest udać się do obozu Sillé-le-Guillaume, gdzie formowany był ten polski batalion? Polskie wojsko, choć – przynajmniej na razie – pod francuskim dowództwem? Zwłaszcza że tylu innych jego rodaków – ich rodaków – tam zmierzało, a i Francuzi niedwuznacznie dawali do zrozumienia, że tego właśnie oczekują od polskich emigrantów.

Niespełna tydzień później oznajmiła mu, że jeśli nie zmienił zdania – a doskonale wiedziała, że nie zmienił – to ona nie będzie stawiała mu żadnych przeszkód. Podniósł na nią wzrok znad filiżanki gorącej lury, która od miesięcy zastępowała czarną kawę, ale do której zdążyli się już przyzwyczaić, jak do wielu innych niedogodności spowodowanych wojną. Coraz dłuższe kolejki po coraz gorszej jakości towary były przecież drobnostką w porównaniu z codziennie upublicznianymi listami poległych

i zaginionych – do tych wciąż nie można było przywyknąć ani się z nimi oswoić. I to właśnie o nich, o poległych, rannych i zaginionych, myślała teraz Kinga, lecz mimo to nie odwróciła głowy przed zdumionym wzrokiem męża. Spokojnie i odważnie patrzyła mu prosto w oczy. Bóg jeden wiedział, ile ją to kosztowało.

– Naprawdę? – spytał cicho, jakby mimo wszystko nie dowierzał – ani spojrzeniu, ani słowom, które dopiero co padły.

– Tak. – Głos jej zabrzmiał twardo, ale taki ton był niczym pancierz. Skutecznie bronił przed łzami i okazywaniem słabości. – Skoro czujesz, że powinieneś iść...

Przez chwilę milczał, a potem chwycił jej dłoń i przycisnął do ust.

– Dziękuję – rzekł cicho. – I... nie martw się...

Nie martw się? Czy zdawał sobie sprawę, co mówił? Zapewne tak, jednak czasem trudno znaleźć odpowiednie słowa.

– To ty się o nas nie martw – odparła, nawet nie próbując łagodzić głosu. Nie była przecież w stanie tego zrobić. Za to się uśmiechnęła, choć zaraz nabrała podejrzeń, że nie pozbędzie się już tego grymasu. Że ten upiorny uśmiech już na zawsze pozostanie na jej twarzy. – Poradzę sobie. Wiesz, że potrafię... – I wtedy, zupełnie niespodziewanie, głos odmówił jej jednak posłuszeństwa.

Zbyszek poderwał się z krzesła, strącając łokciem filiżankę, której zawartość wylała się na podłogę. Żadne z nich nie zwracało na to uwagi. Tuląc ją w ramionach, całując łzy spływające po jej twarzy, szepnął:

– Pewnie, że wiem. Nikt lepiej ode mnie nie może tego wiedzieć.

Gdy trzy tygodnie później go żegnała, atmosfera panująca na dworcu Paris-Nord prawie w niczym nie przypominała tej z lata i jesieni czternastego roku, gdy odjeżdżających na front ochotników żegnały uniesione patriotycznym zrywem tłumy, a orkiestra wygrywała *Marsylianę*. Teraz,

gdy od rozpoczęcia wojny minęły bez mała trzy lata, i nic nie zapowiadało jej rychłego końca, tylko nieliczni zwracali uwagę na wracającego z urlopu na front żołnierza, któremu co najwyżej towarzyszyło kilkoro krewnych. Zainteresowania nie wzbudzali również nowi ochotnicy, których zresztą było już coraz mniej. Dawne przekonanie o szybkim i miażdżącym zwycięstwie nad Niemcami i ich sojusznikami zostało wyparte przez uczucie zniechęcenia, zniecierpliwienia i rozpacz.

Ostatnie trzy lata naznaczone zostały przede wszystkim cierpieniem i żalobą. Nie otrząśnięto się jeszcze po Ypres, wciąż żywa była pamięć piekła pod Verdun i ofiar nad Sommą, a już trzeba było stawić czoła konsekwencjom katastrofalnej w skutkach ofensywy Nivelle'a, która nie dość, że nie spełniła pokładanych w niej nadziei, to dodatkowo w ciągu kilku dni pochłonęła ogromną liczbę ofiar. Pod wpływem opinii publicznej deputowani zażądali odwołania głównodowodzącego, zanim – jak powiadano – jego szaleństwo doprowadzi do zupełnego wykrwawienia narodu. Dekret prezydenta Poincarégo był, jak twierdziło wielu, nie tyle szlachetnym gestem wobec Polaków, co próbą uzupełnienia braków we francuskiej armii – polskie oddziały miały przecież walczyć u jej boku. Armia francuska, już na początku wojny mniej liczna od niemieckiej, po ciężkich kampaniach, zwłaszcza tysiąc dziewięćset szesnastego i siedemnastego roku, znalazła się w tak tragicznym położeniu, że każdy dodatkowy oddział, w tym rekruci wywodzący się z polskiej emigracji, był na wagę złota.

Kinga gotowa była podzielać ten pogląd. Zbyszek jednak doszedł do innego wniosku. I choć nie zmieniła zdania, postanowiła dać temu spokój. Decyzja już przecież zapadła. Postanowiła, że pożegna go spokojnie, bez płaczu i lamentów. Że postara się zachować w miarę pogodny wyraz twarzy, także przez wzgląd na synka, który trzymał ją kurczowo za rękę, ale

rozglądał się wokół z wyrazem rozczarowania na buzi.

– Myślałem, że przyjdzie tu więcej ludzi – oznajmił wreszcie ze smutkiem Karolek. – Że będą przemówienia, orkiestra i takie tam...

– Ejże, bez przesady. Tylko na początku wojny w taki sposób żegna się rekrutów, nie pod koniec – roześmiał się Zbyszek i żartobliwie zwichrzył chłopcu włosy na głowie. A potem spoważniał. – Nie chciałbym innego pożegnania. Żadnych tłumów i bębnow. Wy oboje w zupełności mi wystarczycie. – Pogłaskał syna po ramieniu. – Bądź grzeczny i opiekuj się mamą.

– Dobrze. – Karolek skinął głową, ale uciekł spojrzeniem przed wzrokiem ojca. I dopiero gdy pociąg zniknął mu z oczu, popatrzył na stojącą nieruchomo matkę.

Zresztą nie oni jedni nie ruszali się z miejsca. Kilka innych osób także wpatrywało się w dal i przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Wreszcie, gdy ludzie zaczęli się rozchodzić, a dworzec prawie opustoszał, Kinga pochyliła się nad synem.

– Wracajmy do domu – rzekła.

– Nie chciałem, aby papa wyjeżdżał – odparł cicho i zadygotał na całym ciele.

Przykucnęła i odgarnęła pasmo przydługich włosów z jego wilgotnego policzka.

– Ja też nie – odparła. – Ale wszystko będzie dobrze. Poradzimy sobie.

Była pewna, że tej nocy nie zmrúży oka. Przez większość dnia zajmowała się dzieckiem, a wieczorem postanowiła, że sama przygotuje kolację. Marianne, która na ogół nie lubiła, by ktokolwiek, nawet chlebodawczyni, mieszał jej w garnkach, tym razem nie protestowała i zajęła się porządkowaniem spiżarni. Zmieszała się, gdy Kinga zaprosiła ją do stołu, przecież nigdy dotąd nie jadała z państwem. Czy to właściwe, by tak

zmieniać zwyczaje? I na co szanownej pani taki kłopot, pytała skonsternowana.

– Świat się zmienił, zwyczaje również – odparła Kinga. – Niech nam Marianne zrobi tę przyjemność i usiądzie razem z nami do kolacji. Karolkowi będzie weselej... i mnie także. Zresztą obie jedziemy na tym samym wózku, jesteśmy w tej samej sytuacji – dodała ciszej, bo głos jej niebezpiecznie drgnął.

Marianne, która rzadko kiedy okazywała jakieś emocje, tym razem uśmiechnęła się blado.

– Dobrze, proszę pani. To znaczy bardzo dziękuję za zaproszenie.

Pierwsze minuty posiłku upłynęły jednak w milczeniu. Marianne najwyraźniej czuła się skrepowana sytuacją, tak że Kindze udzielił się w końcu jej nastrój. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy jednak nie pośpieszyła się z propozycją, zwłaszcza że do tej pory traktowała Marianne grzecznie, ale z dystansem. Służąca zachowywała się podobnie w stosunku do niej, mieszkała osobno, przychodziła do pracy z samego rana, a wieczorem wracała do swojego domu i swoich spraw, nie należała zresztą do kobiet gadatliwych. Ot zatrudniła się jako pomoc domowa, skrupulatnie, a nawet wzorowo, wypełniała swoje obowiązki i nie dążyła do bliższych relacji z pracodawcami. Wiedzieli, że była zamężna, że jej mąż był murarzem, że nie mieli dzieci, a zatem bez problemu mogła przez wiele godzin zajmować się gospodarstwem Burgiewiczów. Oboje ze Zbyszkiem nie mieli pojęcia, kiedy miała czas zajmować się własnym ani jak mąż zapatrywał się na jej całodzienną pracę, nie zwierzała się ze swoich spraw, a w jej zachowaniu i sposobie bycia było coś, co zniechęcało Kingę do podejmowania z nią bardziej osobistych tematów.

Ten stan rzeczy uległ pewnej niewielkiej zmianie, odkąd François, mąż Marianne, znalazł się na froncie, nie oznaczało to jednak, że służąca

opowiadała o swojej tęsknocie, strachu i osamotnieniu. Gdy którekolwiek z Burgiewiczów zapytało o François, udzielała krótkiej, rzeczowej odpowiedzi, wspominała o otrzymanych ostatnio listach, ale nie wchodziła w szczegóły. Marianne dobiegała czterdziestki, była zatem wciąż młodą kobietą, wyglądała jednak znacznie poważniej, co na pewno w dużej mierze było konsekwencją ciężkiej, fizycznej pracy, ale także – jak uważała Kinga – jej skrytego, mało pogodnego charakteru. Taka osoba raczej nie poprawiała nastroju przy wspólnym stole, a jednak Karolek, kierowany jakimś impulsem, pogładził jej dłoń i wyznał, że bardzo się cieszy z jej obecności.

– Bo dzięki Marianne ja i mama nie zostaliśmy zupełnie sami – wyjaśnił z chwytającą za serce szczerością.

Marianne ponownie wykrzywiła wargi w słabym uśmiechu i nawet odwzajemniła uścisk, po czym delikatnie odsunęła dłoń.

– I mnie jest dobrze z państwem – rzekła, po czym, jakby przełamując w sobie jakąś wewnętrzną blokadę, dodała: – Najlepiej nie poddawać się smutnym myślom. Wojna nie będzie trwała wiecznie.

– Na pewno nie. – Kinga wtrąciła tę uwagę bardziej dla podtrzymania rozmowy niż z wewnętrznego przekonania o słuszności opinii wygłoszonej przez służącą. – Ale to już nie będzie ten sam świat, co przedtem. I choć tamten miał swoje wady, to przynajmniej wszyscy je znaliśmy. Wszystko było takie... przewidywalne. Teraz życie stało się wielką zagadką i obawiam się, że tak już pozostanie.

Nie była pewna, czy Marianne ją zrozumiała, jednak w krótkim spojrzeniu, jakim służąca ją obrzuciła, nie było najmniejszego zdumienia.

– Nie sądzę, proszę pani, aby aż tak wiele miało się zmienić – rzekła. – Jednym zawsze będzie sprzyjać fortuna, a drudzy będą mieli ze wszystkim pod górkę. Czyli dokładnie tak, jak było dotąd.

– Czy Marianne miała ostatnio jakieś wieści od męża? – spytała ostrożnie



Kinga, pozostawiając bez komentarza ostatnie słowa.

– Tak. Ze szpitala.

– Ze szpitala? – powtórzyła Kinga. – Czemu wcześniej nie wspomniałaś, że został ranny?

Trzeba było dłuższej chwili, by Marianne podniosła wzrok znad talerza.

– Mieli państwo swoje troski na głowie. Po co było dokładać do tego moje zmartwienie?

– Przebywamy tyle godzin pod jednym dachem. Przecież Marianne wie, że oboje z mężem zawsze czekaliśmy na wieści o François. – Zabrzmiało to niemal jak wyrzut, lecz wyrażony w dobrej wierze, z życzliwością, i Marianne tak właśnie przyjęła tę wymówkę. W jej na ogół ponurych, przygasłych oczach ponownie pojawiło się nagle światełko, tak jak to bywało w tych nielicznych chwilach, gdy próbowała się uśmiechnąć.

– Wiem. Dziękuję pani. Ale to było zbyt trudne, żebym... – Ponownie opuściła głowę.

– Rozumiem. – W pierwszym odruchu Kinga miała ochotę pogłaskać dłoń służącej, tak jak to zrobił przed chwilą Karolek, ale zrezygnowała z tego pomysłu, przypomniawszy sobie, że Marianne uwolniła rękę z nieśmiałego uścisku dziecka. – Ale, jak rozumiem, już czuje się lepiej? Skoro napisał...

– Zrobiła to za niego pielęgniarka. Albo sanitariuszka. Bo on... – Kobieta drgnęła, jakby chciała się podnieść i być może odejść od stołu, ale się powstrzymała.

– Na pewno jest pod dobrą opieką – rzekła cicho Kinga. Nie miała pojęcia, co mogłaby jeszcze powiedzieć, by pocieszyć i podnieść na duchu Marianne. – Wszystko będzie dobrze – dodała, choć przecież nie mogła mieć co do tego pewności. Jednocześnie pomyślała o Zbyszku i serce jej się ścisnęło. Na miły Bóg, czy i jej ktoś będzie próbował dodawać otuchy w taki sam sposób, jak ona próbowała to przed chwilą zrobić?

– Na pewno. – Odpowiedź służącej zabrzmiała jak echo. Albo jakby dobiegała z jakiejś innej czasoprzestrzeni. A potem dodała: – Za kilka tygodni prawdopodobnie wróci do domu.

– Na rekonwalescencję? – spytała Kinga, próbując zapanować nad własnym niepokojem.

– Nie. – Na twarzy Marianne pojawił się dziwny, nawet zatrważający wyraz. Coś jakby zaprawiony goryczą uśmiech. – François nie wróci już na front. – Nabrała powietrza, jak ktoś, kto zamierza zanurzyć się w głębokiej wodzie. – Stracił prawą rękę, a w wyniku poparzenia gazem także jedno oko. Drugie udało się jakoś uratować, ale widzi nim dużo gorzej niż dawniej.

Zapadła pełna grozy cisza, którą przerwał dopiero Karolek.

– Papa też zostanie ranny? – spytał szeptem, wlepiając przerażony wzrok w matkę.

– Nie trzeba tak myśleć, kochanie – wymamrotała z trudem Kinga.

– Nie powinnam była tego mówić przy dziecku – rzekła pośpiesznie zaczerwieniona ze zdenerwowania Marianne. – Proszę mi wybaczyć, że tak się zapomniałam.

Ale Kinga, choć jeszcze przed sekundą była dokładnie tego samego zdania, szybko się opamiętała.

– To nie twoja wina, Marianne – odparła. – To ja cię wypytywałam.

– I tak zamierzałam pomówić o tym z panią – podjęła z wahaniem służąca. – Wprawdzie nie przy dziecku, niemniej skoro już zaczęłyśmy...

Ton głosu Marianne przejął Kingę nie najlepszym przecuciem.

– O co chodzi, Marianne? – spytała zaniepokojona.

– Kiedy François wróci do domu, nie będę mogła spędzać u pani tylu godzin, co zazwyczaj. Mój mąż będzie potrzebował opieki.

– Tak, to zupełnie zrozumiałe. – Kinga skinęła głową, choć jeszcze przed

momentem w ogóle się nad tym nie zastanawiała.

– A zatem... Chyba najlepiej będzie, jeśli poszuka pani kogoś innego na moje miejsce.

Zanim Kinga zdążyła zebrać myśli, zareagował Karolek.

– Nie, Marianne, nie odchodź – rozplakał się. – Zawsze tu byłaś, nie chcę nikogo innego.

Marianne, która nie należała do ludzi łatwo poddających się wzruszeniu i emocjom, tym razem popatrzyła na chłopca z rozrzewnieniem.

– Twoja mama potrzebuje pomocy kogoś, kto może tu spędzać cały dzień. Tak jak do tej pory. A ja niestety mogłabym co najwyżej przyjść na dwie, może trzy godziny, a i tego nie jestem pewna.

– No to przyjdiesz wtedy, gdy będziesz mogła – szlochał mały. – Ale nie odchodź tak zupełnie...

– To niemożliwe – perswadowała coraz bardziej wzruszona Marianne. – Nowa służąca nie byłaby zadowolona z mojej obecności.

– Mama sobie poradzi bez tej nowej służącej – upierał się chłopiec. – Ja jej pomogę.

– Kochany Charles... Obiecuję, że od czasu do czasu odwiedzę ciebie i twoją mamę.

– Każdy tak mówi! A teraz, odkąd papa poszedł na wojnę, nikt już do nas nie przyjdzie. Bo przyjaciele papy, którzy czasem nas odwiedzali, też są w wojsku. A pan Adrien... – Przerwał, jakby zabrakło mu tchu. – Nikogo już nie mamy – dorzucił po chwili.

– Charles ma rację – wtrąciła pośpiesznie Kinga. – To znaczy... Chodzi o to, że wystarczy, jeśli Marianne przyjdzie mi pomóc przez dwie, co najwyżej trzy godziny dziennie. Myślę, że powinnam poradzić sobie z gospodarstwem, zwłaszcza że dziecko jest już starsze i nie wymaga pilnowania na każdym kroku. Wystarczy, jeśli Marianne pomoże w kuchni,

bo marna ze mnie kucharka – zażartowała na koniec, by wprowadzić choć trochę pogodniejszy nastrój.

– Pani jest bardzo uprzejma – ożywiła się Marianne. – Nie sądzę, aby François potrzebował mnie przez cały boży dzień. A trochę dodatkowego grosza na pewno nam się przyda... Zwłaszcza że o jego powrocie do murarki nie może być mowy.

Dalsza część kolacji upłynęła już w znacznie bardziej swobodnej atmosferze, Marianne nawet opowiedziała o sobie to i owo. Miała dwie siostry, z którymi jednak od lat nie utrzymywała kontaktu. Nie akceptowały François w roli szwagra, wyjaśniła, nie rozwijając tego wątku. Kinga zrewanżowała się informacją, że ona i Zbyszek są bliskimi kuzynami, a to jeden z powodów, dla których z kolei ona nie jest akceptowana w roli synowej i bratowej. Mogła sobie pozwolić na taką otwartość, bowiem Karolek po skończonym posiłku zostawił je same i pobiegł bawić się ze swoim małym przyjacielem – synem sąsiadów, który często odwiedzał go wieczorami.

Kinga miała nadzieję, że Marianne może opowie więcej o swoim mężu – jak go poznała i właściwie dlaczego nie był akceptowany przez jej rodzinę, ale nie śmiała stawiać takich pytań wprost, a służąca nie kwapiła się do dalszych zwierzeń.

– Robi się późno – oświadczyła. – Jeśli pani pozwoli, to posprzątam po kolacji i pójdę do domu.

Kinga nie oponowała, choć tak naprawdę pora nie była jeszcze zbyt późna i chętnie spędziłaby więcej czasu w towarzystwie drugiej osoby. Zwłaszcza pierwszego wieczoru po wyjeździe Zbyszka, gdy bała się własnych myśli, a samotność wydawała się szczególnie dotkliwa. W końcu do niej przywyknie, jak inne wojenne żony, narzeczone czy matki, a fakt, że będzie miała więcej zajęcia w gospodarstwie, na pewno jej w tym pomoże.

W końcu wpadnie w zwykłą, codzienną rutynę, jak wiele innych kobiet, i tak jak one będzie borykać się z trudnościami, lecz dzięki temu uporządkuje swoje myśli. Z pewnością tak się stanie... Ale jeszcze nie dziś, nie tego wieczoru, gdy każdy sprzęt, każde miejsce w tym domu przywoływało konkretne wspomnienie związane ze Zbyszkciem. Jego krzesło w jadalni, fotel w salonie, pozostawiona na komodzie książka, popielnica.

Marianne też przez to przeszła, prawie dwa lata temu, bo właśnie wtedy François wyjechał na front. Nigdy nie opowiadała o tych pierwszych dniach, wieczorach, nocach, gdy została sama. Zupełnie sama, bo przecież siostry mieszkały daleko, a poza tym nie utrzymywała z nimi kontaktów. I nie miała dzieci, a to przecież im poświęca się najwięcej czasu i uwagi. To wokół nich kręci się świat każdej matki, ale ten codzienny trud i ciężka praca pomagają stawić czoła wszelkim innym troskom i zmartwieniom.

Kinga nigdy nie pytała Marianne o tamte chwile sprzed kilkunastu miesięcy – skrytość służącej skutecznie ją do tego zniechęcała – i teraz także wiedziała, że nie zdobędzie się na takie pytanie. Nie miała wątpliwości, że Marianne z sobie znanych powodów nie chciała o tym mówić; w ogóle nie chciała już przedłużać tej rozmowy. Woląa wrócić do swojego pustego mieszkania, a Kinga nie miała prawa jej dłużej zatrzymywać.

Bała się tej pierwszej nocy i nawet się zastanawiała, czy nie spędzić jej w pokoju synka, ostatecznie jednak została w swojej sypialni, położyła się do własnego łóżka i otuliła kołdrą. Wbrew obawom odpłynęła w sen, zanim przed oczy zdążyły się nasunąć obrazy, których tak bardzo się obawiała: wojskowych koszar, okopów, szpitali polowych. Sen ją pokrzepił, obudziła się, gdy było już zupełnie widno, a pogodny poranek poprawił jej nastrój. Przez cały dzień wynajdywała sobie różne zajęcia, porządkowała zawartość szaf i szuflad, wycierała kurze, bawiła się z dzieckiem. Dzięki temu czas płynął szybko, i właśnie o to jej chodziło. Zarazem jednak nie starała się już

wciągać Marianne do żadnej osobistej rozmowy, nie wyręczyła jej w przygotowaniu posiłku ani nie zatrzymywała na kolacji, co tamta przyjęła z widoczną ulgą.

Gdy cztery tygodnie później François wrócił do domu, Kinga była już należycie przygotowana, by przejąć większość domowych obowiązków, a Marianne – tak jak wcześniej ustaliły – zaczęła przychodzić na dwie, czasami trzy godziny. Niewiele mówiła o mężu. „Nie jest mu łatwo. Nigdy już nie będzie” – napomknęła, a w jej wyrazie twarzy było coś, co skutecznie zniechęcało do ewentualnych pytań. W każdym razie Kinga nawet nie próbowała ich zadawać, zwłaszcza że jej uwagę pochłaniały wieści z frontu zachodniego i lektura listów od Zbyszka, choć na każdy z nich czekała z duszą na ramieniu. Dzięki nim była jednak dobrze zorientowana w działaniach i bezsprzecznych osiągnięciach polskiej armii.

W lipcu osiemnastego roku pierwszy pułk strzelców, szwadron szwoleżerów i oddział saperów toczyły walki w okolicach Reims i Saint-Hilaire-le-Grand, były też obecne na froncie w Wogezach i w Szampanii. Zasłynęły natarciem na Bois de Raquette. Każda kolejna wiadomość od Zbyszka tchnęła optymizmem, jednak Kinga domyślała się, że przede wszystkim starał się ją podnieść na duchu. Wiedziała, że żołnierze niejednokrotnie tak robili, choć już od dawna ich rodziny nie dawały się na to nabierać. Z nią było dokładnie tak samo. Niepokój nie zostawiał w niej miejsca na inne uczucia, na dumę i na optymizm. Czowała, że tym samym zamyka się coraz bardziej w sobie, że buduje wokół siebie coraz wyższy mur, za który wpuszczała jedynie swoje dziecko. Tym samym stawała się coraz bardziej podobna do Marianne, z czego aż nadto zdawała sobie radę. I do wielu innych kobiet, których przygasłe, jakby nieobecne spojrzenia jednoznacznie wskazywały, że myślami były często daleko stąd.

Bywały takie dni, gdy zastanawiała się, czy nie napisać do ciotki Marii.

Albo do Klementyny. Powinny chyba wiedzieć, że Zbyszek jest na froncie. Oczywiście korespondencja była bardzo utrudniona, lecz nie tak zupełnie niemożliwa. Gdyby zadała sobie trudu i poszukała odpowiednich kontaktów, list mógłby jakoś dotrzeć – ostatecznie jednak za każdym razem porzucała ten pomysł. Po pierwsze nie miała czasu, by szukać kontaktów i ludzi podejmujących się przedostania na drugą stronę Europy, przez Niemcy. Szkoda też jej było na to pieniędzy, wołała się ich nie wyzbywać, bo przecież przyszłość była niepewna. A poza tym... Czy nie lepiej oszczędzić rodzinie strachu, nerwów i niepewności, które ona sama przeżywała każdego dnia?

Dowiedzą się później, postanowiła. Gdy już będzie po wszystkim. Gdy on wróci, a wojna się skończy. Zresztą najlepiej będzie, jeśli to właśnie Zbyszek do nich napisze. Przecież zanim wybuchła wojna, utrzymywał w miarę regularną korespondencję z matką i siostrą. Niechże więc i dalej tak będzie. Tym bardziej że zarówno Burgiewiczowa, jak i Klementyna już dawno się od niej odwróciły. Nie chciały mieć z nią do czynienia. Na pewno nie zamierzały czytać jej listów.

A jednak musiała się tym zająć. Zrobiła to późnym latem osiemnastego roku, gdy Francuzi przy pomocy Amerykanów odparli drugi już w dziejach tej wojny bezpośredni niemiecki atak na Paryż. Mało kto wierzył, by powtórzył się cud nad Marną z tysiąc dziewięćset czternastego roku. A jednak powtórzył się, lecz w przeciwieństwie do poprzedniego oznaczał wreszcie początek końca, a zarazem zapowiedź ostatecznego zwycięstwa. Kinga wiedziała, że powinna podzielać powszechną radość i entuzjazm – Zbyszek z pewnością życzyłby sobie, aby się teraz cieszyła – lecz nie była w stanie się na to zdobyć. Zresztą ten pierwszy napisany do ciotki list zniszczyła, zanim jeszcze włożyła go do koperty. Uznała, że nie nadawał się do wysłania, był zbyt osobisty w treści, zbyt wiele było w nim emocji, a przecież ciotka na pewno nie miała ochoty czytać, jak Kinga przeżywała

swoją rozpacz i żalobę, nie obchodziły jej też przeżycia Karolka. Teraz dla niej liczył się tylko Zbyszek, a zatem treść listu powinna dotyczyć wyłącznie jego osoby. I jedynie tych faktów, które były z nim związane. Kiedy, w jaki sposób i inne tego typu informacje. Z tego powodu list przypominał bardziej bezduszną notatkę urzędniczą, ale nie można mu było odmówić logiki.

Kinga wysłała go jednak dopiero jesienią osiemnastego roku, gdy wreszcie umilkły działa na frontach. Wtedy gdy było już jasne, że nie może dłużej z tym zwlekać. Wprawdzie w dalszym ciągu zdarzało się, że listy i telegramy ginęły po drodze i nie dochodziły do adresatów – trakcje kolejowe w wielu miejscach były zniszczone lub w ogóle przestały istnieć, co musiało wywrzeć wpływ na działanie poczty – niemniej nie mogło to być pretekstem, by w dalszym ciągu uchylać się od obowiązku powiadomienia ciotki i kuzynki, że Zbyszek...

Nie miała żadnych złudzeń, że to cokolwiek zmieni w jej relacjach z tymi kobietami, wręcz przeciwnie. Zawieszenie broni, podpisane między Niemcami a państwami ententy, nie oznaczało bynajmniej, by w rodzinie Burgiewiczów także miał zapanować pokój.



## ROZDZIAŁ 11

– To ona go zabiła. To jej wina.

Słyszając te słowa, Klementyna drgnęła jak po uderzeniu. Twarz jej poczerwieniała, a sekundę później ponownie zrobiła się biała jak płótno.

– Nie powinna mama tak mówić – odparła zduszonym i przez to niepewnie brzmiącym głosem. – To zbyt daleko idące oskarżenie.

– Nie powinnam?! – oburzyła się Burgiewiczowa. W jej przygasłych od płaczu oczach zapaliło się nie tyle światło, co wręcz płomień. – Ja nie powinnam?! Gdyby nie ona, nie ta przeklęta dziewczyna, mój syn nie opuściłby kraju. Zostałby tu, gdzie jego miejsce, i najpewniej byłby tu teraz z nami!

Pierwszą myślą, jaka przyszła do głowy Klementynie, było spostrzeżenie, że Kinga w żadnym razie nie była już dziewczyną. Żadna z nich już nie mogła pretendować do tego miana, niemniej z punktu widzenia matki wyglądało to inaczej, świat jakby się dla niej zatrzymał, nie zachodziły w nim żadne zmiany. Mentalnie wciąż tkwiła w przeszłości; w tych warunkach wiadomość o śmierci syna spadła na nią jak grom z jasnego nieba. A fakt, że nadawczynią listu była Kinga, dodatkowo pogłębił jej wrogość do niej.

Wiadomość o śmierci Zbyszka dotknęła Klementynę tak samo boleśnie jak jej matkę. W pierwszej chwili niemal ją poraziła i pozbawiła tchu, wciąż nie mogła się z nią uporać. Niemniej Klementyna nigdy nie zdobyłaby się na

tak kategoryczne i absurdalne oskarżenia, jakie wysunęła jej rodzicielka. Nawet ból i żałoba nie usprawiedliwiały podobnych słów, dlatego uznała, że powinna jednak zaprotestować.

– Tego nie wiemy – rzekła ostrożnie. – Nie możemy być pewne, czy gdyby nie opuścił kraju, nie spotkałoby go coś złego. Zresztą gdyby tu został, najpewniej także wstąpiłby do wojska.

– Nie zrobiłby tego. Nigdy bym mu na to nie pozwoliła. Nie to, co tamta...

Klementyna mogła spróbować oprzeć się pokusie, by zostawić tę uwagę bez komentarza. To nie byłoby takie trudne, bo przecież rozumiała boleść matki i doskonale wiedziała, że w takich chwilach człowiek często uderza na oślep i wypowiada pozbawione sensu słowa. Sama także miała wiele żalu do Kingi, pielęgnowała go przecież całymi latami. Nie było więc powodu, by teraz stawała w jej obronie. Mogła zacisnąć zęby i słuchać w milczeniu dalszych oskarżeń pod adresem kuzynki... lecz zdecydowała inaczej. Słowa, które padły przed chwilą, zrobiły na niej zbyt przykre wrażenie, i nagle naszała ją chęć, by jednak zachwiać tą pewnością siebie i bezgraniczną wiarą we własne moce sprawcze, jaka cechowała jej matkę.

– Zbyszek nie pytałby ciebie o pozwolenie. Nie zdołałabyś go zatrzymać, tak jak nie udało się to... jego żonie.

– Nie nazywaj jej tak! – Burgiewiczowa wybuchnęła gniewem. – Przecież wyraźnie tego zabroniłam!

Zapadła pełna napięcia cisza, jaka na ogół poprzedza gwałtowną burzę z piorunami. Klementyna darowała już sobie ripostę, najchętniej by się pożegnała i wróciła do domu, ale poczucie obowiązku jednak zwyciężyło. Nie mogła zostawić matki samej. Bezwiednie powiodła wzrokiem po salonie, po dobrze jej znanych meblach i obrazach, potem zatrzymała spojrzenie na fortepianie i z trudem powstrzymała głośne westchnienie. Czasy, gdy w tym

domu, w tym właśnie salonie odbywały się muzyczne wieczory i inne towarzyskie spotkania, wydały jej się teraz tak odległe, że aż nierzeczywiste. Jakby były wyłącznie tworem jej wyobraźni, podobnie jak ci wszyscy ludzie, siedzący na rozstawionych wokół krzesłach i kanapach, oklaskujący kolejnych wykonawców, krytyczne uwagi zostawiający na potem, gdy przyjęcie dobiegnie końca i już we własnym domu będzie sobie można pozwolić na szczerość.

Patrząc na puste teraz fotele, Klementyna mimowolnie zaczęła nasłuchiwać, czy jednak jakimś cudem nie dobiegnie do niej echo tamtych rozmów, brzęk kieliszków do wina i filiżanek do kawy. Ileż by dała, by tak właśnie się stało, choćby na krótką chwilę. W tym momencie nie miało dla niej znaczenia, że nie zawsze czuła się dobrze w towarzystwie większości z tych ludzi, wolała kameralne spotkania w gronie najbliższej rodziny, często zresztą matka wystarczała jej za wszystkich pozostałych.

Teraz i to się zmieniło. Cisza przytłaczała, podobnie jak towarzystwo matki. A przecież z najbliższej rodziny została już tylko ona. Nie licząc oczywiście dzieci, ale one dorosły i coraz bardziej się od Klementyny oddalały. Choć czuła z tego powodu smutek i nostalgię, nie próbowała ich na siłę zatrzymać. Gdy tylko oznajmią, że na nich już czas, pozwoli im wyruszyć w drogę. Obojgu, tak synowi, jak córce, nie będzie robiła między nimi żadnej różnicy. Wojna wiele zmieniła i to, co kiedyś wydawało się nie do pomyślenia, teraz było niemal w pełni akceptowalne. Nie czuła się na siłach, by walczyć z tymi zmianami, i dlatego wiedziała, że w przypadku jej dzieci nie powtórzy się historia, którą znała z własnego doświadczenia. Anetka nie będzie traktowana inaczej niż jej brat, zresztą ona sama nie pozwoliłaby na to. Odważna, pełna życia, tryskająca energią, zuchwale stawiająca czoło różnym przeszkodom, w niczym nie przypominała swojej matki i Klementyna była z tego rada. To nie znaczy, że nie bała się o córkę –

która matka nie żywi takich obaw? – zarazem jednak była pewna, że dziewczyna poradzi sobie w życiu. Na pewno dużo lepiej niż ona.

Nie lękała się też o Krzysia. Przestała, gdy tylko skończyła się wojna, a on wrócił do domu. Przeżył, nie został nawet ranny. Jeśli zwycięsko wyszedł z takiej próby, czego jeszcze miałyby się obawiać?! Oczywiście pobyt na froncie pozostawił na nim swoje ślady. Przede wszystkim Krzys wydorósł, spoważniał. Kiedy tylko zobaczyła go na dworcu, gdy wysiadł z pociągu, od razu zrozumiała, że to już nie jest ten chłopiec, który cztery lata temu uciekł przed nią chyłkiem na front, lecz młody mężczyzna, który potrafi już sam o siebie zadbać i wziąć pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Jak bardzo przypominał jej Zbyszka! Zawsze był do niego podobny, a teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek. Tak naprawdę niewiele w nim było z Aleksandra... i z niej. I dzięki Bogu, pomyślała, choć jednocześnie ścisnęło się jej serce.

Z refleksji tych wybudziły ją kolejne słowa Burgiewiczowej. W dodatku takie, których się kompletnie nie spodziewała.

– Powinniśmy go tu sprowadzić. Jego miejsce jest tu, między swoimi.

Klementyna na moment oniemiała. Potrzebowała czasu, by zebrać myśli, ale nie mogła przecież milczeć w nieskończoność. Tym bardziej że matka czekała na jej odpowiedź. Do podobnego przedsięwzięcia potrzebowała pomocy, nieprzypadkowo przecież użyła liczby mnogiej.

– Został już pochowany. W Szampanii, wśród innych żołnierzy. – Klementyna nie poznawała własnego głosu.

– Właśnie o tym mówię – sarknęła Burgiewiczowa. – Trzeba go stamtąd zabrać. Pochować jak należy, w rodzinnym grobowcu.

– Posłuchaj, mamó – odezwała się niepewnie Klementyna. – To chyba przekracza nasze możliwości. Poza tym on w jakimś sensie został przecież wśród swoich.

– Wśród swoich? – Głos matki wibrował na najwyższym stopniu wzgardy i oburzenia. – W Szampanii? Nawet nie kiwnęła palcem, by przynajmniej sprowadzić jego ciało do Paryża, by zapewnić mu jakieś godne miejsce. Gdy pomyślę, że mój syn leży pod jakimś kopczykiem, w glinie albo w błocie... – Nagle przerwała, jakby zabrakło jej tchu, i zasłoniła oczy chusteczką.

Widok ten poruszył Klementynę. Nigdy dotąd łzy w oczach matki nie wydały jej się tak szczere, tak niewymuszone jak właśnie w tej chwili. W tych okolicznościach.

– Przypuszczam, że i dla niej to zbyt duże przedsięwzięcie – rzekła łagodnie.

– Czemu jej bronisz? – Burgiewiczowa odłożyła chusteczkę. Spojrzenie, którym obrzuciła córkę, było pełne nieskrywanej pretensji. – Zapomniałaś, co zrobiła? Jaką ci wyrządziła krzywdę?

Klementyna spurpurowiała. Przez jej twarz przebiegło lekkie drgnienie.

– Nie zapomniałam – odparła oschle. Po niedawnym łagodnym tonie nie został już nawet ślad. – Ale przecież nie o tym teraz rozmawiamy.

– Jedno wiąże się z drugim. – Maria nie ustępowała.

Klementyna nie zamierzała jednak podejmować tego wątku.

– Bez jej zgody ekshumacja nie zostanie przeprowadzona – rzekła tym samym co poprzednio oschłym tonem. – Czy jesteś gotowa prosić ją o tę zgodę?

Nawet wystrzał armatni nie mógłby bardziej wstrząsnąć doktorową. Tym razem jej twarz przybrała kolor szarego marmuru.

– Załatwię to – odparła ostro. – Z twoją pomocą czy bez niej... Znajdę sposób.

Klementyna poczuła ciarki przebiegające po ciele.

– Może po prostu do niej napisz – rzekła cicho. – Spokojnie, bez gniewu,

pretensji i żądań. Może już czas... się porozumieć.

– Porozumieć? – Matka patrzyła na nią tak, jakby miała przed sobą osobę niespełna rozumu. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Naprawdę byłabyś skłonna porozumieć się z kobietą, która odebrała ci brata, a mnie syna?

– Mamo... – Klementyna ponownie złagodziła ton, choć kosztowało ją to немало wysiłku. – Ona nie odebrała nam Zbyszka. Nie ma sensu, abyś to sobie dłużej wmawiała. Tak jak nie ma sensu, byś zaprzeczała oczywistej prawdzie, że był z nią szczęśliwy.

Jednak te słowa nie zbiły Burgiewiczowej z pantałyku. Wręcz przeciwnie.

– Odebrała ci także męża – oświadczyła stanowczo. – Temu z pewnością trudno zaprzeczyć.

No tak, westchnęła w duchu Klementyna. Wspaniałą okazję wybrałaś, mamo, aby o tym mówić. Ale skoro tak, dobrze, niech ci będzie. Miejmy to już za sobą, raz na zawsze.

Podniosła hardo głowę, jej oczy przybrały surowy, obojętny wyraz.

– On tak naprawdę nigdy nie był mój – rzekła. – Niech robi, co chce. To już bez znaczenia.

Tym razem to doktorowa poczuła mróz rozchodzący się po kościach. Z nieruchomej, pobladłej twarzy córki patrzyły na nią oczy Stefana. W ułamku sekundy odniosła przyprawiające o zawrót głowy wrażenie, jakby to on, we własnej osobie, stał teraz przed nią. Tak jak wtedy, przed laty, gdy rzucił jej w twarz, że nigdy nie był jej własnością i nie będzie do niej należał.

## ROZDZIAŁ 12

– Proszę pani...

Kinga odwróciła wzrok od okna i zerknęła na stojącą w progu pokoju Marianne. Z wyrazu jej twarzy wywnioskowała, że służąca obserwowała ją już od pewnego czasu.

– Nie usłyszałam, jak wchodziłaś do domu – rzekła, wracając do rzeczywistości. – Jak się dostałaś do środka? Czy drzwi były otwarte? – zaniepokoiła się. Już raz się zdarzyło, że po wyjściu Marianne zapomniała zamknąć drzwi na zasuwę. Ostatnio zapominała lub gubiła wiele rzeczy. Stale czegoś szukała. Bywały chwile, nawet całe godziny, że pilnie nasłuchiwała kroków w korytarzu, jego kroków, by potem na nowo uprzytomnić sobie, że to bez celu. Że więcej ich już nie usłyszy. I wtedy wpadała z kolei w zamyślenie, głębokie jak studnia, bo tak samo trudno było się z niego wydobyć. Do światła, do odgłosów, jakie niesie ze sobą codzienność. Życie. Tak jak przed chwilą.

– Tak – odparła cicho Marianne. – Widocznie nie zamknęła ich pani, gdy Charles wyszedł do szkoły. Ale nic się nie stało, nie trzeba się tym zaraz denerwować.

– No tak, sama go przecież odprowadziłam – przypomniała sobie Kinga. Poczowała ulgę, że jednak nie straciła do końca kontaktu z rzeczywistością. I przynajmniej udało jej się dziś zrobić coś sensownego: przygotowała

Karolkowi śniadanie i wyprawiła go do szkoły. A to przecież – jak na nią – nie ma. Czasem nie rozpoznawała samej siebie. Zwłaszcza gdy porównywała swoją dawną energię, odwagę i chęć do pracy z obecną bardzo marną kondycją. Nie miała przy tym wątpliwości, że gdyby nie Karolek, prawdopodobnie przestałaby robić cokolwiek, nawet wokół siebie.

– Odebrałam list z poczty. – Marianne sięgnęła do torby.

– List? – Kinga poczuła znajomy ucisk w krtani. W pierwszej chwili pomyślała o Amelii, ale przecież niedawno dostała od niej wiadomość. – Ale skąd? Od kogo? – Pytania te kierowała bardziej do siebie niż do służącej.

To właśnie Gajewska napisała jako pierwsza, bo już w listopadzie osiemnastego roku. Jej list tchnął zwykłym dla niej humorem zaprawionym lekkim sarkazmem.

*Jakoś udało mi się przeżyć tę wojnę – donosiła. – Najwyraźniej Opatrzność nade mną czuwała, choć czasem myślałam, że właśnie wybiła moja ostatnia godzina. Mimo to ani razu nawet przez myśl mi nie przyszło, by opuścić Kraków. Nigdy dotąd nie podejrzewałam się o taki patriotyzm, zwłaszcza lokalny. O takie przywiązanie do tego miasta, które nieraz mnie przecież drażniło swoją prowincjonalnością. Tym, że każdy każdemu zaglądał do garów i do sypialni. A jednak to prawda, że człowiek sam o sobie nic nie wie, zanim nie znajdzie się w sytuacji wyjątkowej, ekstremalnej, wytrącającej go z codzienności.*

*Zatem zostałam w Krakowie, gdy w połowie października czternastego roku generał Karl Kuk kazał zamknąć bramy twierdzy. Były takie momenty, gdy walki toczyły się zaledwie kilkanaście kilometrów od naszego Rynku. Byłam tu także, gdy prawie dwa miesiące później, w grudniu, Rosjanie przystąpili do kolejnego, generalnego szturmu, który jednak nasza krakowska twierdza wytrzymała, a oni sami zostali powstrzymani pod Łapanowem, Dobrem i Limanową. Kiedyś dokładniej Ci o tym opowiem. A także – przede*



wszystkim – o tym, co dzieje się tu teraz. Przecież jeszcze kilka lat temu nikt z nas nie przewidywał, że dynastia Habsburgów przestanie istnieć, a tym samym monarchia naddunajska rozsypie się jak domek z kart. Lecz to nie wszystko, bo podobny los spotkał także Romanowów i Hohenzollernów.

Tym samym wreszcie przestały istnieć jakiegokolwiek przeszkody, by spróbować odbudować nasze własne państwo. Nie znaczy to, że wszystko idzie jak z płatka, problemów nie brakuje. Niepewne granice, napięcie i niezgoda wewnątrz kraju, a do tego zniszczenia i niedostatek aż kłują w oczy, lecz gdy widzę polskie mundury, polską policję, pocztę i symbole, wciąż na nowo muszę się szczytać, by uwierzyć, że to nie sen. Że to się dzieje naprawdę. Nie poznaję siebie, bo przecież przed laty w ogóle nie prowadziłam podobnych rozważań. Uważałam je za stratę czasu, kolejne mrzonki, a tych miałam dość. Tymczasem życie wciąż przynosi nam niespodzianki. Tyle pokoleń na to czekało, my się doczekaliśmy. Jak szkoda, że w tym gronie zabrakło moich i Twoich rodziców.

I mojego męża, pomyślała wtedy Kinga, odkładając na bok niedoczytany do końca list. Potrzebowała tygodnia, by ponownie do niego wrócić. I kolejnych dwóch, by usiąść do odpowiedzi. Wiedziała, że to, co napisze, zmać radość i entuzjazm ciotki, ale nie mogło być inaczej, skoro sama ich nie podzielała, nie potrafiła. Skoro tyle było w niej buntu na taką niesprawiedliwość losu. Zbyszek przecież także zasłużył na to, by przeżyć wojnę i patrzeć na to wszystko, o czym donosiła Amelia. Zasłużył na to bardziej niż ci, którzy przez całą wojnę nie robili nic, chowali jedynie głowę w piasek i nie obchodziło ich nic poza tym, by przeżyć. Ciotka przynajmniej nie uciekła z Krakowa na czas ofensywy, ale ilu to jednak zrobiło, nie bacząc na to, co stanie się z ich miastem!

Kinga nie musiała się domyślać, jak to musiało wyglądać, bowiem to samo dwukrotnie widziała w Paryżu. W czternastym i osiemnastym roku,

gdy jedni zabijali deskami drzwi i okna i uciekali w panice, nazywając to ewakuacją, podczas gdy inni zostali, by z łopatami i kilofami budować umocnienia wokół miasta. Dlatego Zbyszek powinien tu teraz być, z nią i z ich małym synem. Pewnie opowiedziałby Karolkowi o tym dalekim kraju, za który zdecydował się walczyć z bronią w ręku, choć jeszcze kilka lat wcześniej odrzucał taką drogę. I może nawet po latach, gdy syn byłby już dość dorosły, aby to zrozumieć, powiedziałby mu, co sprawiło, że jednak zmienił zdanie i zdecydował się pójść tym samym szlakiem, co tamci, których wcześniej krytykował. Niestety, już tego nie robi, a ona go w tym nie zastąpi. Nie może, skoro w niej tyle bólu i niezgody na to, co go spotkało. Co spotkało ich. To właśnie dała do zrozumienia Amelii w odpowiedzi na jej list. Żadnej radości, dumy, entuzjazmu. Tylko gniew i gorycz.

Gajewska musiała chyba odpisać zaraz po otrzymaniu od niej wiadomości, bowiem odpowiedź nadeszła zaskakująco szybko. Nie moralizowała, nie pouczała. Żadnych „nie można tak myśleć”, „życie przecież wciąż biegnie naprzód” czy chociażby „twój biedny mąż z pewnością życzyłby sobie, abyś podzielała radość swoich rodaków z odzyskania państwa, za które on oddał swoje życie”. Nie, Amelia darowała sobie takie uwagi. Zresztą to było do przewidzenia, bo w gruncie rzeczy nawet by do niej nie pasowały. W krótkich zdaniach wyraziła wyrazy współczucia. A potem... zasugerowała, że chętnie wróciłaby do dawnych projektów spotkania i rozmowy w cztery oczy. Wojna się skończyła, nie było więc przeszkód, by wreszcie się zobaczyły. Nie napisała jednak wprost, że już teraz gotowa jest do podróży. Nie wspomniała o swoich dawnych marzeniach zobaczenia Paryża. Zamiast tego robiła nieśmiało aluzje, że może nie byłoby źle, gdyby to Kinga wraz z dzieckiem przyjechała do Krakowa. Bo chyba tak należało zrozumieć jej słowa:

*Byłoby wspaniale, gdybyś to wszystko mogła zobaczyć na własne oczy, bo*

*ja niestety nie mam zdolności literackich, które pozwoliłyby oddać atmosferę, jaka tu teraz panuje. Przekonałabyś się, jakie zaszły zmiany, odkąd opuściłaś kraj. A następnie, jakby mimochodem, dodała: Tylko groby naszych bliskich wciąż wyglądają tak samo.*

Nadmieniła też, że może nadszedł czas, aby i Karolek poznał kraj swoich rodziców.

Kinga, która na pierwszą wzmiankę o możliwości spotkania z ciotką na moment się ożywiła, ponownie się zasepiła, gdy tylko doczytała do końca. Zrozumiała, że Amelia nie zamierza przyjeżdżać do Paryża. Najwyraźniej lokalny patriotyzm, czy też w ogóle patriotyzm i euforia spowodowana odzyskaniem niepodległości, sprawiły, że uroki stolicy Francji, o której nigdy tak marzyła, straciły w jej oczach wszelkie walory. A może miała też inne powody, tak czy inaczej, w najbliższej przyszłości się nie zobaczą. Być może nigdy to już nie nastąpi, bo ona, Kinga, nie wróci już do Polski. Tak też odpowiedziała, choć starała się, by nie zabrzmiało to szorstko ani broń Boże obcesowo.

*Tutaj teraz jest mój dom* – napisała i zastanowiła się przez chwilę, czy czasem nie sugerowała, że teraz Francja jest jej krajem, w każdym razie krajem jej syna, który innego przecież nie znał.

Nie chciała, aby takie słowa uraziły Gajewską, dlatego dodała: *Tutaj jest Zbyszek, i choć cmentarz w Auberive znajduje się dobry kawałek od Paryża, to jednak z pewnością znacznie bliżej do niego stąd niż z Krakowa. Nie zostawię go przecież samego. Nie mogę i nie chcę; jestem mu to winna. Poza tym muszę się liczyć z kosztami takiej podróży. Zbyszek zostawił mi niemałe oszczędności, mam też przyznaną rentę wojenną po poległym, ale muszę pilnować wydatków i żyć oszczędnie.*

Nie była pewna, czy taka odpowiedź nie zniechęciła Gajewskiej. Tak się jednak nie stało.

*A zatem niech będzie. Ja do was przyjadę. Myślę, że późną wiosną lub latem, gdy się tu uporam z paroma sprawami. Dam Ci znać, kiedy będę znała dokładny termin.* Zabrzmiało to niemal dosłownie tak samo, jak jeszcze przedwojenne zapowiedzi ciotki, toteż Kinga wolała nie robić sobie wielkich nadziei. Aż za dobrze pamiętała, czym się skończyły te poprzednie. Dlatego gdy teraz, niespełna tydzień po ostatniej wiadomości od Amelii, Marianne zakomunikowała jej, że przyszedł kolejny list, pierwszą reakcją Kingi było zdumienie i zaniepokojenie. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że tym razem nie mogła to być żadna nowa przesyłka od Gajewskiej, a zatem...

– Z Warszawy – odparła Marianne, podając jej kopertę, a ponieważ Kinga nie wyciągnęła po nią ręki, położyła ją na stole. – Może od rodziny? – zasugerowała z wahaniem, spostrzegłszy, że jej pracodawczyni poszarzała na twarzy i jakby zapadła się w sobie.

Kinga nie odpowiedziała, ponownie zapatrzyła się na nagie gałęzie drzewa za oknem. I dopiero gdy służąca wycofała się z pokoju, oznajmiwszy, że idzie do kuchni, aby zająć się przygotowaniem obiadu, ponownie, choć z ociąganiem skierowała wzrok na kopertę.

Nie oczekiwała odpowiedzi od teściowej i po prawdzie wcale jej nie chciała. Zawiadomiła Burgiewiczową o śmierci Zbyszka i wszystkich związanych z nią okolicznościach, bo tak należało postąpić, bo to był jej obowiązek, ale nic więcej. Nie chciała wdawać się w żadne dyskusje, nie chciała czytać słów krytyki i pretensji pod swoim adresem, a przecież niczego innego nie mogła się z tamtej strony spodziewać. Śmierć Zbyszka ostatecznie kończyła wszelkie związki z tą rodziną, tak przynajmniej uznała i była pewna, że zarówno ciotka, jak i Klementyna podzielają ten pogląd. Przynajmniej w tej jednej sprawie wszystkie trzy się ze sobą zgadzały. Żaden list nie był tu do niczego potrzebny.

Wyrzucę go, postanowiła. Bez czytania. Ciotka wyrzekła się mnie i nie

uznała Karolka. Wątpię, aby zmieniła zdanie, najpewniej obwinia mnie za to, co stało się ze Zbyszkiem, a Klementyna...

Klementyna z pewnością by do niej nie napisała, zatem...

Zaledwie zerknęła na imię i nazwisko nadawcy, a serce w niej na moment zamarło, by chwilę potem zacząć tłuc tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Nawet gdyby brakowało nazwiska, i tak rozpoznałaby charakter pisma. Nie upłynęło przecież aż tak wiele czasu, by miała je zapomnieć. Zwłaszcza że nie zapomniała człowieka, który był nadawcą. Jednakże należał on już do przeszłości, do epoki, która się skończyła, raz na zawsze przeminęła. Nawet jeśli przed laty Kinga nie do końca potrafiła uporać się ze swoją przeszłością, Wielka Wojna jej w tym dopomogła.

A zatem jak to możliwe, że na sam widok tego pisma serce załomotało w niej tak głośno, tak mocno, jakby chciało rozsadzić jej głowę?

Nie otwieraj, podpowiadał rozum. Dokładnie tak samo jak upominał ją w Krakowie, gdy słyszała pukanie do drzwi i wiedziała, kto stał po ich drugiej stronie. Lecz tak samo jak wówczas, i tym razem postąpiła na odwrót – otworzyła.

Potrzebowała jednak czasu, by dotarł do niej sens tych słów, a nawet by mogła je odczytać i zrozumieć, litery bowiem skakały jej przed oczami, jakby wykonywały jakiś szalony taniec. Podniosła się i przeszła po pokoju, potem zatrzymała się przy oknie i zapatrzyła w dół ulicy. Na razie przechodniów nie było wielu, zmieni się to za kilka godzin, gdy zapełnią się okoliczne sklepy i kafejki. Ludzie starali się teraz pełnymi garściami czerpać z życia, jakby chcieli w ten sposób powetować sobie stracone podczas wojny lata. I nawet obawa przed panoszącą się grypą nie zdołała ich przed tym powstrzymać. Zbyszek też zawsze mówił, że trzeba korzystać z życia, póki można. Aleksander był podobnego zdania... Dobrze to zapamiętała.

*Najpierw pozwól, że złożę Ci najszczerze wyrazy współczucia – przeczytała i natychmiast zacisnęła palce na kartce. Potem, gdy uspokoiła ich drzenie, ponownie ją rozprostowała. – Nic nie wiem o Waszym wspólnym życiu w Paryżu, ale intuicja mi podpowiada, że były to dla Ciebie dobre lata. Że byłaś szczęśliwa. Lubilem Zbyszka, choć pewnie jemu wcale na tej sympatii nie zależało. Ja jednak ceniłem go za te wszystkie cechy, które nieczęsto się dziś spotyka: za odwagę bycia sobą w każdych okolicznościach, a co za tym idzie – umiejętność życia zgodnie z głoszonymi poglądami. To rzadkie cechy i większość ludzi nigdy się na to nie zdobywa. Niełatwo zachować niezależność, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy najróżniejsze okoliczności wikłają nas w rozmaite układy. On zaś to potrafił, a jakby tego było mało, cieszył się powszechną sympatią. Paradoksalnie także tych, którzy nie podzielali jego poglądów. Z pewnością nie zaliczał mnie do swoich przyjaciół – zbyt wiele okoliczności stało temu na przeszkodzie. Zarazem jednak nie okazywał mi antypatii, przez tyle lat nie doszło między nami do żadnej słownej szermierki, do żadnego konfliktu, potem – jak wiadomo – starannie się omijaliśmy. To jednak oznacza, że nigdy też nie powiedzieliśmy sobie niczego naprawdę ważnego. Nic w tym dziwnego, po prostu chyba nie mogło być inaczej. Mimo to domyślałem się, ile dla niego znaczyłaś. Dał Ci to wszystko, czego ja nie mógłbym Ci zapewnić, i żałuję, wierz mi, szczerze żałuję, że los ponownie okazał się dla Ciebie, a także dla niego, tak nielitościwy. Wiem, że żadne słowa Cię teraz nie pocieszą, dlatego nie obawiaj się, nie będę nawet próbował Ci ich mówić. Zwłaszcza ja – ostatnia osoba, od której gotowa byś była przyjąć takie słowa. Bez obawy, Droga Kuzynko, nie spróbuję wykorzystać sytuacji, by ponownie zaistnieć w Twoim życiu. Nie chcesz tego, przed laty wyjechałaś bez*

*jednego słowa, właściwie uciekłaś, także przede mną. Przyjąłem to do wiadomości. Jeśli teraz postanowiłem odezwać się do Ciebie, to tylko dlatego, by zapewnić o moim wsparciu. I gotowości konkretnej pomocy, jeśli zajdzie taka potrzeba, o ile będziesz sobie tego życzyła.*

Wróciła na swój fotel i oparła głowę o zagłówek. Przymknęła powieki, ale tylko na kilka sekund. Tyle wystarczyło, by mogła wrócić do lektury.

*Nie mam pojęcia, czy nasza „droga” teściowa zdecyduje się wprowadzić w czyn swoje zapowiedzi. Z tego, co mi wiadomo, Klementyna próbowała jej to wyperswadować, lecz nie jestem w stanie się dowiedzieć, czy te starania odniosły jakikolwiek pozytywny skutek. Klementyna nigdy nie miała większego wpływu na matkę, a właściwie trudno tu mówić o jakimkolwiek wpływie. Wiem natomiast, że „kochana mama” była jakiś czas temu mocno zdeterminowana, by przeprowadzić swój zamysł. Szczęściem w nieszczęściu od zamysłu do realizacji droga niekiedy bywa zbyt daleka, a do tego wyboista, podejrzewam też, że tak właśnie byłoby w tym konkretnym przypadku.*

*Wprawdzie teraz, gdy wojna dopiero się skończyła, ekshumacje nie są niczym niezwykłym. O ile mi wiadomo, wiele rodzin stara się złożyć ciało bliskiego poległego w rodzinnym grobowcu albo przynajmniej na cmentarzu w rodzinnej miejscowości, ale w praktyce z wielu różnych względów często okazuje się to niewykonalne. Najważniejszą przeszkodą są tu koszty, ale nawet jeśli założymy, że dla teściowej nie byłaby to aż tak wielka trudność, to przecież są także inne kwestie, których ona zdaje się w ogóle nie brać pod uwagę.*

*Pamiętaj, że nie musisz się jej bać, bo tym razem to do Ciebie należy ostatnie słowo. Jeśli nie wyrazisz zgody na sprowadzenie ciała*

*Twojego męża do Polski, nikt nie da rady zrobić tego wbrew Tobie. Nawet jego matka. A jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie ustępuj jej. Nie licz na to, że Twoja ewentualna zgoda i chęć do zawarcia kompromisu zmieniłaby cokolwiek w jej nastawieniu zarówno do Ciebie, jak i do Twojego dziecka. W pojęciu Marii Burgiewiczowej kompromis oznacza jedynie poddanie się jej woli, jej dyktatowi. Zaś ci, którzy jej ustępują, są przez nią w najlepszym razie lekceważeni, w najgorszym zaś – traktowani z pogardą.*

*Jak już wspomniałem, nie mam teraz możliwości ani okazji, by przekonać się, czy podjęła już jakieś kroki. Z konieczności opieram się więc na plotkach i domysłach, a tak jednym, jak i drugim nie do końca ufam. Nie wiem, czy wysłała do Ciebie jakieś pisma z żądaniami, czy może nawet – jak się podobno odgrażała – pełnomocników występujących w jej imieniu. W to ostatnie nie bardzo zresztą wierzę, ale ponieważ nieraz okazywałem się złym prorokiem i nieraz los ze mnie zadrwił, nabrałem w końcu przekonania, że w życiu niewiele da się przewidzieć, a za to wszystko jest możliwe. Nawet to, co na pierwszy rzut oka wydaje się absurdalne. Toteż raz jeszcze powtórzę, że w razie konieczności jestem gotów do pomocy. Ty zaś postępuj w zgodzie ze swoją własną wolą i niczego się nie obawiaj.*

Ekshumacja? Kinga przez dłuższą chwilę wpatrywała się kompletnie osłupiała w trzymaną w dłoniach kartkę papieru. Od pewnego czasu była przekonana, że ciotka Burgiewiczowa nie może jej już niczym zaskoczyć. Że jest już w stanie przewidzieć każdą jej reakcję, a w razie czego uprzedzić każdy kolejny, oczywiście nieprzyjazny krok. Jakże się myliła! Bardziej już nie mogła. Bo takiego kroku, takiej decyzji ciotki jednak nie przewidziała. Ekshumacja? Pełnomocnicy? Aż jej się w głowie zakręciło i na moment poczuła się jak człowiek, który był przekonany, że dopłył do brzegu rzeki,



ale w chwili, kiedy się zorientował, że nie ma gruntu pod nogami, utracił siły. Była pewna, że doświadczała właśnie tego rodzaju paniki, i dopiero po kilku minutach opanowała lęk i poczucie bezradności. Bo przecież, na litość boską, jak dotąd ciotka Maria nie zrealizowała tych zamiarów. Mało tego – nawet jednym słowem nie dała jej do zrozumienia, że planuje coś podobnego uczynić, a przecież chodziło tu o sprawę nie tylko wielkiej wagi, ale przede wszystkim wymagającą wielu zabiegów i niemałych funduszy. I której z całą pewnością nie mogła przeprowadzić za plecami swojej synowej, tym razem po prostu nie mogła jej zignorować. Dokładnie tak, jak napisał Aleksander.

Zatem Kinga nie widziała powodu, by czegokolwiek się w tej sprawie obawiać, bezsprzecznie była tu górą. Zapewne zresztą Maria Burgiewiczowa miała tego świadomość, skoro od kilku miesięcy, to jest od czasu, gdy Kinga zawiadomiła ją o śmierci syna, nie tylko nie powzięła żadnych kroków, by sprowadzić jego ciało do kraju, ale w ogóle nie odpisała na list synowej. A zatem ktoś – niewykluczone, że jakiś prawnik, może ten, którego zamierzała uczynić swoim pełnomocnikiem – oświecił ją w tej materii, dając jasno do zrozumienia, że bez zgody żony zmarłego nic z tego nie będzie. Kto wie, może ta osoba nawet namawiała doktorową do porozumienia z Kingą, o czym Burgiewiczowa oczywiście nie chciała słuchać i tym samym poddała się walkowerem? Porozumienie z nieuznawaną synową nie mogło wchodzić w grę za żadną cenę.

I bardzo dobrze, że się z tym do mnie nie zwróciła, bo z pewnością bym się nie zgodziła, pomyślała z gniewem Kinga. Aleksander i w tym ma rację – nasza wspólna teściowa nie szanuje tych, którzy gotowi są pójść na ustępstwo wobec jej żądań. W każdym razie, jeśli gotowi są to uczynić zbyt łatwo i zbyt szybko. Po mnie niech się tego nie spodziewa. Niedoczekanie.

Jednak w głębi duszy wcale nie była pewna tej swojej nieprzejednanej, stanowczej postawy. Bo niewykluczone, że gdyby ciotka wyraziła swe

życzenie w inny sposób, na przykład odwołując się do ich wspólnej żałoby, co w jakimś sensie oznaczałoby uznanie jej za synową, a Karolka za wnuka, Kinga byłaby skłonna do kompromisu, nawet daleko idącego. Zarazem jednak wiedziała, że podobne dywagacje nie miały sensu – ciotka przecież nie zamierzała zmieniać zdania – a zatem wszystko będzie tak jak dotąd. Zbyszek zostanie we Francji, wśród swoich towarzyszy broni i wielu innych poległych podczas Wielkiej Wojny. W tym samym kraju, gdzie mieszkają jego żona i syn.

Podbudowana tą myślą, podniosła się z kanapy i udała do kuchni, gdzie Marianne zajęta była właśnie przygotowywaniem gulaszu z warzywami.

– Wszystko w porządku, proszę pani. Obiad będzie gotowy na czas – zapewniła służąca, zerkając na nią przez ramię.

– Jak się miewa François? – zagadnęła Kinga, zupełnie nie odnosząc się do tego, co przed chwilą usłyszała. – Już od dawna o niego nie pytałam... Ani o to, jak Marianne sobie z nim radzi...

Natychmiast odniosła wrażenie, jakby służąca skuliła się w sobie i zadrżała.

– To zrozumiałe, proszę pani – odparła lekko schrypniętym głosem. – Wobec tego nieszczęścia, które spotkało panią, wszystkie inne sprawy i zmartwienia musiały zejść na plan dalszy.

– Mój mąż odpowiedziałby, że życie toczy się dalej. I nie wolno przestać się nim interesować. Ani tymi wszystkimi, którzy są wokół nas – rzekła cicho Kinga.

– Dziękuję, to bardzo uprzejme z pani strony – odparła Marianne, dokładając wszelkich starań, by jej ton był znowu taki jak zwykle. Pełen uszanowania, ale niezdradzający żadnych emocji. A tym samym nie zachęcał do zwierzeń. – François czuje się coraz lepiej. A ja, chwalić Boga, jakoś daję sobie radę. – Nie odwzajemniała spojrzenia swojej pracodawczyni, całą

swoją uwagę skupiając, przynajmniej pozornie, na doprawianiu mięsa. – Nie mam innego wyjścia, proszę pani. A jak się go nie ma, to trzeba jakoś sprostować sytuacji. Od lat niczego innego nie robię – dodała i było to bodaj najbardziej osobiste wyznanie, jakie Kinga do tej pory od niej usłyszała.

Przez chwilę obie milczały, aż wreszcie poruszona do żywego Kinga uznała, że to do niej należy pierwsze słowo.

– Przynajmniej nie zostałam sama – odezwała się cicho. – Twój mąż przeżył i do ciebie wrócił... – Przerwała, bo przestraszyła ją zmiana w wyrazie twarzy służącej. Marianne niemal spiorunowała ją spojrzeniem.

– Nie. To właśnie pani nie została sama – odparła z niezwykłą, jak na nią, stanowczością w głosie. – Ma pani dziecko. W dalszym ciągu ma pani kogo kochać. Ma pani dla kogo się starać. A zarazem może pani liczyć na wzajemność. Nie ma tu miejsca na samotność. – Ponownie odwróciła się i pochyliła nad garnkiem, ale tym razem w nim nie mieszała. Nawet nie wzięła łyżki do ręki.

Kinga początkowo wpatrywała się w nią bez słowa. Najchętniej podeszłaby teraz do pochyłonej nad kuchnią kobiety i położyła dłoń na jej ramieniu, ale zdawała sobie sprawę, że Marianne sobie tego nie życzy. Wobec tego jedynie cicho westchnęła.

– Masz rację, Marianne, dziecko jest najważniejsze. – Zawahała się, czy mówić dalej, jednak w końcu się przemogła. – Ale nie wypełni całego serca. Zwłaszcza że pewnego dnia odejdzie i zacznie własne, niezależne ode mnie życie. Nie zatrzymam go przy sobie na zawsze. Karolek jest jeszcze mały, ale czas tak szybko biegnie... – Sama myśl o takiej perspektywie wystarczająco ją przygnębiła, jednak Marianne potrząsnęła głową.

– Dziecko to dziecko – rzekła z naciskiem. – Nadaje życiu sens. Wiem, co mówię – dodała takim tonem, jakby spodziewała się, że Kinga zaprzeczy. – Miałam dwoje dzieci.

– O! – Kinga nawet nie starała się ukryć zaskoczenia. – Nie wiedziałam... – Nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać.

Marianne skrzywiła się, a w jej na ogół smutnych, przygasłych oczach, zapaliło się nagle światełko.

– Córeczka zmarła zaraz po urodzeniu. Przez kilka lat nie mogliśmy doczekać się kolejnego dziecka, aż w końcu urodził się Dominik. Był takim słodkim malcem, a potem pełnym życia chłopcem. Bystry, zdolny, dobrze się uczył. A przy tym takie żywe srebro, w miejscu nie usiedziało. Podczas zabawy spadł z drzewa i zabił się na miejscu. Dziesięć lat temu. Nic nie mogłam na to poradzić. Naprawdę... nic – dorzuciła, jakby w obawie, że pracodawczyni może wyrazić w tej kwestii inne zdanie.

– Oczywiście, że nic nie mogłaś na to poradzić – pośpieszyła z zapewnieniem Kinga, choć w pierwszym momencie nie była pewna, czy zdoła wydobyć z siebie choćby jedno słowo. – Przecież to był wypadek...

– Ale François był innego zdania! – Marianne ponownie odwróciła się do niej. Jej oczy były pełne łez. – Twierdził, że to było moje zaniedbanie. Że nie przypilnowałam naszego Dominika, choć wiedziałam, że lubił się bawić z tymi małymi nędzarzami z sąsiedniego podwórza. Całe tamto obejście było, przynajmniej w przekonaniu mojego męża, siedliskiem i wylęgarnią najgorszej hołoty. A dzieciaki nieznośne i zawsze gotowe do głupich pomysłów. Może miał rację.

– Nawet tak nie myśl. W ten sposób jedynie dodatkowo się zadręczasz.

– Jak mam o tym nie myśleć?! – Marianne podniosła głos, co w jej przypadku było naprawdę czymś niezwykłym. – Nie ma dnia, abym o tym nie myślała! Z François jest tak samo. Nigdy się z tym nie uporamy. On nigdy nie przestanie mnie winić. Pracował przecież całymi dniami, aby utrzymać naszą rodzinę, i miał prawo wymagać ode mnie, abym w tym czasie należycie zajęła się domem i dzieckiem, a ja go nie dopilnowałam. Nie dość,

że umarło nasze pierwsze dziecko, to jeszcze przez moje niedbalstwo straciliśmy drugie. W jego przekonaniu jestem winna, a do tego zupełnie bezwartościowa jako kobieta, skoro nie mógł się ze mną doczekać więcej dzieci. Zresztą ja sama tak właśnie się czuję. Myśli pani, że poszedł na front, by tak jak pani mąż walczyć za swój kraj? Albo dlatego, że nie mógł dłużej znieść docinków jak inni, którzy nie nosili munduru? Nic podobnego. Poszedł, bo nie chciał już dłużej na mnie patrzeć. Miał nadzieję, że zginie, ale los zgotował mu kolejną okrutną niespodziankę. Bo zamiast pozbawić go życia, uczynił go kaleką i skazał na zależność ode mnie po kres jego lub moich dni. Nie mogło być gorzej, oboje tak myślimy. Jesteśmy na siebie skazani, nie mamy wyboru. Przecież przysięgałam przed Bogiem, że nigdy go nie opuszczę, że na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie... aż do końca życia. No i ludzie nigdy by mi nie wybaczyli, gdybym teraz opuściła męża, który walczył na froncie i został ciężko ranny.

– Marianne – odezwała się bezradnie Kinga, uznawszy, że wypada wtrącić jakąś uwagę. – Bardzo mi przykro... – Poza wyświechtanymi formułkami nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Och, proszę nie myśleć, że aż tak bardzo przejmowałam się opiniami innych ludzi. – Marianne ponownie się skrzywiła. – Przeszłam wystarczająco wiele, by nie przywiązywać wagi do ludzkiego głędzenia. I bez tego sama wiem i rozumiem, że opieka nad chorym mężem jest moją powinnością. Skoro nie odeszłam od niego, gdy był jeszcze zdrowy i silny, teraz tym bardziej tego nie zrobię. A jeśli już liczę się z czymkolwiek zdaniem, to tylko z opinią sióstr. Od początku były przeciwne mojemu małżeństwu, bo uważały, że François nie zapewni mi szczęścia. Dostrzegały w nim te wszystkie cechy, których ja wtedy widzieć nie chciałam. Ich przewidywania sprawdziły się co do joty, ale to nie znaczy, że jestem gotowa przyznać się przed nimi do przegranej, a tak właśnie by było, gdybym go opuściła.

– Bardzo mi przykro – powtórzyła Kinga, bo i tym razem lepsza odpowiedź nie przyszła jej do głowy. Wyznanie Marianne szczerze ją zasmuciło, tłumaczyło też, dlaczego była tak skryta, zamknięta w sobie, a zarazem niechętna, by wchodzić w bliższe relacje z ludźmi.

– Ale pewnie nie powinnam się skarżyć – podjęła Marianne po krótkiej chwili milczenia. Wyglądało na to, że zdołała się już opanować. Może nawet żałowała swej wylewności. – Ma pani rację, ludziom zdarzają się gorsze nieszczęścia. A to przecież pani nosi żałobę, nie ja... – Zawiesiła głos, co mogło sugerować, że poczuła się niezręcznie. – Proszę mi wybaczyć, jeśli niechcący uraziłam panią moim uzalaniem się nad sobą.

– Nie uraziłaś mnie, Marianne – odparła łagodnie Kinga, lecz spostrzegłszy, że służąca skinąwszy jej głową, ponownie pochyliła się nad garnkiem, cofnęła się do drzwi. Jednak nie wyszła, bo już w progu przyszło jej do głowy, że przecież przyszła do kuchni w bardzo konkretnym celu. Nie chciała być teraz sama, potrzebowała towarzystwa drugiego człowieka. Potrzebowała rozmowy, a poza Marianne nie miała teraz nikogo innego. Obie były samotne, czemu więc miałyby się nie zrozumieć? Wszystkie dzielące je różnice nie miały już znaczenia.

– Matka mojego męża chciałaby zabrać go do kraju – rzekła cicho, wiedziona jakimś impulsem.

Marianne przestała mieszać w garnku i rzuciła jej uważne spojrzenie, w którym przede wszystkim kryło się zdumienie spowodowane tak zaskakującym wyznaniem.

– To znaczy... chciałaby ekshumować... – sprostowała Kinga, ale jak się okazało, dodatkowe wyjaśnienie nie było potrzebne.

– Napisała do pani? Prosiła o to?

Kinga potrząsnęła głową. Sama myśl, że ciotka miałaby ją o cokolwiek prosić, omal nie przyprawiła ją o śmiech. Gdyby oczywiście była w stanie się

teraz roześmiać.

– Za nic by do mnie nie napisała – odparła – Nie zwróciłyby się do mnie ani z prośbą, ani z żądaniem. Nawet w takiej sprawie. To jej zięć zawiadomił mnie, że powinnam się liczyć z pismem lub nawet wizytą jakichś prawników, którzy mieliby mnie nakłaniać do wyrażenia zgody na... – Tym razem słowo „ekshumacja” utknęło jej w krtani.

– Zgodziłyby się pani na to? – Marianne nie spuszczała z niej wzroku.

– Mowy nie ma. – Nagle Kinga nabrała ochoty, by powiedzieć tej kobiecie coś więcej o sobie. – Pamiętasz, kiedyś ci wspominałam, że moja teściowa jest zarazem moją ciotką. Ja i mąż byliśmy bliskimi kuzynami. Ciotka sprzeciwiała się naszemu małżeństwu.

– Pamiętam – odparła Marianne, sięgając po ścierkę do wycierania naczyń. – Zresztą pani mąż też mi o tym opowiedział.

– Zbyszek? – szepnęła z niedowierzaniem Kinga, lecz zaraz potem przyszło jej do głowy, że nie powinno jej to zdumiewać. Że to bardzo podobne do Zbyszka. Zawsze łatwo nawiązywał kontakty z ludźmi, czy to z arystokratą, czy z ekscentrycznym poetą, czy chociażby ze służbą. Ot, typowy brat łąta. Za to był powszechnie lubiany. Już jakiś czas temu odniosła wrażenie, że nawet tak zamknięta w sobie i ponura osoba jak Marianne także darzyła go sympatią.

– Tak – potwierdziła służąca. – To było wtedy, gdy urodził się Charles. Pan był taki... uradowany. – Na krótką chwilę jej smutna twarz rozjaśniła się nikłym uśmiechem. – Poczęstował mnie wyśmienitym Bourbonem i powiedział, że dla pani był i zawsze będzie gotowy na wszystko. Także na rzucenie wyzwania własnej rodzinie. Pomyślałam o François; nigdy nie mogłam liczyć na to samo z jego strony, nawet wtedy, gdy jeszcze żył nasz syn. I pewnie dlatego podkusiło mnie, by zapytać pana o jego matkę. Czy mu jej czasem nie żal, tak to jakoś ujęłam. Zaraz zresztą uznałam, że się

zagalopowałam i przeprosiłam, ale on się wcale nie rozgniewał. Nie powiedział, że to nie moja sprawa ani nic takiego. Odparł wesoło: „Marianne nie zna mojej matki, poradzi sobie, to twarda sztuka”. A potem dodał, że wszystko się jeszcze ułoży. Że matka pokocha wnuka i pogodzi się z synową. Potrzebuje tylko czasu, ale nie ma innego wyjścia, tak właśnie powiedział.

Kinga nie odpowiedziała, nie była w stanie tego zrobić. Łzy uwięzły jej w gardle, ale oczy na szczęście miała suche. Zdobyła się jedynie na słaby uśmiech, tak samo nikły jak u służącej. Skinęła lekko głową i bez słowa opuściła kuchnię.

Była pewna, że gdy tylko znajdzie się w swojej sypialni, nie powstrzyma już łez, nawet nie będzie się o to starała, jak się jednak okazało – i tym razem nie popłynęły. Zamiast tego poczuła spokój, taki, jakiego nie doświadczała od wybuchu wojny, a już na pewno nie od tego dnia, gdy Zbyszek oznajmił, że wstępuje do polskiego wojska.

Usiadła do biurka i sięgnęła po leżące na nim kartki. Jeszcze kilkanaście minut temu nawet się nie zastanawiała, czy w ogóle odpowiedzieć na list Aleksandra. Na jaki adres miałyby go wysłać? Przecież nie domowy, skoro przed laty obiecała Klementynie, że zerwie wszelkie kontakty z jej mężem. Nawet korespondencyjne. Teraz jednak uznała, że wyjątkowo złamie tę obietnicę. Pozostawał adres szpitala, tak jak kiedyś. Na samą myśl o tym skrzywiła się, ale zaraz potem wzruszyła ramionami. Mniejsza z tym, pomyślała. Teraz to przecież i tak bez znaczenia. Liczyło się tylko jedno – aby wreszcie naprawdę definitywnie zamknąć tamte drzwi.

*Dziękuję za kondolencje i wszystkie miłe słowa pod adresem Zbyszka – zaczęła oficjalnie, bez żadnego wstępu. – Dziękuję też za ostrzeżenia w kwestii ewentualnych roszczeń mojej teściowej. Jak dotąd w żaden sposób nie dała mi znać, że zamierza podjąć starania*



*o ekshumację, a upłynęło już trochę czasu, odkąd do niej napisałam. Oczywiście w pełni zgadzam się z Tobą, że potrafi ona zaskakiwać swoimi pomysłami, nie oznacza to jednak, że jest w mocy zrealizować każdy. Tak jak sam napisałeś, Maria Burgiewiczowa przynajmniej w tej jednej sprawie jest zupełnie bezradna i uzależniona od mojej woli. Niewykluczone zresztą, że ma tego świadomość, skoro jak dotąd nie dzieje się nic, co mogłoby mnie zaniepokoić. Tak czy inaczej, potrafię sobie z nią poradzić. Jestem Ci wdzięczna za gotowość do pomocy, ale sądzę, że jeśli rzeczywiście zajdzie taka konieczność, zdołam sprostać sytuacji.*

Potem, gdy wracała już z poczty, uzmysłowiła sobie, że nie napisała słowa o sobie, o swoim synu, o tym, jak się oboje czują i jak teraz wygląda ich życie. A ponieważ dała Aleksandrowi do zrozumienia, że nie jest zainteresowana dalszą wymianą korespondencji, nie zadała mu też żadnych pytań o Klementynę, o dzieci. Mój Boże, przecież to już nie są te szkraby, które zapamiętała, lecz właściwie dorośli ludzie, dla których ona jest zupełnie obcą osobą, o Karolku nawet nie wspominając. Nie zapytała też, jak jej krewni przetrwali wojnę i jak im się teraz wiedzie. On zresztą także słowem o tym nie wspomniał, ale niewykluczone, że jego list był swego rodzaju wstępnym rozpoznaniem, nieśmiałym wyciągnięciem ręki. Jakby chciał się zorientować, czy była gotowa wyjść mu naprzeciw.

Jeśli faktycznie taki cel mu przyświecał, ton jej odpowiedzi – chłodny, wyważony, niemal urzędniczy – raczej pozbawił go wszelkich złudzeń.

Może nie zdobyłaby się na to, gdyby wcześniej nie poszła do kuchni, by porozmawiać z Marianne. Gdyby nie usłyszała jej wyznania. I słów, które odnosiły się do Zbyszka.

## ROZDZIAŁ 13

– No i co? Maria Burgiewiczowa nie odezwała się do ciebie? Choćby przez pośredników? – Gajewska zadała to pytanie takim tonem, jakby w gruncie rzeczy znała już odpowiedź. W każdym razie jej głos nie zdradzał najmniejszych oznak zaniepokojenia.

– Nie – zaprzeczyła z uśmiechem Kinga.

– A... on? – Tym razem w głosie Gajewskiej pojawiło się lekkie napięcie.

– On? – powtórzyła Kinga, choć zgadła, o kogo chodzi.

– Odezwał się jeszcze do ciebie? Korespondujecie? – Gajewska nie spuszczała z niej wzroku.

– Nie – odparła spokojnie Kinga, po czym uśmiechnęła się jeszcze promienniej. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś. Patrzę na ciebie, słucham twojego głosu, lecz co jakiś czas muszę się uszczypnąć i przekonać, że to nie sen.

– To nie sen – potwierdziła pogodnie Gajewska i rozejrzała się wokół. Siedziały w ogródku kawiarnianym, przy Boulevard des Capucines. – Jest tak jak na obrazie Moneta.

– Monet? – parsknęła Kinga. – Czy wiesz, przez co przeszedł zarówno on, jak i jego przyjaciele, zanim wreszcie zdobyli jakie takie uznanie?

– Wiem, choć mnie nie udało się zdobyć ani sławy, ani choćby uznania.

– Uznanie zdobyłaś.

– Dajmy temu spokój. – Amelia lekceważąco machnęła dłonią i sięgnęła po kieliszek. – Stare dzieje. Inna epoka.

– To prawda – przyznała Kinga. – Inna epoka...

Przy sąsiednim stoliku rozległ się wesoły śmiech, który zabrzmiał niczym potwierdzenie tych słów. Podobnie jak siedząca obok grupka dziewcząt ubranych w sukienki do kolan, jedna z nich miała na sobie spodnie, ostrzyżonych według najnowszej mody, z papierosami w dłoniach. Wszystkie zachowywały się swobodnie, paplały jedna przez drugą i zupełnie nie przejmowały się konwenansami – rzecz nie do pomyślenia w czasach, gdy Kinga była w ich wieku, o Amelii już nawet nie wspominając. Z sąsiedniego lokalu dobiegały rytmiczne dźwięki fokstrota. Czerwcową aurą zwabiła na ulice tłumy spacerowiczów.

– Miło popatrzeć, jak życie odradza się po wojnie – wtrąciła Amelia, ale zerknąwszy na Kingę, przerwała zmieszana.

– Tak, mnie też to pociesza. – Kinga uspokajająco poklepała ciotkę po dłoni. – Nic nam nie zwróci naszych poległych, ale ci, co przeżyli, muszą się postarać iść do przodu. Nawet ta piekielna grypa w tym nie przeszkodzi. A konferencja pokojowa jest dodatkowym bodźcem pomagającym odrodzić się temu miastu.

– Cieszę się, że osobiście mogę się o tym przekonać. – Amelia uścisnęła dłoń bratanicy. – Ale przede wszystkim dlatego, że widzę ciebie. I twoje dziecko.

Odkąd trzy dni temu przyjechała do Paryża, zdążyła to już powtórzyć kilkanaście razy. Przez pierwsze godziny jednak głównie milczały – napawały się swoim widokiem – dopiero potem rozwiązały im się języki i rozmowom nie było końca, choć towarzyszyła temu świadomość, że i tak nie zdołają powiedzieć sobie wszystkiego. Dwa tygodnie to zdecydowanie

zbyt krótki czas.

– Zostań ze mną dłużej – poprosiła Kinga. – Zostań tu na zawsze. Nic cię tam nie trzyma. Nie masz tam nikogo. A tu przynajmniej byłybyśmy razem.

Gajewska uśmiechnęła się zdawkowo, ale przestała wodzić rozmarzonym wzrokiem po ulicy.

– Już ci to wyjaśniłam – przemówiła tonem łagodnej perswazji, jakby zwracała się do dziecka. – Moje miejsce jest w Krakowie. Starych drzew się nie przesadza, nie słyszałaś o tym? To mądre ludowe porzekadło. I wcale nie jest tak, że nic i nikt mnie tam nie trzyma.

– Przywykłybyś do Paryża...

– Dawniej może tak. A może i nie. Trudno mi o tym wyrokować. Teraz jednak nie mam żadnej wątpliwości, że tęsknota by mnie zabiła. Bez spacerów po Plantach, bez widoku wieży kościoła Mariackiego z okien, wreszcie bez mojego ukochanego teatru, przyjaciół, wycieczek do Zakopanego życie straciłoby wszelki powab. Przecież i ty za tym tęsknisz, nie zaprzeczaj.

– Nic podobnego – skłamała Kinga, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Gajewska jej nie uwierzyła.

– To raczej ty powinnaś tam wrócić. Po raz kolejny powtórzę, że to tam, w naszym kraju, jest twoje miejsce. I twojego syna.

– A przed laty sama namawiałaś mnie do wyjazdu do Paryża – roześmiała się sztucznie Kinga. – Niemal mnie stamtąd wypchnęłaś.

– To była inna sytuacja. Inne realia. A teraz mamy swoje własne państwo. – Amelia zawahała się, jakby ostrożnie badała grunt przed wykonaniem kolejnego kroku. – Twój mąż za nie walczył i zginął.

– Nie mogę tam wrócić – sposepniała Kinga. – Już ci to przecież kiedyś wyjaśniłam.

– Pamiętam. – Amelia z powagą patrzyła jej w oczy. – Ale twoje

wyjaśnienia mnie nie przekonały.

Nie muszę się przed nią tłumaczyć, zżymała się w myślach Kinga. Zresztą i tak bym jej nie przekonała. Powtarza wciąż, że tam jest nasz kraj, jakby poza tym argumentem nie istniał już żaden inny. A przecież jest inaczej, przynajmniej w moim przekonaniu.

– Z mojego punktu widzenia sytuacja i realia są pod pewnymi względami wciąż takie same – rzekła na głos.

– Tylko dlatego, że nie byłaś tam od dziesięciu lat – podjęła pośpiesznie Amelia. – A wystarczy, że tylko tam się znajdziesz, od razu poczujesz się jak u siebie. Powtarzam, że nie wierzę, byś za tym wszystkim nie tęskniła.

– Nie o to chodzi – zniecierpliwiła się Kinga. Obejrzała się na kelnera, ale akurat wszyscy byli zajęci. – Są inne sprawy. Powody, dla których kiedyś wyjechałam, wciąż pozostają takie same.

Z głośnym trąbieniem tuż obok przejechał samochód. Pobliskim trotuarem przeszła grupa wojskowych, których obie bezwiednie odprowadziły wzrokiem.

– Wciąż chodzi o tego mężczyznę, tak? – westchnęła Amelia. – Nie musisz mi się z tego tłumaczyć, znam to uczucie, ale...

– Nie ma już mowy o żadnym uczuciu, przynajmniej z mojej strony! – uniosła się Kinga, ale spostrzegłszy, że kilka osób przy sąsiednich stolikach przyglądało jej się ciekawie, ściszyła głos. – Ale w pewnym sensie masz rację, bo właśnie z jego powodu nie powinnam się tam pokazywać. A o powrocie na stałe nie ma mowy. Nie chcę tego – podkreśliła z naciskiem, spostrzegłszy, że Amelia zamierzała zaprotestować. – Mam tu również na względzie moją kuzynkę i jej dzieci. A także ciotkę, która nie chce mnie znać. Ale najważniejszy jest Zbyszek. Miałabym go tu zostawić zupełnie samego? Z daleka od reszty rodziny?

Zerknęła na zegarek, a potem skinęła na kelnera. Niedługo Karolek

skończy zajęcia, najwyższy czas pójść w kierunku jego szkoły.

Przez dobrych kilka minut szły w milczeniu, lecz wokół nich panował gwar, tętniło życie. Bulwary, place i ulice były pełne ludzi. Roześmianych, podekscytowanych, czymś zaaferowanych lub dla odmiany pogrążonych we własnych myślach, tak jak one.

– Miałabyś zatem dobry powód, by go stąd zabrać – odezwała się wreszcie Amelia, a podchwyciwszy spojrzenie bratanicy, dodała: – Mam na myśli twojego męża. Ekshumacja miałaby sens, gdybyś zdecydowała się wrócić do Polski. Jego matka z pewnością by to doceniła, nawet gdyby jeszcze przez jakiś czas udawała, że wciąż się boczy. W końcu okazałaby ci wdzięczność. I kto wie, może tym samym uznałaby zarówno ciebie, jak i swojego wnuka. To nawet bardzo prawdopodobne.

– Nie znasz jej – mruknęła Kinga. Słowa Amelii zdążyły już jednak zrobić swoje, ponownie zachwiały jej odbudowaną z takim mozolem pewnością siebie. A przede wszystkim pewnością co do podjętej już dawno decyzji. – Ona liczy się tylko z tymi, którzy stawiają jej opór – dodała, mimowolnie powołując się na argument Aleksandra.

– Nawet w takiej sprawie?

– W każdej sprawie. Zresztą cokolwiek bym zrobiła albo czegokolwiek nie zrobiła, nie ma to już większego znaczenia. Nienawidzi mnie i będzie nienawidziła do końca.

– Bo wbrew jej woli poślubiłaś jej syna?

– To też. Uważa, że zrobiłam to z wyrachowania i w rezultacie doprowadziłam do jego śmierci. Bo gdyby nie ja, nigdy nie opuściłby kraju. Jest pewna, że wykorzystałam jego miłość i oddanie, nie odpłacając mu tym samym. – Nagle Kinga odniosła wrażenie, jakby opuściły ją wszystkie siły. – Jej zdaniem postąpiłam identycznie jak kiedyś moja matka – dodała stłumionym głosem.

– Skąd wiesz, że tak myślisz? – spytała Gajewska. W jej spojrzeniu były teraz powaga i skupienie. – Przecież od wielu lat nie zamieniłyście ze sobą słowa.

– Rozmawialiśmy na dzień przed moim wyjazdem do Paryża. Odwiedziła mnie u Adamskiej. I raz do mnie napisała... Wtedy gdy Zbyszek zawiadomił ją o naszym ślubie. Potem już mnie ignorowała, ale i tak bez trudu zgaduję, co o mnie myślisz. Zwłaszcza teraz, gdy on nie żyje.

– Nie pisałaś, że odwiedziła cię u Adamskiej – rzekła cicho Amelia.

Kinga wzruszyła ramionami i spojrzała w niebo, nie zważając na oślepiające słońce.

– Nie – odparła głucho.

– No, już dobrze. To przecież twoja sprawa, nie o wszystkim musisz mi mówić. – Amelia ujęła ją pod ramię, ale Kinga delikatnie, acz stanowczo, uwolniła swoją rękę.

– Rozmawialiśmy o mojej matce – rzekła. – I o wuju Stefanie. A także o moim ojcu.

– Przecież już o tym wiedziałaś. Ode mnie. – Tym razem w głosie Amelii dało się usłyszeć niepokój i napięcie. W każdym razie Kinga natychmiast je wychwyciła. – A zatem nie powinnaś była czuć się zaskoczona.

– A jednak tak się poczułam. Nie powiedziałaś mi wszystkiego, ciciu Amelio. Ale wytłumaczyłam sobie, że albo o niektórych sprawach nie wiedziałaś, albo uznałaś, że dla mojego dobra nie warto już do nich wracać. Zresztą sama przez jakiś czas uważałam, że nie warto. I dopiero śmierć Zbyszka to zmieniła.

– A także list od Aleksandra Jankiewicza – dopowiedziała Gajewska.

– Wiedziałaś, że matka po śmierci mojego ojca ponownie wdała się w romans z wujem Stefanem? Choć od paru dobrych lat był już mężem jej siostry? – podjęła Kinga, w ogóle nie odnosząc się do ostatniej uwagi ciotki.

Amelia jednak nie wyglądała na zmieszaną ani na stropioną. Raczej tak, jakby spodziewała się tego pytania, tej wymówki.

– Nie byłam pewna – odparła bez śladu wcześniejszego napięcia w głosie. – W tym czasie widziałam go dwa razy. Raz w towarzystwie twojego dziadka, gdy obaj wchodzili do kamienicy, w której mieszkała. Za drugim razem był już sam. Szedł od stacji w kierunku jej domu, nie zauważył mnie. Nawet mnie to zastanowiło, zwłaszcza że wiedziałam, co ich wcześniej łączyło, ale gdy kilka dni później spytałam Klarę, czy w jej rodzinie wydarzyło się coś niezwykłego, bardzo się zdziwiła. Kiedy wyjaśniłam, że widziałam jej szwagra, jakby się trochę zmieszała, ale zaraz zapanowała nad sobą. Odparła, że jej ojciec trochę niedomagał, ale już czuje się lepiej. Jakby taka odpowiedź cokolwiek wyjaśniała!

Zbliżały się już do imponującego gmachu opery, z pobliskiej kępy drzew dobiegły ich ciche trele ptaków, jakby onieśmielonych panującym wokół zgiełkiem. Zupełnie niespodziewanie dla siebie samej Kinga pomyślała o rozśpiewanych o tej porze roku krakowskich Plantach i była niemal pewna, że ciotka także miała podobne spostrzeżenia. Żadna z nich jednak nie zrobiła uwagi na ten temat.

– Było mi niezręcznie drążyć sprawę wizyt jej szwagra – kontynuowała Amelia. – Wyraźnie dała mi do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Potem zobaczyłam go dopiero na jej pogrzebie. W jego zachowaniu, mimice, gestach nie było niczego, co mogłoby go wyróżniać z grona innych żałobników. Taka sama niewzruszona powaga cechowała też jego żonę. I tylko twój dziadek sprawiał wrażenie zrozpaczonego i przybitego. Ty byłaś za mała, by w pełni to zrozumieć. Potem przychodziło mi czasem do głowy, że doktor Burgiewicz z oczywistych względów nie chciał uzewnętrzniać tego, co wtedy czuł. Ale nie miałam na to dowodów, dlatego wkrótce przestałam o tym myśleć. Zwłaszcza że ty na długie lata zniknęłaś mi z pola



widzenia.

Odwróciła się, by raz jeszcze rzucić okiem na budynek opery paryskiej. W jej spojrzeniu kryły się zachwyt i zaduma. Kinga była pewna, że ciotka miała dość bolesnych wspomnień, dlatego uznała, że da jej już spokój. Obie przecież czekały na tę odkładaną wizytę, obie za sobą tęskniły, a przyjazd do Paryża miał być dla Gajewskiej spełnieniem dawnych marzeń, nie zaś kolejną okazją do rozdrapywania starych ran. Jak się jednak okazało, Amelia wcale nie zamierzała zmieniać tematu.

– Maria Burgiewiczowa była jednak w innej sytuacji niż ja – rzekła, nie odrywając oczu od opery. – Ona nie straciła cię z pola widzenia. Wzięła cię na wychowanie, twoja obecność stale przypominała jej o przeszłości. A to utrudnia złapanie koniecznego dystansu. Przypominałaś jej Klarę, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, bo i ze mną później było tak samo. Ja jednak zyskałam czas, by się uporać ze wspomnieniami... Ona nie dostała takiej szansy. A twój wuj niczego jej nie ułatwiał. Z twoich opowieści wynikało, że zawsze okazywał ci daleko idącą życzliwość i zainteresowanie, a także wszystkie te względy, których odmawiał żonie. Czuła się przez niego lekceważona. A przy tym miała pełną świadomość, że nigdy nie przestał myśleć o Klarze. Niełatwo jest z tym żyć, mogę sobie wyobrazić, jak było jej trudno. I ty mogłabyś czasem spróbować... postawić się na jej miejscu, oczywiście jedynie w wyobraźni.

– To jej nie tłumaczy – oburzyła się Kinga. – Jej zachowanie wobec mnie, gdy mieszkałam pod jej dachem, gdy byłam dzieckiem...

Amelia westchnęła, ale przynajmniej ponownie zwróciła się w jej stronę. Ponownie też ujęła ją pod ramię, a choć również i tym razem obruszona Kinga chciała się uwolnić, ostatecznie jednak powstrzymała ten odruch.

– Oczywiście, że jej to nie tłumaczy – Gajewska znowu westchnęła – ale z drugiej strony nie jesteś już tamtym małym dzieckiem ani czupurną

pannicą. Jesteś dorosłą kobietą, doświadczoną przez życie. Chyba możesz postarać się ją zrozumieć. Nie chodzi tu zaraz o odpuszczenie wszystkich grzechów, lecz... właśnie zrozumienie. Wtedy będzie ci z tym wszystkim łatwiej.

– Łatwiej? – skrzywiła się Kinga. Nie podobała jej się ta przemowa. – Niby z czym miałyby mi być łatwiej? – dodała zuchwale, dokładnie tym samym tonem, jakim czasem przemawiała do Tomaszowej.

– Porozumieć się z nią – odparła zupełnie niezrażona Gajewska. – Chyba już najwyższy czas spróbować to zrobić. Ja na twoim miejscu już bym z tym nie zwlekała.

Kinga wzruszyła ramionami. Od dawna miała własne zdanie o dobrych radach, których żadną miarą nie można było zastosować w praktyce.

– Gdybyś była na moim miejscu, wiedziałabyś, że nie da się tego przeprowadzić – odparła chłodno.

– Nawet nie spróbujesz?

Jest niemożliwa, zniecierpliwiła się Kinga. Przybyło jej trochę siwych włosów na głowie i zaokrągliła się na twarzy, ale poza tym nic a nic się nie zmieniła. Te gesty, pozy, mimika i pomysły... Wszystko pozostało takie samo jak przed laty.

– Tobie wciąż się wydaje, że życie to teatr, sztuka, w której wszystko jest możliwe, nawet najbardziej nieprawdopodobne rozwiązanie. A w razie potrzeby zawsze można pokusić się o improwizację.

– Bo to prawda – odparła pogodnie Gajewska. – Takie właśnie jest życie.

## ROZDZIAŁ 14

Amelia opuściła Paryż w połowie lipca. Dwa tygodnie wcześniej w Sali Zwierciadlanej pałacu w Wersalu odbyła się uroczysta gala, podczas której podpisany został traktat pokojowy. Dawna, przedrewolucyjna siedziba francuskich monarchów otworzyła swoje podwoje przed delegacjami Niemiec, państw ententy i krajów sprzymierzonych, a fakt ten, szeroko omawiany zarówno w prasie, jak i w prywatnych rozmowach, jedni przyjęli z nadzieją, że świat będzie teraz lepszy i bardziej sprawiedliwy, inni przeciwnie, żywili co do tego wątpliwości. Niemniej w przekonaniu dużej części raczej niezbyt wyrobionej politycznie opinii publicznej najbardziej liczyło się to, że podpisane traktaty ostatecznie kończyły wojnę, bo choć od listopada poprzedniego roku obowiązywało zawieszenie broni, to w sensie formalnym dopiero układ pokojowy miał tu najwyższą moc wiążącą.

Gajewska, pilnie obserwująca rozwój wydarzeń, podeszła do nich z dużą wstrzeźliwością i umiarkowanym optymizmem.

– W znacznej części Europy większość tych ustaleń zapewne i tak się nie utrzyma, bo mało kto je zaakceptuje – oświadczyła ze spokojem. – Węgry straciły dwie trzecie przedwojennego terytorium, podobnie Austria. Nie mówiąc o Niemcach, którzy z pewnością nie udźwigną tych wszystkich obostrzeń, kar i konieczności zapłaty reparacji wojennych.

– Chyba nie zamierzasz ujmować się za Niemcami i ich sojusznikami? –

spytała, wzruszając ramionami, Kinga. Wprawdzie nie czuła się wystarczająco kompetentna, by analizować niuanse polityki zagranicznej, niemniej nie widziała powodów, by wybaczyć i darować cokolwiek państwu centralnym, z Niemcami na czele. Zbyt żywe było w jej pamięci to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich lat, w tym dwie przerażające ofensywy na Paryż, ostrzał miasta z potężnych niemieckich dział, a przede wszystkim śmierć tych wszystkich ludzi, których kiedyś znała, i tych, którzy pozostali dla niej anonimowi, choć widziała ich nazwiska na listach poległych. Zarówno jedni, jak i drudzy pozostawili po sobie rozpacz i łzy swoich bliskich, a także niemożliwą do wypełnienia lukę. I pomimo że Paryż, podobnie jak wiele innych miast w Europie, ponownie wrócił do życia, ponownie się bawił i starał się odbudować swój przedwojenny blichtr, nadal na każdym kroku można w nim było dostrzec oznaki żałoby – wciąż wielu ją nosiło i nie wyglądało na to, by zamierzali ją kiedykolwiek zdjąć. Wprawdzie akurat ona odwiesiła już czarne suknie do szafy, ale zrobiła to głównie ze względu na Karolka, którego dodatkowo przygnębiały jej żałobne stroje. Nie znaczyło to jednak, by wyzbyła się żałoby z serca. – Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle unicestwiłabym Niemcy. Tak zresztą uważają niemal wszyscy Francuzi – dodała z goryczą.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś była jedną z nich. – Na twarzy Amelii pojawiło się niezadowolenie. – A przecież nie jesteś. Nie zapominaj o tym.

– Przede wszystkim nie zamierzam zapomnieć, z czyjej ręki zginął Zbyszek – odparła wzburzona Kinga.

Amelia zawahała się, a jej spojrzenie złagodniało.

– Wiem o tym – rzekła. Przez moment zastanawiała się, czy dodać coś jeszcze, czy jednak dać już temu spokój, aż wreszcie się przemogła. – Zginął jak miliony innych mężów, ojców, braci i synów. Na wszystkich frontach, po obu stronach. Wiem, że to nie ukoji twojego bólu, podobnie zresztą jak nie

pocieszę żadnej z pogrążonych w żałobie kobiet, ale... nic już tego nie zmieni. Teraz najważniejsze jest, by to się nigdy nie powtórzyło. A niewykluczone, że jednak się powtórzy, skoro pokonani mają poczucie, że ponieśli zbyt dużą, właściwie nawet niemożliwą do udźwignięcia karę, wobec czego będą dążyć do odwetu. Obyś nie musiała w przyszłości odprowadzać na front swojego syna.

– Przestań – przerwała jej zduszonym głosem Kinga i Gajewska umilkła, a potem zaczęła mówić na zupełnie inny temat, niemający nic wspólnego z wojną ani z polityką.

Obie jednak nie czuły się z tym komfortowo, jakby pojawiła się między nimi jakaś bariera, która nie pozwalała im zbliżyć się do siebie. I dopiero w dniu wyjazdu, już na wypełnionym pasażerami peronie, Amelia nieśmiało zagadnęła:

– Nie chciałam cię zranić ani obrazić – rzekła cicho. – Pewnie nie powinnam była tego wszystkiego mówić. Nie chcę wyjeżdżać z myślą, że coś między nami się zepsuło.

– Nic podobnego, nawet mi to do głowy nie przyszło – zaprzeczyła szybko i niezupełnie zgodnie z prawdą Kinga. Dlatego, by zatrzeć wrażenie nieszczerości, dodała: – Nie myśl już o tym. Mam nadzieję, że będziesz miała spokojną podróż.

– A ja mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. – Gajewska odwzajemniła uścisk. – I nie będziemy na to czekać kolejnych dziesięć lat.

– Oczywiście. Zawsze jesteś tu mile widziana – zapewniła Kinga, choć wiedziała, że ciotka nie miała na myśli swojej kolejnej podróży do Paryża. Że marzyła o innym miejscu ich kolejnego spotkania.

Nie mogę się tam pokazać, przynajmniej tobie nie muszę tłumaczyć dlaczego, myślała, stojąc następnego dnia nad grobem męża. Po wyjeździe Amelii nie mogła sobie znaleźć miejsca w domu, toteż, wykorzystując lotnię

przerwę od zajęć szkolnych, postanowiła zabrać syna do Szampanii. W przeciwieństwie do słonecznej aury, jaka panowała od kilku tygodni, tego właśnie dnia zrobiło się pochmurno, nadal jednak było bardzo ciepło, bezwietrznie. I choć wbrew obawom Kingi deszcz nie zaczął padać, to jednak ponura, duszna aura doskwierała im obojgu. Zarówno na samym cmentarzu, jak i wokół niego panowała przygnębiająca cisza; w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Jeszcze kilka miesięcy temu, zaraz po wojnie, nie brakowało tu odwiedzających, odbyło się nawet kilka podniosłych uroczystości, czas jednak robił swoje, powoli oswajano się z bólem i godzono z tym, czego nie można już zmienić.

Ze mną też tak będzie, westchnęła w duchu Kinga. Nadal brakowało jej go na każdym kroku, ale czuła, że powoli przyzwyczajała się do tego, że go nie ma. Czy nie za szybko?

Przecież było im ze sobą dobrze. Wielokrotnie zapewniał ją, że jest szczęśliwy. I nie tylko ją, bo także innych, w tym Marianne. Nie ukrywał tego również przed swoją matką i siostrą; zależało mu, by bez względu na wszystko miały tego pełną świadomość.

Ale na pewno w to nie uwierzyły, dumiała smętnie Kinga, nie odrywając oczu od białego krzyża, stojącego w równym szeregu z innymi krzyżami. Bo twoja matka stale widziała we mnie swoją siostrę. Jej zdaniem zrobiłam to samo, co tamta. Jest przekonana, że tak jak Klara wykorzystałam bezwarunkową miłość drugiego człowieka, nic w zamian z siebie nie dając, za to przyczyniając się do jego przedwczesnej śmierci. A w moim przypadku chodziło o jej syna. Zatrute drzewo może wydać tylko taki sam owoc. Twoja matka nigdy nie przestanie tak myśleć.

Potrząsnęła głową. Ciotka się myliła. Ona, Kinga, nie była taka jak jej matka, potrafiła się zatrzymać, przerwała tamto szaleństwo i nie zawróci już z tej drogi. Dlatego nie pojedzie do Polski, choćby z najkrótszą wizytą, i to

pomimo że wizyta Amelii poruszyła w niej jakąś strunę, jakby tęsknotę, melancholię, ciekawość. Nie zaryzykuje spotkania z nim. Nie dlatego, że mogłoby się okazać pokusą czy też pułapką – nie zrobi tego przez wzgląd na Klementynę, Krzysia, Anetkę. A także – poniekąd – przez wzgląd na ciotkę. Już dawno postanowiła, że nie spotka się z Aleksandrem. Dała mu to do zrozumienia w odpowiedzi na jego ostatni list. I zamierzała trzymać się postanowienia. Dużo łatwiej jednak będzie to wykonać tu, we Francji.

Zerknęła na Karolka – przestępował już z nogi na nogę. Przedłużająca się wizyta na cmentarzu zaczynała dawać mu się we znaki. W pobliżu nie było nikogo oprócz milczącej, pochłoniętej myślami matki. Śmierć ojca była dla niego wstrząsem i nawet fakt, że z tego powodu mógł się cieszyć zarówno wśród nauczycieli, jak i kolegów specjalnymi względami i sympatią, niewiele mu pomagał. Potrzebował czasu, zanim ta strata w ogóle przebiła się do jego świadomości, a kiedy wreszcie to nastąpiło, zamknął się w sobie i na ile było to możliwe, unikał towarzystwa.

Upływ czasu robił jednak swoje – czas, jak wiadomo, jest łaskawy dla dzieci – tak że po kilku miesiącach chłopiec otrząsnął się i zatęsknił za rówieśnikami. To zaś oznaczało, że tęsknota za ojcem stopniowo malała i nie odczuwał już potrzeby częstego odwiedzania jego grobu na cmentarzu w dalekiej Szampanii. Mała mogiła z białym krzyżem w otoczeniu dziesiątek identycznych mogił stawała się w jego mniemaniu częścią pomnika, narodowej nekropolii, ojciec zaś jednym z wielu poległych żołnierzy.

Kinga, która również jako małe dziecko straciła rodziców, wiedziała, co to oznacza. Wizerunek Zbyszka będzie się stopniowo zacierał w pamięci jego syna i tylko fotografie będą mu o nim przypominać. Jednak te, choćby najlepiej wykonane, nie oddadzą wiernie wszystkich cech. Nie odświeżą wielu wspomnień. A ten żołnierski grób z pewnością niczego nie ułatwi. Może gdyby Zbyszek był pochowany na innym cmentarzu, bliżej domu,

w Paryżu, nie w tej żołnierskiej nekropolii, lecz w miejscu, w którym kiedyś i ona mogłaby spocząć obok niego, sytuacja wyglądałaby inaczej. Z pewnością. A tak, kto wie, jak często dorosły już Karol będzie przyjeżdżał do Auberive. Jak często za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat poczuje się w obowiązku odwiedzić grób człowieka, którego nie będzie już prawie pamiętał.

Czy przypadkiem nie to miała na myśli ciotka Maria, gdy zapragnęła pochować syna w rodzinnym grobowcu, „wśród swoich”?

To twarda sztuka – tak, wedle relacji Marianne, w przypływie szczerości po narodzinach syna powiedział o niej Zbyszek. I dodał, że jego matka potrzebuje czasu, bo nie ma innego wyjścia.

Patrząc teraz na swojego własnego, coraz niecierpliwiej przestępującego z nogi na nogę syna, Kinga przypomniała sobie, jak sama wiele lat temu, stojąc obok dziadka przy grobie rodziców w Krakowie, coraz natarczywiej go prosiła, aby wreszcie opuścili to miejsce i poszli na obiecane wcześniej lody. Karolek przynajmniej zachowywał się cicho i spokojnie, co nie zmieniało faktu, że marzył dokładnie o tym samym, co kiedyś jego matka. Obserwując go, Kinga ponownie poczuła to samo znużenie, którego niejednokrotnie doświadczała. A nawet chyba jeszcze większe niż kiedykolwiek wcześniej. Miała dość odwiecznej walki z ciotką, nawet jeśli od ponad dwudziestu lat konflikt ten oznaczał wyniosłe, nasycone wrogością milczenie, nie zaś karczemne awantury. Nie trzeba jednak wymieniać bezpośrednich ciosów, by zadawać sobie bolesne rany.

„Postaw się w jej sytuacji – powiedziała Gajewska. – Najwyższy czas się porozumieć”.

Lecz to przecież właśnie ona nie chce porozumienia, westchnęła ponownie Kinga. Ona mnie odrzuciła. Ja jednak odpowiadałam pięknym za nadobne. Od lat okazywałam jej lekceważenie i pogardę, bo uważałam, że



tylko w ten sposób mogę skutecznie się przed nią obronić. A nawet ją pokonać. Czy jednak mogę mówić o zwycięstwie, skoro teraz pozostała mi jedynie samotność?

Czy ciotka także doświadczała tego uczucia? Mimo że miała przy sobie córkę? Czy mogła liczyć na wsparcie ukochanej Klementyny adekwatne do tego, jakiego sama udzielała jej latami? Sama myśl o kuzynce sprawiła, że Kindze ścisnęło się serce. Klementyna z pewnością jej nie wybaczyła, tak jak jej matka nie wybaczyła swojej siostrze. Co nie zmienia faktu, że zapewne i ona zmagająca się z samotnością. Wszystkie trzy się z nią zmagaly. I nie były w stanie sobie nawzajem pomóc.

„Najwyższy czas się porozumieć. Ja na twoim miejscu bym dłużej z tym nie zwlekała” – z jakiegoś powodu słowa Amelii wciąż nie dawały jej spokoju.

Kilka dni później Marianne poprosiła ją o dwa dni wolne. W prośbie tej nie byłoby niczego niezwykłego, gdyby nie fakt, że nigdy dotąd takowa nie miała miejsca. Inna sprawa, że już od blisko tygodnia dało się zauważyć zastanawiającą zmianę w zachowaniu służącej. Marianne sprawiała wrażenie osoby, która wybudziła się z sennego koszmaru i z ulgą wita nowy, jasny dzień. Nie oznaczało to, by nagle zaczęła iskrzyć humorem, tańczyć i śpiewać, niemniej jej dotąd smutne spojrzenie wyraźnie się wypogodziło, a twarz jakby pojaśniała. Częściej też zagadywała do Karolka, z czego mały był bardzo zadowolony. Nie krzywiła się, gdy towarzyszył jej w kuchni – dawniej raczej go do tego zniechęcała. Kinga zaczynała nawet podejrzewać, że może ma to jakiś związek z François – niewykluczone, że relacje małżeńskie uległy poprawie, że oboje wreszcie doszli do porozumienia – niemniej o nic nie dopytywała. Będzie chciała, sama mi o tym powie, uznała, doskonale wiedząc, że służąca potrafiła się zdobyć nawet na bardzo osobiste wyznania, lecz tylko wtedy, gdy uznała to za właściwe.

Tym razem jednak Kinga uległa pokusie. Odniosła bowiem wrażenie, że Marianne była bardziej poruszona niż zazwyczaj.

– Co się stało, Marianne? – spytała ostrożnie. – Czy to ma coś wspólnego... z twoim mężem? A może gdzieś wyjeżdżasz? – dodała, choć ta druga ewentualność była raczej mało prawdopodobna. Życie kobiety koncentrowało się wokół opieki nad mężem i zarabiania na życie w mieszkaniu Burgiewiczów. Na wyjazdy i inne przyjemności nie było w nim miejsca.

– Nie wyjeżdżam. Nie tym razem – odparła służąca i oczy jej zalśniły takim blaskiem, jakiego Kinga nigdy dotąd u niej nie widziała. – To moje siostry przyjeżdżają do mnie. Odezwały się kilka dni temu. Napisały, że nie ma sensu dłużej udawać, że się nie znamy, nie ma sensu się dłużej na siebie bocyć. Nie po tej katastrofie, jaką była wojna. Jeden z moich siostrzeńców zginął pod Blois, a najstarsza siostra owdowiała. Wobec takich tragedii wszelkie wcześniejsze nieporozumienia wydają się po prostu śmieszne. Chcą mnie zobaczyć, a przy okazji spotkać się z François. Może następnym razem to my pojedziemy do nich, do Chartres. Powinno nam się udać, to przecież nie jest daleko.

– Na pewno wam się uda – potwierdziła cicho Kinga. – Bardzo się cieszę, naprawdę... – Więcej nie dała rady powiedzieć, głos uwiązł jej w krtani.

Dwa dni później zdecydowała się napisać do Marii Burgiewiczowej. Ostrożnie dobierając każde słowo, dała do zrozumienia, że gdyby ciotka zechciała odwiedzić miejsce wiecznego spoczynku Zbyszka, to ona, Kinga, jest gotowa serdecznie ugościć ją w swoim domu. To samo dotyczy Klementyny. Gdyby kuzynka zechciała towarzyszyć matce, będzie tu również mile widziana. Podobnie jak jej dzieci.

*Domyślam się, że może być Ciocia zaskoczona moimi słowami i zaproszeniem* – dodała po namyśle. – *Że zapewne przyjmie je Ciocia*

*z mieszanymi uczuciami – Z mieszanymi uczuciami, pomyślała, Boże, co za eufemizm! – ale przyszło mi do głowy, że choćby ze względu na drogą nam wszystkim pamięć o Zbyszku może warto raz jeszcze, tym razem spokojnie, wyjaśnić sobie różne sprawy.*

Na temat Aleksandra nie wspomniała nawet słowem.

Idąc na pocztę, wciąż zadawała sobie pytanie, czy dobrze robi. I czy w ogóle warto cokolwiek jeszcze w tej sprawie robić. Ostatecznie wysłała list, ale postanowiła nie łudzić się zbyt wielką nadzieją; wątpiła, czy w ogóle doczeka się odpowiedzi.

A jednak się doczekała, i to wtedy, gdy już dawno zdążyła przestać o niej myśleć. Jesienią dwudziestego pierwszego roku, ponad dwa lata od napisania i wysłania zaproszenia, kilka miesięcy po zakończeniu kolejnej wojny, która przetoczyła się przez jej rodzinny kraj.

# ROZDZIAŁ 15

1921

Nic nie zapowiadało, by ten ciepły październikowy dzień miał się okazać inny od poprzednich. Od kilku tygodni niezmiennie utrzymywała się piękna, słoneczna aura, jakby lato tego roku postanowiło nie odchodzić. Jakby jesień miała już nie nadejść. Kinga właśnie skończyła poobiednie porządki i postanowiła wyjść na przechadzkę z Karolkiem. „Siedzieć w taki dzień w domu to grzech” – oznajmiła rano Marianne i trudno było odmówić jej racji.

Zaledwie jednak Kinga zdążyła się przebrać i przygotować synka do wyjścia z domu, ktoś zapukał do drzwi. W progu stał młody mężczyzna, który od razu wydał jej się znajomy, jednakże nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej go widziała. Wysoki, smukły blondyn o ujmującej aparycji, miał w sobie coś, co sprawiło, że z miejsca poczuła doń sympatię. Lecz kiedy się uśmiechnął, a jego orzechowe oczy opromienił wesoły, na poły zawiadacki błysk, na moment znieruchomiała i wpatrywała się weń kompletnie osłupiała.

Ten uśmiech i to spojrzenie łudzaco przypominały jej Zbyszka. Przez moment miała nawet wrażenie, że to jej mąż we własnej osobie. Oczywiście ten sprzed prawie dwudziestu lat, którego pamiętała z czasów, gdy oboje

mieszkali jeszcze przy Kruczej. I który potem odwiedzał ją w Krakowie. Potrzebowała dobrej chwili, by się otrząsnąć i wytłumaczyć sobie, że to tylko ułuda, wrażenie. Bo Zbyszek odszedł tam, skąd nikt już nie wraca. Co jednak nie zmieniało faktu, że stojący w progu człowiek nie był złudzeniem, lecz istotą z krwi i kości. A zatem...

– Krzysztof Jankiewicz we własnej osobie – ukłonił się po żołniersku, takie przynajmniej było pierwsze skojarzenie Kingi. – Czy pani jest... – Na moment się zawahał, choć jednocześnie wesoły, zawadiacki uśmiech nie schodził z jego twarzy. – Czy rozmawiam z panią Kingą Burgiewiczową?

– Tak – odpowiedziała zduszonym, chropowatym głosem. – Tak, to ja. Ale... – Naraz zdała sobie sprawę, że nie może znaleźć właściwych słów. Na dobrą sprawę – żadnych słów. Ale nie mogę uwierzyć, że cię widzę. Że tu jesteś. Jak to możliwe?

– Mogę wejść?

Dopiero teraz do niej dotarło, że wciąż stoją w otwartych drzwiach mieszkania.

– Oczywiście. Proszę.

Nadal miała poczucie nierealności. Nie odrywając od niego wzroku, zdała sobie sprawę, że jak dotąd ani razu nie odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. Zrobiła to dopiero teraz, ale bardzo niepewnie i nieśmiało.

– Na pewno mnie nie pamiętasz – zagadnęła, zdając sobie sprawę, że odpowiedź mogła być tylko twierdząca. Wciąż z trudem zbierała własne myśli.

– Jakieś odpryski pamięci, bardzo niewyraźne – odparł, lecz zanim zdążyła zareagować, podążył spojrzeniem ponad jej ramieniem, a w jego oczach zamigotał nowy wyraz, w którym obok radości pojawiło się wzruszenie.

– Czy to Karolek? – spytał.

– Tak. – Kinga nie musiała się odwracać, by odgadnąć, że zaintrygowany niespodziewaną wizytą synek wynurzył się właśnie ze swego pokoju.

– Mamo, kiedy wreszcie wyjdziemy na spacer? – nadał się.

– Bądź grzeczny, kochanie... – zaczęła, ale Krzysztof już podszedł do małego i wyciągnął do niego rękę.

– Cześć. Mam na imię Krzysztof. Jestem twoim kuzynem.

\*\*\*

– Wybacz, że tak drętwo cię przywitałam, ale zupełnie się ciebie nie spodziewałam.

Siedzący naprzeciwko niej młody człowiek ponownie wyszczerzył zęby. Gdy uśmiechał się w taki sposób, wyglądał jak uroczy kilkunastoletni urwis, który wie, że splątał figla i jest z tego bardzo dumny. Karolek nie odrywał od niego zachwyconego spojrzenia.

– Wiem, że ciocię zaskoczyłem. Ale inaczej się nie dało.

Dlaczego mnie wcześniej nie zawiadomiłeś? Przynajmniej bym się jakoś przygotowała. I nie osłupiałabym na twój widok niczym żona Lota, pomyślała Kinga, ale zachowała takie refleksje dla siebie.

– Dwa lata temu napisałam do twojej babci – rzekła, nalewając kawy do jego filiżanki.

Spowaźniał i na moment przestał się uśmiechać.

– Zgadza się. – Skinął głową. – Ale to nie było dla niej łatwe. Potrzebowała czasu. A niedługo potem zaczęła się wojna z bolszewikami i wszystkie inne sprawy zeszły na dalszy plan.

– Wyobrażam sobie. – Jednocześnie zdała sobie sprawę, że powiedziała dokładnie to, co naprawdę myślała. Doskonale rozumiała zarówno reakcję teściowej, jak i fakt, że w obliczu nowej wojny i śmiertelnego zagrożenia ze strony bolszewików inne problemy traciły na znaczeniu.

Popatrzyła na chłopaka i ponownie poczuła przyśpieszone bicie serca. Gdy się uśmiechał albo żartował, przypominał jej Zbyszka. Ale gdy dla odmiany wpadał w zadumę, stawał się podobny do Stefana Burgiewicza. Poza kilkoma mało istotnymi szczegółami nie odziedziczył niemal żadnych cech po swoich rodzicach. To dobrze, pomyślała, zanim zdołała zapobiec tej refleksji.

– Jak oni się miewają? To znaczy twoi rodzice, siostra, babcia? – spytała, zdając sobie sprawę, że powinna była zrobić to przynajmniej pół godziny temu. Gdy tylko zaprosiła go do salonu i poczęstowała kawą. Choć nawet teraz takie pytania z trudem przeszły jej przez gardło.

– Przeżyliśmy, to najważniejsze. – Znowu próbował mówić żartobliwym tonem, ale niemal natychmiast z tego zrezygnował. – Babcia dobrze sobie radzi, ale to twarda sztuka.

To twarda sztuka... Dokładnie tak wyraził się Zbyszek. Udało jej się jednak powstrzymać łzy i zapanować nad wzburzeniem.

– A twoja siostra?

– Anetka? – Najwyraźniej wspomnienie siostry sprawiło mu prawdziwą przyjemność. – Prosiła, abym ciocię pozdrowił. Chętnie by mi towarzyszyła, ale to na razie niemożliwe. – Mrugnął do niej zawadiacko. – Spodziewa się dziecka, a ojciec uznał, że powinna w tym czasie wstrzymać się z podróżami i więcej odpoczywać. A to dla niej nie lada wyzwanie, zwłaszcza że nigdy nie umiała usiedzieć na miejscu.

– Mała Anetka? – Kinga patrzyła na niego z niedowierzaniem. We wspomnieniach wciąż widziała maleńką dziewczynkę, którą pierwszy i jak dotąd ostatni raz widziała na kolanach Klementyny podczas stypy po pogrzebie wuja Stefana. Faktycznie, już wówczas protestowała przeciwko przymusowemu unieruchomieniu w jednym miejscu, czym naraziła zarówno siebie, jak i swoją matkę na reprimendę ze strony babki.

– Nie taka znowu mała. Skończyła dwadzieścia trzy lata. A w tym swoim Antosiu zabujała się, gdy jeszcze uczyła się na pensji. Kiedy w czternastym roku razem ze mną zwiął do wojska, byłem pewien, że nie będzie na niego czekała. Nawet mu tak dogadywałem. Że dla takiej dziewczyny to zbyt długo. A co, jeśli kawaler wróci do niej bez ręki, nogi albo bez... – taktownie urwał, choć jednocześnie znowu mrugnął okiem. – A poza tym uważałem, że ta moja siostra to wprawdzie miła dziewczyna, ale i postrzelona koza. Ale okazało się, że jednak na niego czekała. Widać są i takie panny. – Ponownie zmarkotniał, lecz dla niepoznaki pośpiesznie upił łyk kawy. Potem znowu postarał się o uśmiech. – Pobrali się w kwietniu dziewiętnastego roku, a rok później Antek znowu poszedł w kamasze. Na szczęście i tym razem cało wyniósł głowę z wojny. I nie tylko głowę, bo za kilka miesięcy zostanę wujkiem.

– A ty? – spytała Kinga, gdy jako tako zapanowała nad nieznośnym uciskiem w krtani. Ponownie miała przed oczami Zbyszka. A zaraz potem wuja Stefana. – Z tego, co zrozumiałam, także byłeś w wojsku.

– Tak. W czternastym uciekłem z domu, tak jak Antek. Nasze matki strasznie desperowały, zwłaszcza moja. Nie mogłem inaczej... Ale ojciec mnie rozumiał. – Umknął przed nią spojrzeniem, za co Kinga była mu niewypowiedzianie wdzięczna. – Potem, jak bolszewicy na nas szli, też się zgłosiłem do wojska, i tym razem mama nie sprzeciwiła się nawet słowem. Nie wypadało jej, bo wszyscy się zaciągali. Było jasne, że trzeba się bronić i dać łupnia czerwonym. Jak będzie trzeba, pójdę znowu.

„Tym razem to ma sens” – tak powiedział Zbyszek, gdy zapytała go, czemu zmienił swoje wcześniejsze poglądy w sprawie walki z bronią w rękę za kraj. W jego głosie nie było tej brawury i zapalczywości, co u jego siostrzeńca. Ale w oczach palił się ten sam wyraz, to samo przekonanie.

– I pozwoliłeś, by młodsza siostra wyprzedziła cię w drodze do ołtarza?



Musiała zmienić temat, bo w przeciwnym razie chyba nie dałaby już rady powstrzymać łez. Zaraz jednak spostrzegła, że twarz chłopaka pociemniała. Jakby przesunął się po niej cień.

– Moja panna na mnie nie czekała – mruknął, wzruszając ramionami. – Bywa i tak...

Zgadywała, że nie chciał dłużej o tym mówić ani tym bardziej słuchać słów otuchy i pocieszenia, dlatego przemogła się, by zagadnąć o resztę rodziny. To były znacznie trudniejsze pytania, ale nie wypadało ich unikać.

– Wspomniałeś, że babcia dobrze sobie radzi. A jak miewają się... twoi rodzice? – Nie była pewna, czy wytrzyma jego spojrzenie, ale na szczęście zaledwie rzucił na nią okiem i znowu się zasepił.

– Rodzice nie są już razem. Trzy lata temu ojciec wyprowadził się z domu. Mama tak chciała... Chyba obojgu sprawiło to ulgę.

– Ach tak... – wyrwało jej się i zamilkła.

– Od dawna nie było między nimi dobrze. Właściwie nawet nie pamiętam, czy kiedykolwiek... – zachnął się, ale po namyśle zdecydował się dokończyć. – Tak jest chyba lepiej. Teraz przynajmniej od czasu do czasu rozmawiają ze sobą, na pewno łatwiej im to przychodzi niż wtedy, gdy czuli się zmuszeni mieszkać razem.

Takich wieści w żadnym razie się nie spodziewała. Z trudem też przyjmowała je do wiadomości, brzmiały tak... nieprawdopodobnie. Bynajmniej nie ze względu na Aleksandra... Klementyna zgodziła się na takie rozwiązanie? To była jej inicjatywa? Słowa Krzysia nie pozostawiały co do tego wątpliwości, niemniej było to tak niepodobne do tamtej Klementyny, którą Kinga pamiętała, że...

A ciotka Maria? Jak to możliwe, że na to przystała! Że nie wybiła córce z głowy tego pomysłu. Że... pozwoliła.

Nie rozmawiałam z nimi całe wieki. Prawie nic o nich nie wiem. Pomimo

że Krzyś przekazał mi tyle ważnych wieści, to wciąż za mało. Za mało... – dumiała.

Gdy ponownie zerknęła na Krzysztofa, zdała sobie sprawę, że przynajmniej od kilku sekund uważnie ją obserwował. To wystarczyło, by przypomniawszy sobie wizyty Aleksandra w Krakowie. Czy jego syn czegokolwiek się domyślał? A może wiedział? Bardzo wątpliwe, bo gdyby tak było, na pewno nie chciałby jej znać. A tymczasem przyjechał, opowiadał o sobie, o ich rodzinie, był miły i serdeczny.

– Wiesz, mój papa też był na wojnie – odezwał się nagle Karolek, który cały czas nie spuszczał wzroku z kuzyna.

Oboje dorośli drgnęli, jakby nagle sobie przypomnieli o jego obecności. Przecież nie wszystko, o czym rozmawiali, było dla niego zrozumiałe czy przeznaczone dla jego uszu.

– Jasne, że wiem – odparł Krzysztof i zmierzwił małemu włosy. Kinga jednak zauważyła, że podobnie jak ona, był bardzo poruszony. – Był jednym z nas. Był wspaniałym facetem. Bardzo go lubiłem.

Kinga nie próbowała już powstrzymywać łez. Zresztą taka walka przeważnie skazana jest na porażkę – nie powinna była o tym zapomnieć. Wyciągnęła rękę i ponad stołem pogłaskała młodzieńca po ramieniu.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, jak się oboje cieszymy – wskazała na dziecko – że do nas przyjechałeś. Nie spodziewałam się, że to właśnie ty odpowiesz na mój list... I tym bardziej to doceniam.

– Nie przyjechałem tu sam. – Młody Jankiewicz niemal natychmiast wszedł jej w słowo.

Ręka, która dotykała jego ramienia, znieruchomiała. Kinga wlepiła w niego zaskoczony wzrok. Poruszyła ustami, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Tym samym niezadane na głos pytanie zawisło w powietrzu. Krzysztof jednak jakby je usłyszał, w każdym razie nie zwlekał

z odpowiedzią.

– Kiedy dowiedziałem się, że babcia postanowiła odwiedzić grób wuja, od razu oświadczyłem, że będę jej towarzyszył. Nie mogłem pozwolić, aby sama wybrała się w taką podróż.

– Twoja babcia jest teraz tu, w Paryżu? – wyjąkała Kinga. W tym momencie czuła się tak samo oszołomiona, jak wtedy, gdy zobaczyła go w drzwiach swojego mieszkania. – Wie, że postanowiłeś mnie odwiedzić? – Wciąż musiała zaciskać dłonie, by się przekonać, że nie śni.

– Na pewno się domyśla.

– Ale nie chce mnie widzieć – stwierdziła i zaraz poczuła to samo, znane jej jeszcze z dzieciństwa ukłucie w sercu. A przecież już wtedy, gdy pisała tamten list z zaproszeniem, starała się nie robić sobie wielkich nadziei.

– Gdyby tak było, nie przyjechałaby do Paryża, tylko od razu wyruszyłaby do Szampanii. – Przyjaznym gestem dotknął jej dłoni. Tej, którą Kinga trzymała na jego ramieniu. – Została w hotelu, odpoczywa po podróży. A poza tym... Znasz ją przecież. Chyba nie przypuszczasz, że od razu by do ciebie przybiegła. – Pochylił się w jej kierunku, a ona znowu – który to już raz? – odniosła wrażenie, że widzi przed sobą Zbyszka, jego uśmiech i wesołe, orzechowe oczy. – Ty pierwsza do niej idź, najlepiej jak najszybciej. Zaproponuj, że razem pojedziecie do wuja. Będzie zadowolona, nawet jeśli z początku tego nie okaże.

Jakiś ty naiwny, pomyślała z politowaniem Kinga.

– Sądzę, że się mylisz. Uzna to za kolejny skandaliczny wybieg z mojej strony. Zresztą moja obecność zawsze ją irytowała i w najwyższym stopniu denerwowała. Dlatego najlepiej będzie, jeśli jej tego oszczędzę... A przy okazji także sobie. – Nie potrafiła i nie chciała zapanować nad wzburzeniem. Emocje wzięły górę, odezwały się stare, niedobre wspomnienia. A także te świeże, nie mniej bolesne od tamtych... A może i bardziej. W tym momencie

fakt, że sama kiedyś zaprosiła ciotkę do swojego domu, że wyciągnęła do niej rękę, nie miał już znaczenia. Burgiewiczowa nie odpowiedziała przecież na jej list; nawet jeśli nie było to możliwe z tak zwanych przyczyn obiektywnych, to wojna z bolszewikami, bo o takie przyczyny chodziło, skończyła się dobrych kilka miesięcy temu. A zatem było dostatecznie dużo czasu na odpowiedź... i na zapowiedź przyjazdu. Ale ciotka tego nie zrobiła.

– Ty jedź z nią do Szampanii. Ja nie jestem jej tam potrzebna. – Kinga nawet nie próbowała ukryć goryczy w swoim głosie.

– A kto pokaże nam drogę do jego grobu?

Nie odrywał od niej wzroku. Nie mogła się teraz oprzeć wrażeniu, że czytał w jej myślach. Kiedyś widziała taki wyraz w oczach jego dziadka i ojca. Ale tamci nie zawsze do końca właściwie odczytywali jej intencje. Czasem się co do niej mylili. Zbyszek nie mylił się nigdy, ani razu. Zawsze odgadywał prawdę, zawsze ją dostrzegał.

– To ty jesteś teraz w błędzie. – W przeciwieństwie do niej Krzysztof mówił spokojnie, cicho, lecz każde jego słowo docierało do niej głębiej niż najgłośniejszy krzyk. Patrzyła na niego, ale widziała Zbyszka. Jej kuzyna, przyjaciela, męża. I tak jak Karolek, nie była już w stanie odwrócić od niego wzroku. – Bo właśnie teraz jesteś jej potrzebna. Bardziej niż ja, niż ktokolwiek inny. Oczywiście, że znaleźlibyśmy w końcu kogoś, kto tam na miejscu wskazałby nam grób wuja. Ale to powinnaś być ty. – Zamilkł na chwilę, a w jego oczach pojawiły się weselsze błyski. – Myślisz, że ja jej nie irytowałem? Tak było, odkąd pamiętam. I co z tego? Gdy jej zaproponowałem, że będę jej towarzyszył w podróży, skrzywiła się, ale nie zaprotestowała. Wiedziałem, że w głębi ducha się ucieszyła. W twoim przypadku też tak będzie, jestem tego pewien. – Dał jej znak, by mu nie przerywała, choć wcale nie miała takiego zamiaru. – Mam tylko jeszcze jedną radę. Zabierz ze sobą dziecko. – Wskazał na Karolka. – Najwyższy

czas, by wreszcie się poznali.

## ROZDZIAŁ 16

Pogoda tego dnia także nie zawiodła. Strojne w purpurę i inne kolory drzewa prezentowały się imponująco w promieniach październikowego słońca. Niewielki, ciepły wietrzyk poruszał łagodnie ich gałęziami. Położony około dwustu kilometrów od Paryża cmentarz w Auberive sprawiał wrażenie, jakby od dawna nikt go już nie odwiedzał. Nie znaczyło to wprawdzie, by żołnierskie groby były zaniedbane – wręcz przeciwnie, na żadnej mogile nie pleniły się chwasty, każda była starannie uporządkowana – panowała tu jednak niemal niczym niezmacona cisza. W alejkach, przy kwaterach, a nawet na prowadzącej do nekropolii drodze było zupełnie pusto. A znajdująca się nieopodal wioska wydawała się także bezludna... lub pogrążona we śnie. Taką właśnie uwagę wygłosiła Burgiewiczowa, a Kinga natychmiast jej przytaknęła.

– Zaraz po zakończeniu wojny wszystko tu wyglądało inaczej: oficjalne delegacje, uroczystości, tłumy ludzi. Ale to się zmieniło. Jakby powoli o nich zapomniano. – Przerwała, uświadomiwszy sobie, że nie należało tego mówić. Przynajmniej ostatniego zdania. Przy czym nie chodziło nawet o to, że ciotka dostała do ręki ważny argument – o ile faktycznie, jak pisał Aleksander, w przeszłości nosiła się z zamiarem przeprowadzenia ekshumacji. Nie to było teraz najważniejsze. Gorzej, że słowa, jakoby zapomniano o poległych polskich żołnierzach, zabrzmiały wyjątkowo przygnębiająco. A przecież tego

akurat dnia Kinga nie czuła żadnego smutku, w każdym razie była w innym nastroju niż wówczas, gdy odwiedziła to miejsce razem z Karolkiem. Czy to dlatego, że wtedy było pochmurno, duszno, że zbierało się na deszcz i burzę? Podczas gdy dziś świeciło niemal letnie słońce, a przyroda przystroiła się w swoje najpiękniejsze szaty? Czy też może ważniejsze były inne powody, niemające wiele wspólnego z aurą?

Nie miała pojęcia, co mogłaby jeszcze dodać, więc tylko bezradnie rozejrzała się po pustej, piaszczystej drodze. Przyjechali tu we czworo: ona, Karolek, Krzyś i Maria Burgiewiczowa. Jak dotąd wszystko odbyło się dokładnie tak, jak przewidział to jej młody kuzyn. Najpierw odwiedziła teściową w hotelu. Od razu zauważyła, że Burgiewiczowa bardzo zeszczupłała, przez co rysy jej twarzy zdecydowanie się wyostrzyły. Nie wyglądała jednak na zaskoczoną odwiedzinami Kingi, zapewne więc faktycznie brała pod uwagę, że się zobaczą. Jak zawsze „trzymała pion” – jak to kiedyś trafnie ujął Zbyszek. Zachowywała się z rezerwą, dystansem, w jej spojrzeniu i tonie głosu przez niemal całą wizytę utrzymywał się chłód. Zgodnie też z przepowiednią wnuka, gdy synowa nieśmiało zaproponowała swoje towarzystwo w planowanej wyprawie do Auberive, doktorowa wprawdzie się skrzywiła, ale milcząco przytaknęła pomysłowi.

Czy miało to oznaczać starannie ukrywane zadowolenie, o którym wcześniej wspomniał Krzyś? Tego Kinga nie była już pewna, ale nie odrzuciła owej możliwości. Tym bardziej że na widok Karolka w oczach Burgiewiczowej zapaliło się niewielkie jeszcze, lecz wyraźne światełko. Zagadnęła nawet do chłopczyka i wyraziła uznanie, że bez problemu rozmawiał w języku polskim. „Dobrze, że o to zadbałaś” – powiedziała, patrząc gdzieś ponad głowę Kingi, ale była to bodaj pierwsza pochwała, jaką w ogóle kiedykolwiek wyraziła pod jej adresem. Przez całą drogę do Szampanii niemal się nie odzywała. Sprawiała wrażenie zatopionej we

własnych myślach, jednak zarówno Kinga, jak i obaj wnukowie nie mogli oprzeć się przeświadczeniu, że tak naprawdę przysłuchiwała się ich wesołej paplaninie.

Potem odmówili wspólnie modlitwę nad mogiłą Zbyszka, co dla Kingi, która dotąd odwiedzała to miejsce co najwyżej w obecności coraz bardziej znudzonego synka, było poruszającym przeżyciem. Dla Karolka zresztą także – tym razem nie przestępował niecierpliwie z nogi na nogę i nie spoglądał tęsknie w kierunku bramy. Z wyrazu twarzy ciotki niewiele mogła wyczytać, za to Krzyś nie ukrywał wzruszenia. Przez kolejne pół godziny wymieniali przyciszone uwagi, po czym nagle młody Jankiewicz zakomunikował, że zabiera swojego małego kuzynka na małą wycieczkę po okolicy. „Na męską pogawędkę, której kobiety nie powinny słuchać” – oświadczył, mrugając przy tym do chłopca, który aż pokraśniał z radości.

Słyszając to, Burgiewiczowa jedynie przewróciła oczami i wzruszyła ramionami. Skonsternowana Kinga nie zdobyła się na żadną reakcję. Zostały we dwie, tak jak wielokrotnie w przeszłości. Jednak wtedy niemal zawsze oznaczało to coś bardzo nieprzyjemnego, a teraz...

Przez blisko kwadrans stały obok siebie w zupełnym milczeniu, które wreszcie przerwała Maria, dając znak, by opuściły cmentarz. I właśnie tam, już za bramą, podzieliła się swoją refleksją co do ciszy panującej w Auberive. I osamotnienia tego miejsca. A gdy Kinga odpowiedziała, że kiedyś atmosfera na tym cmentarzu była inna, bo teraz faktycznie sprawia on wrażenie, jakby świat powoli zapominał o pochowanych tu żołnierzach, doktorowa przez moment milczała, a potem rzekła:

– Wszystkich nas to kiedyś czeka. Prędzej czy później przyjdzie taki czas, gdy o żadnym z nas nikt z żyjących nie będzie już pamiętał.

Kinga nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Po raz kolejny, jak to już bywało, ciotka kompletnie ją zaskoczyła. Odwróciła głowę, wyjężyła wzrok.



W oddali, na łące zobaczyła dwie znajome sylwetki. A więc tam poszli... Wszystko wskazywało na to, że nie śpieszyli się z powrotem. Krzysztof postanowił dać im wszystkim czas. Sobie i Karolkowi. Jej i ciotce Marii. Nie mogły go zmarnować. Bo kto wie, kiedy będzie następny raz? I czy w ogóle? Wobec tego nie mogły sobie pozwolić na milczenie i na omijanie trudnych tematów.

– Chciałaś go stąd zabrać. – Kinga ruchem głowy wskazała na cmentarz. – Do Polski, prawda?

Burgiewiczowa zacisnęła usta, a przez jej twarz przebiegło drgnienie. Odwróciła wzrok i także zapatrzyła się na spacerujących w oddali chłopców.

– Kto ci o tym powiedział? – spytała chłodno. – Krzyś?

Kinga nie odpowiedziała i przez dłuższą chwilę mierzyły się uważnymi spojrzeniami, aż wreszcie Maria pokręciła głową.

– Miałam taki pomysł, ale nikt mnie nie poparł, wręcz przeciwnie. A sama nie dałabym rady ani tego przeforsować, ani przeprowadzić – westchnęła. – Pewnie mieli rację.

– Naprawdę tak myślisz?

– Nie warto już do tego wracać – odparła zdecydowanym tonem Burgiewiczowa. – Niech zostanie tak, jak jest. To miejsce wcale nie jest takie upiorne, jak kiedyś myślałam. Ta cisza ma w sobie coś takiego... – Głos jej drgnął, ale nad nim zapanowała. – I te żołnierskie mogiły... Jego towarzysze broni... Klementyna miała rację, gdy mnie przekonywała, że Zbyszek został wśród swoich.

Klementyna? – zdumiała się Kinga. Klementyna miała inne zdanie niż matka? I zdobyła się na to, by ją przekonywać, w dodatku z powodzeniem?

Aż tyle przeoczyła? Czemu nie wierzyła Zbyszkowi, gdy twierdził, że Klementyna jest w stanie wiele zrozumieć? Podobnie jak jego matka, potrzeba jej tylko czasu. Czy musiało się tak wiele wydarzyć, by i do niej,

Kingi, to wreszcie dotarło? Nie było to jednak wyznanie, które nadawałoby się do wyrażenia na głos. Ciotka z pewnością nie miałaby ochoty go wysłuchać. Inne słowa w tym momencie nie przychodziły Kindze do głowy, więc milczała. Zdawała sobie sprawę, że Burgiewiczowa nie powiedziała jej wszystkiego. Że jest coś jeszcze.

– Niedługo i tak się z nim zobaczę – odezwała się po chwili Maria, a napotkawszy zdumione spojrzenie synowej, dodała: – Mam na myśli mojego syna. Niedługo go uściskam i wreszcie wysłucham. Powinnam to była zrobić już dawno temu, ale trudno. Bóg jednak czasem daje nam drugą szansę, choćby w taki sposób.

Kinga miała wrażenie, jakby cała krew uderzyła jej do głowy. Co miały znaczyć te słowa?

– Nie rozumiem – odparła niepewnie. Lecz w tym samym momencie uprzytomniła sobie, że jednak zaczyna rozumieć.

– Porządkuję moje sprawy. A przy okazji nie tylko moje, lecz całej naszej rodziny – kontynuowała Burgiewiczowa. Pomimo że wciąż starała się zachować spokojny, wyważony, a nawet obojętny ton, jej głos brzmiał już inaczej niż do tej pory. Jakby pękła w nim jakaś struna, może nawet niejedna. – Nie zostało mi już wiele czasu, lekarze dają mi kilka miesięcy, może pół roku, raczej nie więcej.

– Ciociu... – wyszeptała Kinga. Ta nowa, zupełnie niespodziewana wiadomość dosłownie ją zmroziła.

Maria potrząsnęła jednak głową, dając do zrozumienia, by jej nie przerywać.

– No cóż, taka jest kolej rzeczy. – Machnęła dłonią, tak jakby perspektywa bliskiego końca niewiele ją obchodziła. Kinga podejrzewała, że było inaczej, ale zgodnie z wolą ciotki nie odezwała się, lecz słuchała jej w skupieniu. I tak zresztą nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, w głosie

miała kompletną pustkę. – Pomyślałam, że to ostatni moment, gdy mogę zająć się tym bałaganem. Oczywiście na tyle, na ile jest to jeszcze możliwe. Mój ojciec nie zdążył tego zrobić, mąż nie potrafił, a Klara... do końca nie panowała nad własnym życiem. Siłą rzeczy spadło to więc na mnie, jak zwykle.

„To twarda sztuka”. Patrząc na zastygłą twarz stojącej obok kobiety, Kinga po raz kolejny powtórzyła w myślach słowa męża. Przyszło jej do głowy, że Burgiewiczowa przypominała teraz rzymską matronę Kornelię, bo tak jak tamta patrzyła śmiało w oczy przeznaczeniu. I przeszłości. Bo przecież w przeszłości kryła się najważniejsza przyczyna wszystkich konfliktów i nieporozumień, jakie stały się udziałem całej rodziny. To wtedy popełniono na tyle poważne błędy, że ich naprawienie wydawało się niemożliwe. Ta ostatnia refleksja sprawiła, że Kinga zdecydowała się jednak przerwać milczenie.

– Kiedyś jeden z moich przyjaciół powiedział, że nie jest łatwo uciec od swojej przeszłości – rzekła. Przed oczami miała teraz Adriena Bireta, gdy wyznał jej prawdę o sobie i swoim małżeństwie.

– Nie warto nawet próbować – zgodziła się ciotka. – Ale ja nie mówię o przeszłości, lecz o teraźniejszości. A także o waszej przyszłości... beze mnie.

Bez niej? Kinga uświadomiła sobie, że nie potrafi sobie tego nawet wyobrazić. I to pomimo że od lat trzymały się z daleka od siebie. I że jedynym uczuciem, jakie je do tej pory łączyło, była wzajemna, mocno zakorzeniona niechęć. A co dopiero mówić o tych, którzy byli przy niej na co dzień? Którzy pomimo mniejszych lub większych nieporozumień – w której rodzinie ich nie ma? – kochali ją i ona kochała ich. Była gotowa ich osłaniać, pomagać im i w razie potrzeby walczyć za nich do upadłego. Taka przecież była. Kinga wybiegła teraz myślami ku Klementynie.

Burgiewiczowa, jakby odgadując te niezadane na głos pytania, wykrzywiła wargi w bladym, smutnym uśmiechu.

– Nikomu jeszcze o tym mówiłam. Ty dowiadujesz się pierwsza. – A spostrzegłszy nagłe poruszenie na twarzy Kingi i błysk w jej oczach, dodała: – Mojej córce będzie z tym bardzo ciężko. To prawda, że w ostatnich latach nasze wzajemne relacje nieco się zmieniły, niemniej nadal byliśmy sobie bardzo bliskie. Po mojej śmierci zostanie sama. Jej dzieci dorosły i mają swoje życie. Już dawno pozwoliła im na samodzielność. Jest jednak zupełnie inna niż ja. Jest... taka bezbronna wobec świata. I wobec tych, których kocha. – W głosie Burgiewiczowej słychać było wzruszenie, którego tym razem nie próbowała tłumić.

– Wiem – szepnęła z wysiłkiem Kinga. Słowa te odebrała jako oskarżenie także pod swoim adresem, ale nie zamierzała się bronić ani niczemu zaprzeczać.

Jak się jednak miała zaraz przekonać, niewłaściwie odczytała intencje ciotki.

– Mam nadzieję, że jej pomożesz. Że będziesz przy niej... i będziesz ją wspierać. Może kiedyś i ona pomoże tobie, jeśli zajdzie taka potrzeba. Samotność jest bardzo trudnym wyzwaniem i tylko bardzo nieliczni potrafią jej sprostać.

Kiedyś Gajewska także powiedziała coś podobnego. Kinga to sobie nagle przypomniała, zarazem jednak poczuła się tak, jakby prośba Burgiewiczowej wydobyła ją z ciemności, w której tkwiła od lat. Ale odzwyczajone od słońca oczy nie potrafiły już otworzyć się na promienie, na światło dnia.

– To niemożliwe – odparła głucho. – Klementyna nigdy mi nie wybaczy... – Nie była w stanie mówić dalej i odwróciła wzrok.

– Rozstała się z nim – odparła oschle Maria – Zresztą przypuszczam, że Krzysztof ci o tym mówił. – Nie czekała na odpowiedź, przyjęła to za

pewnik. – Od kilku lat nie mieszkają już razem, ale tak naprawdę ich małżeństwo skończyło się dawno temu. Trwało bardzo krótko, choć pewnie i tak za długo. Samotność nie jest dobra dla nikogo, ale nie ma nic gorszego niż być samotnym we własnym małżeństwie. Moja córka straciła przez niego mnóstwo czasu.

– Właśnie dlatego mi nie wybaczy – rzekła z trudem Kinga. Czuła, że jej policzki płonęły, jej twarz była mokra od potu, a jakaś niewidzialna obroża ścisnęła ją za gardło. Skoro jednak ciotka zdobyła się na taką szczerość, nie pozostawało jej nic innego, jak odpowiedzieć tym samym.

– Już dawno ci wybaczyła. I zawsze cię potrzebowała. Od samego początku, odkąd tylko z nami zamieszkałaś. W tej jednej sprawie twój wuj miał rację i gdybym mu ją wtedy przyznała, to... być może wszystko inaczej by się potoczyło. Lepiej.

Kinga podniosła dłoń i dotknęła gorących policzków. Poczowała na palcach spływające łzy, ale nie próbowała z nimi walczyć. Zarazem odniosła wrażenie, że słońce już jej nie razi; wręcz przeciwnie – może na nie patrzeć, bez obawy, że straci wzrok. Na takie słowa czekała od wielu lat, nawet jeśli już dawno porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek je jeszcze usłyszy.

– Ja także jej zawsze potrzebowałam – szepnęła. Nie była w stanie mówić głośniej, ale Burgiewiczowa ją usłyszała, choć umiejętnie zapanowała nad wzruszeniem. Zdradziło ją widoczne zadowolenie, które na moment pojawiło się w jej oczach.

Zaraz jednak wyprostowała się jak struna, a jej twarz przybrała zwykły, surowy wyraz.

– Czasem tylko zadaję sobie pytanie: Co wy w nim widziałyście? Jak obie mogłyście stracić głowę dla kogoś takiego jak on? Jak to w ogóle możliwe, że ludzie na całym świecie tracą głowę dla kogoś, kto absolutnie na to nie zasługuje?

Wyglądało jednak na to, że wcale nie czekała na odpowiedź, bo od dawna ją znała, a pytanie było jedynie smutnym komentarzem.

Krzysztof i Karolek znajdowali się już niedaleko. Kinga uznała, że to ostatni moment, by w tym właśnie miejscu zdobyć się na – być może najważniejsze – wyznanie.

– Mogę cię zapewnić, że również dla mnie... tamto... już dawno się skończyło. – Czekała na reakcję stojącej obok kobiety, a ponieważ taka nie nastąpiła, dodała śmieiej: – Skończyło się ostatecznie... dzięki Zbyszkowi. Nikt mi go nie zastąpi.

Burgiewiczowa skinęła głową i postąpiła krok naprzód. Jednak zaraz się odwróciła. Nie uśmiechała się, ale w jej spojrzeniu był spokój i nieskrywana ulga. Jak u każdego, kto wie, że podjął właściwą decyzję.

– On także był z tobą szczęśliwy – rzekła. – Napisał mi kiedyś o tym, a ja od razu mu uwierzyłam. Jednak nie chciałam przyjąć tego do wiadomości, nie mogłam się z tym pogodzić. Wiesz dlaczego... Dobrze, że chociaż teraz mogłam mu to wyznać. – Wskazała na komentarz. – I że jeszcze zdążyłam powiedzieć o tym tobie. – Po czym, nie oglądając się już na Kingę, różnym krokiem ruszyła w kierunku wnuków.

# SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Karta redakcyjna

*Owoce zatrutego drzewa. Tom III*

ISBN: 978-83-8219-868-3

© Agnieszka Janiszewska i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Cyrulik Wioletta

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Agata Wawryniuk



**Wydawnictwo Zaczytani należy do grupy wydawniczej Zaczytani.**

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek